cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #226 09/2025

Antoni Rybczyński
BANDYCKA ROSJA. JAK WETERANI WOJNY Z UKRAINĄ TERRORYZUJĄ SPOŁECZEŃSTWO

Piotr Lisiewicz
JAK ZDOBYWCĘ PAST-Y I PRUDENTIALU NISZCZYŁO UB. „I CO, WIELKI MISTRZU? TERAZ CIĘ ZGNOIMY"

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



POLSKIE widmo SCHRONY

Jest gorzej niż źle

ISSN 1895-4960

OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl 8145cd3dbe

TEMAT NUMERU ▼ 4–9



Schrony w Polsce, czyli gorzej niż źle / 4

IDEE ▼ 10–31



Dyskursy albo prawda, czyli... / 10

HISTORIA ▼ 38–57



Jak zdobywcę PAST-y i Prudentialu niszczyło UB... / 30

ŚWIAT ▼ 64–97



Bandycka Rosja... / 64

Spis treści

TEMAT NUMERU

Konrad Wysocki
Schrony w Polsce, czyli gorzej niż źle 4

IDEE

Jacek Rutkowski
Dyskursy albo prawda, czyli między postmodernizmem a normalnością 10

Małgorzata Matuszak
Cyfrowi, ale niemi 19

Jakub Maciejewski
Pogańska słowiańszczyzna w XXI wieku 20

Ewa Polak-Pałkiewicz
Tamto powstanie, tamta wiara... 24

Krzysztof Karnkowski
Powtórka, która nie była farsą 30

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Jak zdobywcę PAST-y i Prudentialu niszczyło UB. „I co, wielki mistrzu? Teraz cię zgnoimy” 38

Dariusz Jarosiński
Zdradzony kapitan „Bury” 44

Agnieszka Kowalczyk
Święta Rita. Patronka spraw beznadziejnych i po ludzku niemożliwych 50

Prymas Stefan Wyszyński
Dla nas po Bogu największa miłość to Polska 56

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Bandycka Rosja. Jak weterani wojny z Ukrainą terroryzują społeczeństwo 64

Maciej Kożuszek
Pokój, któremu na imię wojna 70

Michał Kuź
Siedem grzechów głównych niemieckiego myślenia o nazizmie 74

Hanna Shen
Kiepskie show „królowej Europy” w Chinach 78

oprac. Antoni Rybczyński
Centrum islamskiego terroryzmu. To już nie Bliski Wschód, lecz Afryka 82

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 87

Stefan Czerniecki
Z piekła do Nieba 90

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Dyplomacja to coś więcej niż spotkania na szczycie
NA POCZĄTEK 3



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Asystencja to sprawa ludzkiej godności
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 32



Krzysztof Wołodźko
Muzyka, metafora, machina. Nowa fala w PRL
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 58



Marek Kalinowski
W mroku paryskich katakumb
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 62



Małgorzata Matuszak
Czym jest... pojednanie
KATECHIZM INTELIGENTA 63



Marcin Wolski
Spokojnie jak na wojnie
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
A za Uralem będą Chiny...
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO”
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko
SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 8145cd3dbe



Katarzyna Gójska

Dyplomacja to coś więcej niż spotkania na szczycie

Republice udało się dokonać czegoś, co nigdy wcześniej w historii III RP się nie wydarzyło. Przekuć potencjał polskiego środowiska w Stanach na relacje polsko-amerykańskie i pokazać, iż z tego może płynąć korzyść dla obu stron.

Słabością polskiej dyplomacji – poza potężnym zaciągiem postkomunistycznym, najczęściej wprost realizującym interesy innych państw – jest brak budowania relacji na poziomie organizacji obywatelskich. Cały cywilizowany świat właśnie w pracy fundacji, organizacji społecznych oraz kulturalnych widzi wielką szansę na wzmacnianie pozycji swojego kraju w państwach partnerskich, my z kolei wierzymy w nieskończoną moc rozmów dwóch panów (prezydent–prezydent, premier–premier czy innych urzędników) i uznajemy, że podczas takich spotkań wszystko się ustala. Jest sprawą oczywistą, iż spotkania na szczycie nakierowane są na finalizację strategicznych uzgodnień między państwami, ale sfera nieformalnego wpływu ma wielką moc. Właśnie dlatego, wraz z rozbudową Republiki, podjęliśmy decyzję, iż będziemy budować relacje ze środowiskami konserwatywnymi w Stanach Zjednoczonych. Idziemy tą drogą bardzo konsekwentnie, choć to wielkie wyzwanie organizacyjne i finansowe. Współpracujemy z ludźmi tworzącymi szeroko rozumiane zaplecze dzisiejszej administracji, bo chcemy im opowiadać o znaczeniu Polski, o wspólnych interesach i poprzez takie rozmowy tłumaczyć wagę relacji transatlantyckich. Im lepiej wpływowe środowiska w USA znają polski punkt widzenia, im lepiej go rozumieją, im mają większe zaufanie do wiedzy płynącej do nich od nas, tym łatwiej już na poziomie państwa walczyć o interes RP. Dzięki zaangażowaniu Republiki w środowisko CPAC otwartość tego bardzo ważnego grona na głosy płynące z naszego kraju jest nie do przecenienia. Tym bardziej że oficjalne przedstawicielstwo naszego państwa w Waszyngtonie jest dziś unikalnym przykładem antydyplomacji i rzeczywiście w tej kategorii jest wręcz dziwowiskiem na skalę światową. Republice udało się dokonać czegoś, co nigdy wcześniej w historii III RP się nie wydarzyło. Przekuć potencjał polskiego środowiska w Stanach na relacje polsko-amerykańskie i pokazać, iż z tego może płynąć korzyść dla obu stron. Udało się udowodnić środowiskom konserwatywnym w USA, że relacja z dużym polskim medium jest dla nich opłacalna w walce o głosy, i jednocześnie otworzyć je na sprawy Rzeczpospolitej, sprawić, by stały się one dla nich zrozumiałe. To wielki i przełomowy sukces, który nie byłby możliwy bez zaangażowania tysięcy odbiorców mediów Strefy Wolnego Słowa, znacznie bardziej kompetentnych w tej sprawie niż większość polskich polityków, którzy nie potrafią wyjść poza ramy przestarzałego myślenia, w którym to tylko urzędnicy kreują relacje międzynarodowe.

> Tematem numeru „Nowego Państwa" jest sprawa bezpieczeństwa mieszkańców mniejszych i małych polskich miejscowości. Ono jest TOTALNĄ fikcją.

Tematem numeru najnowszego „Nowego Państwa" jest sprawa bezpieczeństwa mieszkańców mniejszych i małych polskich miejscowości. Ono jest TOTALNĄ fikcją. Słynna „lina Wisły" wprost skazywała miliony Polaków ze wschodniej części kraju na samodzielną obronę przed rosyjskim agresorem. Ale przecież obywatele Rzeczypospolitej z terenów poza wielkimi aglomeracjami są wykluczeni z systemu bezpieczeństwa. Co mają zrobić w razie zagrożenia? Jak się zachowywać? Skąd czerpać wiedzę? Na wszystkie te pytania państwo ma jedną odpowiedź – jakoś to będzie. Przygotowaliśmy specjalny raport na temat sytuacji mieszkańców mniejszych miejscowości, warto się z nim zapoznać, by mieć świadomość powagi sytuacji. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe

Od ponad trzech lat Polska jest państwem frontowym. Za naszą wschodnią granicą toczy się pełnoskalowa wojna, a nad Europą wisi widmo konfliktu atomowego. Mimo to nadal jesteśmy w ogonie państw w zakresie budownictwa ochronnego i świadomości społecznej z tym związanej. W razie zagrożenia na miejsce w schronach może liczyć znikomy ułamek obywateli i dotyczy to głównie mieszkańców większych miast. Na mapie Polski nie brakuje białych plam, gdzie schronów w ogóle nie ma, a jeżeli są, to nikt o nich nie wie, bo stoją zagruzowane albo na uboczu. Ponad trzy dekady stagnacji i życzeniowego myślenia, że wojny światowej nie będzie, a schrony to wyłącznie relikt przeszłości, doprowadziły nas do obecnej sytuacji w tym segmencie.

Konrad Wysocki



Schrony w Polsce, czyli gorzej niż źle

eprasa.pl 8145cd3dbe



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl 8145cd5e

Większość Polaków o schronach usłyszała dopiero po wybuchu rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku. Docierające zza naszej wschodniej granicy doniesienia o syrenach alarmowych, sygnalizujących konieczność ewakuacji i znalezienia schronienia, a także nagrania przedstawiające Ukraińców gromadzących się na przykład na stacjach metra, by uchronić się przed rosyjskim ostrzałem artyleryjskim, wielu z nas zmusiły do zadania pytania, jak wyglądałaby taka sytuacja w Polsce? Gdzie mielibyśmy szukać schronienia i jak trzeba by przygotować się do nagłej ewakuacji? Co ze sobą zabrać? Gdzie się kierować? W zamieszczanych w sieci filmach losowi przechodnie, pytani na ulicach polskich miast, z czym kojarzą im się schrony, odpowiadali najczęściej, że z II wojną światową. Nieliczni wskazywali na filmy i seriale dokumentalne, w których się one pojawiały, czy... na gry komputerowe. Respondenci wiedzieli w teorii, do czego służy schron i jak mniej więcej wygląda. Jednak na pytanie, czy wiedzą, gdzie znajduje się najbliższa tego typu budowla, odpowiedź niemal zawsze była przecząca.

Z DOSTĘPNYCH DANYCH WYNIKA, ŻE NAJWIĘKSZĄ LICZBĄ SCHRONÓW I UKRYĆ DYSPONUJE WOJEWÓDZTWO MAZOWIECKIE (1784), ZAŚ NAJMNIEJSZĄ – WOJEWÓDZTWO LUBUSKIE (75 – W TYM WYPADKU WYŁĄCZNIE MIEJSCA UKRYCIA). WOJEWÓDZTWA TZW. WSCHODNIEJ ŚCIANY POLSKI ŁĄCZNIE MAJĄ ICH MNIEJ NIŻ JEST ICH NA SAMYM MAZOWSZU.

Schron a ukrycia

Na początek należy wyjaśnić, co kryje się pod pojęciem „budowla ochronna", ponieważ bardzo często w przekazie medialnym mamy do czynienia z błędnym postrzeganiem typów budowli, które je tworzą. Z definicji: „Budowla ochronna to pomieszczenie lub zespół pomieszczeń przeznaczonych do ochrony osób, urządzeń, zapasów materiałowych lub innych dóbr materialnych przed skutkami działań zbrojnych, ekstremalnych zjawisk pogodowych, katastrof ekologicznych, przemysłowych lub innych zagrożeń". Wśród nich wyróżniamy dwie kategorie – schrony i ukrycia. Schron to „budowla konstrukcyjnie zamknięta, hermetyczna, zapewniająca ochronę osób, urządzeń, zapasów materiałowych lub innych dóbr materialnych przed założonymi czynnikami rażenia oddziałującymi ze wszystkich stron". Szczebel niżej w hierarchii stoją ukrycia. To „budowle ochronne niehermetyczne, wyposażone w najprostsze instalacje, zapewniające ochronę osób, urządzeń, zapasów materiałowych lub innych dóbr materialnych przed założonymi czynnikami rażenia oddziałującymi z określonych stron". Odrębną kategorię zajmują tzw. Miejsca Doraźnego Schronienia, czyli popularne MDS-y. Nie mają one szczególnych wymagań odpornościowych. Miejscem ukrycia może być wspomniana wyżej stacja metra. Miejscem Doraźnego Schronienia – piwnica w budynku szkoły czy urzędu, parking podziemny etc. Schron ochroni nas przed najcięższą formą zagrożeń. MDS – na przykład przed ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi. – Definicja schronu wynika bezpośrednio z treści ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej. Nie jest ona definicją wyłącznie techniczną, lecz techniczno-administracyjną. Czyli jeżeli coś wedle tej ustawy ma być uznane za schron, musi wobec tego obiektu zostać wydana na przykład decyzja administracyjna, dokument uznający daną budowlę za ochronną. W świetle tej ustawy obiekt mający cechy schronu i wyglądający jak on, nie będzie nim do momentu ustanowienia takiej decyzji – wskazuje w rozmowie z „NP" Aleksander Fiedorek, ekspert w zakresie broni masowego rażenia, specjalista ds. wyposażenia oraz funkcjonalności budowli ochronnych, popularyzator wiedzy na ten temat.

Dane nie odzwierciedlają skali problemu

Warto w tym miejscu wrócić do pytania, skąd czerpać informacje na temat miejsc oznaczonych jako schrony lub miejsca ukrycia. Wiedza z tego zakresu powinna być powszechna i znana, jednak bardzo często nie mają jej nie tylko zwykli obywatele, lecz nawet władze samorządowe, które powinny dysponować danymi na temat takich miejsc w rejonie swojej odpowiedzialności. Najbardziej znanym źródłem wiedzy o schronach i miejscach ukrycia jest aplikacja Schrony. Dane w niej zawarte są wynikiem inwentaryzacji przeprowadzonej na przełomie 2022 i 2023 ro-

eprasa.pl 8145cd3dbe

ku przez Państwową Straż Pożarną (PSP) na terenie całego kraju. Pod lupę wzięto około 235 tys. obiektów. 224 tys. z nich to Miejsca Doraźnego Schronienia (MDS), a tylko 10 622 to budowle ochronne, w tym ukrycia – 8719, zaś schrony – 1903. Przekładając to na liczbę ludności w Polsce (35,55 mln osób – dane za ubiegły rok), wychodzi, że w przypadku realnego zagrożenia schronienie znalazłoby się dla... 1,5 proc. populacji naszego kraju.

Oddajmy w tym miejscu głos ekspertowi. – Według mnie nie należy kierować się danymi z inwentaryzacji przeprowadzonej przez PSP. W samej istocie była ona bardzo dobrym pomysłem, jednak jej wykonanie nie było już tak dobre. Znacznie bardziej miarodajny jest raport Najwyższej Izby Kontroli (NIK) z 2024 roku. Według tego dokumentu, schronów w Polsce jest więcej, niż wynika to z inwentaryzacji PSP. Sama liczba nie jest jednak najważniejsza. Większe znaczenie ma realna dostępność tych miejsc, a ona jest jeszcze niższa niż z przeznaczeniem dla 1,5 proc. Polaków. Na ogólną liczbę schronów należy nałożyć współczynnik dotyczący ich stanu technicznego. Z raportu NIK wynika, że ponad 60 proc. budowli do niczego się nie nadaje. Dopiero wtedy mamy faktyczny stopień liczby populacji, która miałaby się gdzie schronić. Porównując to do skali zagrożenia i innych krajów NATO czy UE, jesteśmy w ogonie – wskazuje Fiedorek.

Już sam tytuł raportu NIK, na który powołuje się nasz rozmówca („W schronie się nie schronisz"), wiele mówi o skali problemu. „Sześć z 32 gmin skontrolowanych przez NIK nie zapewniło takiego miejsca żadnemu ze swoich mieszkańców, a 68 proc. poddanych oględzinom schronów i ponad połowa ukryć nie spełniały wymaganych warunków technicznych" – wskazano. Z dostępnych danych wynika, że największą liczbą schronów i ukryć dysponuje województwo mazowieckie (1784), zaś najmniejszą – województwo lubuskie (75 – w tym wypadku wyłącznie miejsca ukrycia). Województwa tzw. wschodniej ściany Polski to odpowiednio: województwo warmińsko-mazurskie (227), podlaskie (488), lubelskie (271) i podkarpackie (772). Łącznie daje to mniej (1758) niż na samym Mazowszu.

Jak to wygląda w samorządach

Im dalej od większych miast, tym sytuacja robi się coraz trudniejsza. W ramach uzyskania rzetelnej informacji o schronach, miejscach ukrycia i MDS-ach, postanowiłem skontaktować się z władzami 20 powiatów z całego kraju, przy czym z wiadomych względów (wojna na Ukrainie, sąsiedztwo Rosji i Białorusi) większą część stanowiły te leżące we wschodniej części naszego kraju. Do momentu oddania tego artykułu do druku wpłynęły odpowiedzi z połowy z nich. I tak oto na terenie powiatu włodawskiego (województwo lubelskie) znajdują się dwa schrony spełniające wymogi oraz 11 budynków, w których występują miejsca doraźnego schronienia ludności. Należy przy tym odnotować, że liczba ludności tego powiatu to około 38 tys. osób. Z kolei na terenie zamieszkanego przez 31 tys. osób powiatu łosickiego (woj. mazowieckie) w ogóle nie ma takich miejsc. Podobna sytuacja ma miejsce na terenie powiatu przemyskiego, w którym nie ma zlokalizowanych schronów. „Zgodnie z planem zarządzania kryzysowego, obiekty przyjmujące ewakuowaną ludność na terenie powiatu przemyskiego, to m.in. szkoły, hale sportowe czy domy ludowe" – czytamy w odpowiedzi na przesłane pytania. Schronów i miejsc doraźnego schronienia nie ma też w powiecie hajnowskim na Podlasiu, o czym redakcję poinformował starosta Andrzej Skiepko. W znacznej części odpowiadający odsyłali nas do wspomnianej wyżej aplikacji Schrony, o miarodajności której zdążyliśmy napisać już kilka słów. Reszta nie odpowiedziała na nasze pytanie.

– W zakresie mniejszych miejscowości i wsi, stosowna koncepcja powinna być opracowana w czasie pokoju, na przykład przez wójtów, jak w razie wystąpienia zagrożenia będą chronieni obywatele obszaru, za który on odpowiada. Powinna być opracowana wiedza na temat liczby potencjalnych ewakuowanych i miejsca ewakuacji. Czy będą to na przykład MDS-y rozlokowane na obrzeżach terenu zabudowanego lub w lasach, czy pod takimi obiektami jak szkoły czy urząd miasta będą wykonane budowle ochronne etc. To leży w gestii konkretnego organu ochrony ludności, ale bezwzględnie takie plany powinny być przygotowane w czasie pokoju – podkreśla Aleksander Fiedorek.

Zamiast ćwiczeń, test... syren

Nasz rozmówca podkreśla również brak odpowiedniej liczby ćwiczeń z zakresu ewakuacji i obrony ludności cywilnej, organizowanych przez samorządy. Przykładowo: w jednej z miejscowości podregionu warszawskiego jedynym cyklicznie organizowanym ćwiczeniem jest test systemu wczesnego ostrzegania. W skrócie wygląda to tak, że mieszkańcy otrzymują wiadomość zapowiadającą wycie syren przez określone godziny danego dnia. I na tym koniec. Patrząc na częstotliwość tego przedsięwzięcia, syreny alarmowe są najdokładniej przetestowanym sprzętem na terenie omawianej miejscowości. Oczywiście władze gminne wyjaśniają, że to tylko test,

eprasa.pl 8145cd3dbe

a nie informacja o realnym zagrożeniu. Co jednak w sytuacji, gdyby mieszkańcy faktycznie znaleźli się w sytuacji zagrażającej zdrowiu lub życiu? – Uważam, że liczba ćwiczeń organizowanych przez władze samorządowe jest zbyt mała. Co więcej, powinny to być ćwiczenia o niespotykanej wcześniej skali. Powinniśmy zacząć trenować ewakuację całych obszarów miejskich, ich funkcjonowanie w warunkach ograniczonej dostępności do wody, żywności czy lekarstw. Inaczej nie da się zapoznać z tymi zagadnieniami. Powinniśmy się cieszyć, gdy następstwem takich ćwiczeń byłoby uwypuklenie wszystkich mankamentów i problemów. Ćwiczenia nie mogą być teatrem. Muszą dać wiedzę, z czego nie jesteśmy przygotowani, gdzie są braki, co należy poprawić etc. Dopiero wtedy takie ćwiczenia będzie można uznać za udane – mówi Fiedorek. – Dobrym pomysłem byłaby też społeczna, ogólnokrajowa kampania na temat sytuacji bezpieczeństwa właśnie w kontekście

PRZYBYWA OSÓB, KTÓRE CHCĄ ZNAĆ PODSTAWOWE ZASADY ZACHOWANIA SIĘ W SYTUACJACH NAGŁYCH, WYMAGAJĄCYCH EWAKUACJI, PODJĘCIA KLUCZOWYCH DECYZJI POD PRESJĄ CZASU, A PRZEDE WSZYSTKIM CHOCIAŻ W MINIMALNYM STOPNIU BYĆ PRZYGOTOWANE NA TAKĄ EWENTUALNOŚĆ.

schronienia się, niekoniecznie już na czas wojny, ale na przykład wystąpienia klęsk żywiołowych – dodaje. – Istotny element to także kwestia dostępności wody, żywności czy lekarstw w miejscach schronienia do przetrwania dla ludności. Tu także jest wiele rzeczy do zrobienia. Chodzi też o zdolność do produkcji przez państwo określonych rzeczy, do ich dystrybucji, zabezpieczenia procesów leczniczych – uzupełnia.

Pionierzy z Europy

W kwestiach związanych ze schronami i obroną cywilną mamy bardzo wiele do nadrobienia. Nieprzypadkowo ekspert wspomniał o „dalekim ogonie" wśród krajów Europy. Trzeba jednak przyznać, że na kontynencie jest kilka krajów będących wzorem, prawdopodobnie niedoścignionym, do naśladowania. Chodzi głównie o Finlandię i Szwajcarię. Oba kraje są w stanie zapewnić odpowiednie schronienie niemal wszystkim obywatelom. W pierwszym z wymienionych, w razie zagrożenia, system zapewnia schronienie dla ponad 80 proc. populacji swojego kraju. Łączna liczba schronów różnego typu oscyluje tam wokół 54 tys. W czasie pokoju nie stoją one jednak bezczynnie. Spełniają się jako centra handlowe, miejsca rozrywki, siłownie, restauracje, a nawet place zabaw dla dzieci. Wystarczy kilka godzin, by wróciły do swojej pierwotnej roli. Tylko w stołecznych Helsinkach takich podziemnych miejsc jest około 50. Co ważne, ich konstrukcja zapewnia nie tylko ochronę przed pociskami i artylerią, lecz w zdecydowanej większości także przed atakiem chemicznym. Władze systematycznie sprawdzają stan poszczególnych schronów. Warto też zaznaczyć, że zgodnie z fińskim prawem każdy budynek cywilny, którego powierzchnia wynosi co najmniej 1200 metrów kwadratowych, musi posiadać schron. – Na przestrzeni ostatnich lat wyposażenie schronów ewoluowało. W okresie zimnej wojny gwałtownie rozwinęły się konstrukcje zabezpieczają-

ce przed uderzeniem bronią jądrową. Teraz, zwłaszcza w krajach rozwiniętych, coraz większy nacisk kładzie się na ochronę przeciwpożarową. Pojawiają się coraz nowocześniejsze systemy wykrywania skażeń, przystosowane do wykrycia coraz większej ilości substancji trujących. Budownictwo ochronne pod względem koncepcyjnym, technicznym rozwija się cały czas – podkreśla nasz rozmówca.

Z doświadczenia Finów zamierza skorzystać Ukraina. Pod koniec maja bieżącego roku przedstawiciele obu krajów podpisali memorandum o współpracy w tym zakresie. Celem ukraińskich władz jest zbudowanie w ciągu najbliższej dekady ponad 10 tys. schronów dla ludności cywilnej. Rozbudowę i modernizację przestarzałej sieci schronów cywilnych planują również Niemcy. Jak wynika z szacunków tamtejszych mediów, w razie ataku schronienie znalazłoby zaledwie 5 proc. populacji liczącej ponad 83,5 mln osób. A to i tak optymistyczne dane, ponieważ większość z istniejących schronów nie nadaje się do użytku. W planach Berlina jest przeznaczenie na ten cel 40 mld euro w ciągu najbliższych 14 lat.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Budowa sieci schronów to też istotny element strategii bezpieczeństwa krajów bałtyckich, czyli Litwy, Łotwy i Estonii. Zwłaszcza że, jak przewidują liczne analizy i raporty, to właśnie one mogą stać się pierwszym celem Rosji w momencie wywołania przez Kreml wojny z NATO.

„Czas bezpieczeństwa bezpowrotnie minął"

Brak odpowiedniej liczby schronów, opłakany stan większości z istniejących i poważne braki w zakresie wiedzy społeczeństwa odnośnie do sytuacji kryzysowych to problemy, które nie pojawiły się w Polsce wczoraj. Są efektem gigantycznej stagnacji, sięgającej ponad trzech dekad. – Od 1990 roku żadna władza w Polsce nie zbudowała skutecznego modelu świadomości społecznej w tym segmencie. Obrona cywilna padła na początku lat 90. i od tamtej pory nikt na poważnie nie podjął się tego tematu i jego rozwijania. Kluczową rolę odgrywają media. Wskazują na istotne problemy w zakresie budownictwa ochronnego w Polsce. Bez zainteresowania dziennikarzy, alarmowania o problemach, przyciskania polityków nie byłoby szans na postępy w tej materii – uważa ekspert. Jego zdaniem to również efekt wieloletnich przekonań, że schrony są reliktem przeszłości i nie grozi nam już żadna wojna światowa. – Wojny, jeżeli już miały się pojawić, miały mieć charakter ekspedycyjny, gdzieś na peryferiach świata. Rzeczywistość brutalnie zweryfikowała jednak takie postrzeganie – dodaje. I rzeczywiście, o tym, jak wygląda sytuacja geopolityczna regionu w połowie obecnej dekady, nie trzeba nikogo przekonywać. Inwazja na Ukrainę trwa już 42 miesiące. Rosja cały czas podkręca neoimperialną retorykę, co jakiś czas wymachując atomową szablą. Z każdym rokiem przybywa punktów zapalnych na światowej mapie. – Jako społeczeństwo musimy zdać sobie sprawę, że okres względnego spokoju, z którym mieliśmy do czynienia przez 32 lata, bezpowrotnie minął. Jako państwo frontowe NATO musimy patrzeć na rzeczywistość zupełnie inaczej – uważa.

Podsumowanie

Patrząc na ogólną sytuację w Polsce odnośnie do liczby schronów i miejsc ukrycia, a także świadomość społeczną w tym zakresie, nie ulega wątpliwości, że jest jeszcze wiele do zrobienia. Choć wojna na Ukrainie trwa już od ponad trzech lat, a rządzący naszym krajem na każdym kroku podkreślają systematyczne wyciąganie wniosków z jej przebiegu, wydaje się, że chodzi przede wszystkim o aspekt militarny, a nie cywilny. Trudno inaczej tłumaczyć bowiem sytuację, w której przez rzeczony czas w omawianej kwestii nie widać realnych postępów. Jeżeli są podejmowane jakieś działania, przybierają one formę doraźną. Tak jakby liczył się sam fakt działania, a nie jego rzeczywisty efekt. To, co może napawać optymizmem, to coraz bardziej widoczna zmiana mentalności części obywateli w podejściu do tematu bezpieczeństwa. W ujęciu ogólnym wiedza z tego zakresu nadal kuleje, jednak przybywa osób, które chcą znać podstawowe zasady zachowania się w sytuacjach nagłych, wymagających ewakuacji, podjęcia kluczowych decyzji pod presją czasu, a przede wszystkim chociaż w minimalnym stopniu być przygotowane na taką ewentualność. Nie ulega wątpliwości, że to trwająca wojna na Ukrainie i jej przebieg sprawiły, że część z nas zaczęła interesować się tematyką bezpieczeństwa. – Nawet wiedza na podstawowym poziomie znacznie zwiększa nasze szanse na przeżycie w sytuacji zagrożenia. Jeżeli spakuję sobie podstawowe rzeczy na przetrwanie dwóch, trzech dni, to już zyskuję przewagę nad tymi, którzy tego nie zrobią. Z takim przygotowaniem o wiele łatwiejsza jest ewakuacja. Drobne rzeczy, które jest w stanie zrobić każdy obywatel, poprzez swoją masowość znacznie podnoszą poziom odporności całego społeczeństwa. To bardzo ważne, by obywatele choćby w podstawowy sposób byli przygotowani do takich zdarzeń – kończy nasz rozmówca. ■

BRAK ODPOWIEDNIEJ LICZBY SCHRONÓW, OPŁAKANY STAN WIĘKSZOŚCI Z ISTNIEJĄCYCH I POWAŻNE BRAKI W ZAKRESIE WIEDZY SPOŁECZEŃSTWA ODNOŚNIE DO SYTUACJI KRYZYSOWYCH TO PROBLEMY, KTÓRE NIE POJAWIŁY SIĘ W POLSCE WCZORAJ. SĄ EFEKTEM GIGANTYCZNEJ STAGNACJI, SIĘGAJĄCEJ PONAD TRZECH DEKAD.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Dyskursy albo prawda, czyli między postmodernizmem a normalnością

Jacek Rutkowski

Współczesny człowiek zatracił pragnienie prawdy, zamieniając je na głód ciekawostek. Natura wszechświata to kwestia poboczna, natomiast tym, co się istotnie liczy, okazują się romanse aktorów, wakacje znajomych czy upadek rządu w Kirgistanie. Jak powiadał Chesterton, liczy się wszystko – z wyjątkiem wszystkiego. Skąd się wzięła ta niechęć względem prawdy, która w postmodernizmie stała się regułą?



FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 8145cd3dbe



W historii filozofii mówi się często o „klasycznej koncepcji prawdy", przeciwstawiając ją innym koncepcjom. Według klasycznej koncepcji prawda polega na zgodności intelektu z rzeczą („veritas est adequatio intellectus et rei"), natomiast na przykład według koherencyjnej koncepcji prawdy „prawdziwe jest to, co wewnętrznie spójne". Z kolei pragmatyczna teoria prawdy zakłada, że kryterium prawdziwości sądów jest użyteczność. Jeśli zatem ktoś zbuduje teorię (przyznajmy, oderwaną nieco od rzeczywistości), według której Donald Tusk jest uczciwym, a ponadto bardzo prawicowym politykiem – otóż jeśli ktoś zbuduje całkowicie spójną teorię, w której wnioski wynikają z przyjętych założeń (można sobie na przykład założyć, że Donald Tusk najwyżej stawia interes Polski), wówczas taka teoria będzie prawdziwa w sensie koherencyjnej koncepcji prawdy. Jeśli natomiast ktoś ma kłopoty w konstruowaniu spójnych teorii, a przy tym chce przekonać do Donalda Tuska uczciwych, prawicowych obywateli, może skonstruować teorię (choćby niespójną), według której Donald Tusk jest uczciwym, prawicowym politykiem. Taka teoria byłaby wielce użyteczna w celu zdobycia głosów prawicowej części obywateli, a zatem byłaby prawdziwa w rozumieniu pragmatycznej koncepcji prawdy.

Przeraźliwe opary absurdu wyziewające z powyższych zdań posiłkują się ze wszech miar postmodernistycznym żonglowaniem pojęciem „prawda", którego blask i splendor próbują sobie przywłaszczyć zwolennicy rozmaitych oderwanych od rzeczywistości koncepcji. Obie wspomniane koncepcje, koherencyjna i pragmatyczna, są wyrazem starożytnej, sofistycznej zasady Protagorasa „homo mensura": człowiek jest miarą wszystkiego. Spójność wewnętrzna i użyteczność to kryteria, które nie wymagają odwołania się do rzeczywistości zewnętrznej. Aby się do nich odwołać, wystarczy myślenie i odczuwanie, nie potrzeba poznawania. Tymczasem pojęcie prawdy odnosi się przede wszystkim właśnie do poznania oraz do sądów poznawczych. Nieklasyczne koncepcje prawdy próbują w imię fałszywej skromności ominąć problem rzekomo nieosiągalnego poznania oraz uratować w jakiś sposób (mniej lub bardziej karkołomny) samo pojęcie prawdy. W ten sposób nie tyle wylewają dziecko z kąpielą, ile raczej wyrzucają dziecko, pozostawiając kąpiel nienaruszoną.

Klasyczna koncepcja prawdy

Klasyczna koncepcja prawdy to w istocie raczej „klasyczna definicja prawdy", sformułowanie słowne tego, czym jest prawda. W sensie ścisłym należałoby przy tym mówić raczej o prawdziwości sądów niż o samej prawdzie, gdyż prawda jest zawsze prawdą sądu. Święty Tomasz z Akwinu definiuje prawdę dokładniej w sposób następujący: „Prawda to zgodność intelektu i rzeczy, polegająca na tym, że intelekt twierdzi, że istnieje to, co istnieje, albo że nie istnieje to, co nie istnieje" („Summa contra gentiles", I, 59, 2). Prawda zatem zawsze wiąże się z bytem. Tak na przykład jeśli wygłaszam sąd: „Weronika istnieje", a Weronika naprawdę istnieje, to mówię prawdę. Jeśli natomiast mówię: „Weronika bawi się lalkami", a Weronika istotnie bawi się lalkami – czyli istnieje stan bytowy wyrażony za pomocą tych słów – to mówię prawdę. Każdy sąd odnosi się do bytów i do relacji pomiędzy nimi, które albo rzeczywiście istnieją czy zachodzą, albo też nie. Święty Tomasz z Akwinu jeszcze głębiej postrzega relację między prawdą a bytem, stwierdzając, że poznanie jest skutkiem prawdy założonej w rzeczach. Tak zatem prawda istnieje najpierw w rzeczy, a dopiero następczo istnieje w intelekcie jako zgodność z rzeczą. Źródłem prawdy w rzeczach jest ich Stwórca, który, dając istnienie wszystkim rzeczom, wyznacza im prawdę. W człowieku prawda znajduje się w sposób wtórny. Prawda nie bierze się z myśli ludzkiej, lecz z bytu: „veritas sequitur esse rei" (prawda jest następstwem istnienia rzeczy). Poznawanie prawdy wymaga zatem pewnej pokory i wsłuchania się w głos stworzenia, wyposażonego w prawdę przez Stwórcę.

Klasyczna koncepcja prawdy a matematyka

Może się tutaj nasunąć pytanie, jak się ma sprawa z prawdziwością teorii matematycznych, które nie dotyczą bezpośrednio bytu, lecz pewnych wyabstrahowanych przez człowieka właściwości bytu (takich na przykład jak krągłość czy ciągłość funkcji). Koherencyjna koncepcja prawdy została ukuta właśnie ze względu na przypadek matematyki i innych teorii naukowych. Otóż wydaje się, że nawet w matematyce prawda polega na pewnej zgodności z rzeczywistością, bądź też pewnymi wyabstrahowanymi i wyidealizowanymi jej aspektami. Matematycy podczas swych zmagań o dowodzenie twierdzeń mają silne poczucie ścierania się w bojach z czymś realnym, widzą rzeczywistość, a nie tylko zgodność z założeniami (sam jestem matematykiem i nieraz wychodziłem z łupniami z nierównych walk z całkami wielowymiarowymi). Szczególną uwagę zwraca fakt, że dziedziną, w której aksjomaty i wnioski nie narzucają się z całą mocą i sprawiają wrażenie pewnej dowolności, jest najbardziej oddalona od rzeczywistości teoria mnogości. Szczególny problem sprawia w niej aksjomat zwany pewnikiem wyboru, który głosi, że dla każdej rodziny niepustych, parami rozłącznych zbiorów istnieje zbiór zawierający po jednym elemencie z każdego zbioru. Zgodnie ze słynnym paradoksem Banacha–Tarskiego, jeśli przyjmie się aksjomat wybo-

eprasa.pl 8145cd3dbe

ru, to okaże się, że można pokroić kulę na pięć kawałków, a potem złożyć z tych kawałków dwie kule o takiej samej objętości! Autor tego tekstu miał kiedyś przyjemność uczestniczyć w wykładzie otwartym na wydziale matematyki Uniwersytetu Warszawskiego, na którym pewien słuchacz, oburzony takimi bzdurami, zawołał: „Co pan gada! Przecież jakby to była prawda, to można by było z groszka Słońce zrobić!".

Wiadomo jednak skądinąd, że z groszka nie da się zrobić Słońca, więc paradoks Banacha–Tarskiego nie może być prawdziwy – a w każdym razie nie w sensie klasycznym. Im matematyka bardziej oddala się od swego źródła, jakim są wyabstrahowane ze świata rzeczywistego pojęcia, tym bardziej zaciera się w niej prawda, gdyż to właśnie rzeczywistość jest źródłem prawdy. Teoria mnogości, rozważająca zbiory skończone jako szczególny i mało ciekawy przypadek zbiorów, a badająca przede wszystkim zbiory nieskończone, tak mocno oddala się od rzeczywistości, że prawda staje się w niej czymś mało uchwytnym i można odczuć wrażenie pewnej arbitralności. Do dzisiaj zresztą matematycy spierają się, czy warto przyjąć aksjomat wyboru, czy też należałoby się zadowolić jakimś innym. Po tym krótkim matematycznym ekskursie wróćmy do filozofii.

Nurt idealistyczny w filozofii został zapoczątkowany przez Kartezjusza, który ze swojego słynnego „cogito ergo sum" wyprowadził istnienie zarówno Boga, jak i całej rzeczywistości zewnętrznej. Myśl ma tutaj pierwszeństwo przed bytem. W wyniku tzw. wątpienia metodycznego zostają wzięte w nawias wszystkie zdroworozsądkowe przekonania o istnieniu świata, prawdziwości wrażeń zmysłowych, nawet o istnieniu samego siebie. Aby uwypuklić znaczenie paradygmatycznej zmiany dokonanej przez Kartezjusza, warto ją skonfrontować z myślą św. Augustyna. Otóż ten ojciec Kościoła w dziele „O państwie Bożym" sformułował stwierdzenie bardzo podobne do kartezjańskiego „cogito". Pisze mianowicie: „si fallor, sum", „jeśli błądzę, jestem". Czy zatem Kartezjusz to zwykły plagiator, a idealizm zaczął się tak naprawdę już w IV wieku? Gdy tylko Kartezjusz zamieścił swoją słynną zasadę w „Rozprawie o metodzie", wnet podniosły się głosy, że to tylko kopia starych rozważań św. Augustyna. Kartezjusz sam zauważył ten problem i po lekturze odpowiedniego passusu z dzieła „O państwie Bożym" stwierdził, że dla Augustyna celem było wskazanie na obraz Trójcy Świętej w człowieku, przejawiającej się w tym, że człowiek jest (Ojciec), wie, że jest (Syn) oraz kocha swój byt i swoją wiedzę (Duch Święty). Natomiast dla samego Kartezjusza „cogito" służy pokazaniu, że myślące „ja" jest substancją niematerialną, która nie ma nic cielesnego, na czym następnie zostaje zbudowany cały system wiedzy.

Nowe normy postępowania to zwykłe negacje starych norm. Postmodernistyczne społeczeństwo żywi się pogardą dla tradycji cywilizacji europejskiej. Ciekawe, na ile wystarczy tego pokarmu.

Nowożytne perypetie prawdy: Kartezjusz

W opozycji do szeroko rozumianego nurtu realistycznego, powszechnego w starożytności i średniowieczu, w filozofii nowożytnej zaczął dominować nurt idealistyczny. O ile realizm opiera się na podstawowej przesłance co do istnienia świata zewnętrznego i przekonaniu o możliwości poznania go, o tyle dla idealizmu prawdy te mogą stanowić pewne dalsze wnioski wyprowadzone z innych zasad. Podstawę idealizmu stanowi nie dana oczywistość zewnętrznej rzeczywistości, lecz czysta myśl. Zamiast wychodzić od rzeczy, wychodzi się od myślenia. Tym, co pierwotnie dane, nie jest świat zewnętrzny, lecz samo myślenie, bądź też czyste ja, jawiące się przede wszystkim jako podmiot myślenia.

Zarówno dla świętego Augustyna, jak i dla Kartezjusza, „cogito" służyło jako argument nie do odparcia skierowany przeciw sceptykom. Różnica polega na miejscu, jakie „cogito" zajmowało w całej architekturze ich systemów. O ile dla Kartezjusza stanowiło ono kamień węgielny całej konstrukcji i jedyny punkt zaczepienia, o tyle dla świętego Augustyna stanowiło jedynie argument w walce przeciw nękającym go rozumowaniami sceptykom. Dla świętego Augustyna argument „cogito" stanowił jakby bezpieczny port, do którego statek jego myśli mógł bezpiecznie przybić, chroniąc się od morza wzburzonego sceptycznymi knowaniami. Aby obrazowo ująć, czym jest „cogito" dla Kartezjusza, wyobraźmy sobie kosmonautę wędrującego przez pu-

eprasa.pl 8145cd3dbe

sty, zimny wszechświat. Kosmonauta siedzi przywiązany do fotela, nie ma w zdrętwiałych członkach czucia, nie może obejrzeć się w żadną stronę, bo głowę ma przytwierdzoną. Zresztą, oglądanie się nic by nie dało, bo z żadnej strony nie dobiegałoby światło. Kosmonauta wędruje tak całe lata, nie ma nic, co mogłoby nakarmić jego intelekt, zewsząd zionie pustka i nicość. Wtem, po latach udręki, dostrzega gwiazdę, punkt zaczepienia, początek życia myśli, skrawek rzeczywistości. „Cogito, ergo sum" jest niczym gwiazda wyłaniająca się z przeraźliwej pustki, z „wiekuistej ciszy nieskończonych przestrzeni" (jak to wspaniale ujął Pascal).

Prawda w umyśle według Kanta

Kartezjusz, wychodząc od myśli, doszedł ostatecznie do rzeczy. Jego wątpienie w możliwość poznania bytu miało charakter wyłącznie metodyczny. Możliwość poznania postawił pod znakiem zapytania Immanuel Kant. Nowe wyniki zawdzięczał postawieniu nowego pytania: jak na podstawie przedstawień możemy wiedzieć cokolwiek o rzeczach? Bo dane nam są tylko przedstawienia, a my sądy wypowiadamy o rzeczach. Jak jest możliwe to przejście od przedstawienia do rzeczy, od podmiotu do przedmiotu? Innymi słowy, nieco upraszczając: jak mogę wiedzieć cokolwiek o kamieniu, skoro ja jestem tutaj, a kamień jest tam?

Można wyróżnić cztery główne typy odpowiedzi na to pytanie. Po pierwsze, można stwierdzić, że o kamieniu nic wiedzieć niepodobna, zmysły są złymi świadkami rzeczy i świat jest zupełnie niedostępny poznaniu. To właśnie twierdzili już w czasach starożytnych sceptycy. Na drugim krańcu spektrum możemy umieścić dość zabawny przykład pewnego starożytnego filozofa, który uważał, że wiedza o kamieniu polega na tym, że w głowie poznającego powstaje jego dokładna kopia, tylko że taka malutka, ot, w sam raz, żeby spokojnie zmieścić się w głowie. Dzięki temu możemy osiągnąć dokładne poznanie.

Następne dwie odpowiedzi na pytanie: jak jest możliwe poznanie, skoro podmiot i przedmiot są oddalone? – sytuują się pomiędzy wspomnianymi dwiema skrajnościami. Poznanie jest możliwe, jednak nie polega na kopiowaniu przedmiotu poznania. Powstaje pytanie, który czynnik jest w procesie poznania aktywny: podmiot czy przedmiot? Według świętego Tomasza z Akwinu to przedmiot poznania jest aktywny – podmiot jedynie odbiera wrażenia, a następnie je przetwarza. Możemy w sposób adekwatny poznać rzecz. Co prawda, jak mówi scholastyczne adagium, „quidquid recipitur, ad modum recipientis recipitur" (cokolwiek jest odbierane, zostaje odebrane na sposób odbierającego, tzn. odbierający jakoś wpływa na odbiór), jednak pewne zniekształcenie przedmiotu poznania nie oznacza zafałszowania. W intelekcie nie powstaje kamień, tylko adekwatna „forma poznawcza" kamienia.

Czwarta odpowiedź na nasze pytanie o możliwość poznania została sformułowana przez Kanta. W tej koncepcji to podmiot jest aktywny w poznaniu. Co więcej, podział na podmiot i obiektywnie istniejący przedmiot, który moglibyśmy poznać, Kant uważa za niesłuszny. Przedmiot nie istnieje bez podmiotu. Podmiot jest warunkiem przedmiotu, wytwarza go. Wiedza ma pewne aprioryczne czynniki, których niepodobna się pozbyć, a które odpowiadają za kształt wiedzy. Za ich pomocą człowiek postrzega rzeczywistość, która jest w swej głębi niedostępna. Poznanie nie jest zatem poznaniem rzeczy samej w sobie, tylko pewnym nakładaniem na rzeczy apriorycznych czynników, wśród których najważniejsze to: czas, przestrzeń, substancja oraz przyczynowość.

Mówiąc obrazowo, w koncepcji świętego Tomasza poznany byt odciska się w intelekcie człowieka jak w wosku – nie poznajemy bezpośrednio samego bytu, tylko jego formę, ale jest to forma adekwatna. Natomiast w koncepcji Kanta poznanie bytu polega na wyciskaniu formy za pomocą różnych dostępnych uprzednio rylców czy wzorów (czyli na przykład: czasu, przestrzeni, substancji czy przyczynowości). Poznanie jest twórcze, nie zaś receptywne. Skoro poznanie polega na wytwarzaniu, cóż przeszkadza, abym ja wytworzył jedną myśl, a ktoś inny inną? Skoro każdy ma swoją opinię, którą sam wytworzył niezależnie od rzeczywistości, to każdy ma swoją prawdę i nie można mu tej prawdy odebrać. To właśnie jest podstawowa przesłanka postmodernizmu.

„Fetysz prawdy" w postmodernizmie

Postmodernizm można ogólnie określić jako nieufność względem „metanarracji". Metanarracje to totalizujące ideologie i religie, które próbują wyjaśnić sens życia i całą rzeczywistość. Wobec tego postmoderniści są niechętni względem chrześcijaństwa, ale też względem oświecenia czy marksizmu. Metanarracje należy zastąpić „mininarracjami", a w końcu prawdą prywatną. Każdy powinien mieć swoją, „nietotalizującą" prawdę, pozostając otwartym do dialogu z innymi, mającymi inne prawdy. Prawda „totalizująca", która miałaby objąć całą rzeczywistość, to „fetysz", któremu filozofowie od stuleci oddawali pokłony. Wszystko zaczęło się przez Platona, który w „Państwie" pozwolił zakutemu w kajdany więźniowi doznać wyzwolenia z jaskini – krainy cieni i fałszu – oraz przejść do dziedziny prawdy. Ten więzień, ujrzawszy prawdziwą rzeczywistość, już nigdy nie będzie patrzył tak samo na cienie w jaskini, a on i jego uczniowie będą starali się pomóc w wyzwoleniu i ujrzeniu prawdy swoim bliźnim. Otóż postmoderniści twierdzą, że nie ma żadnego wyzwolenia,

eprasa.pl 8145cd3dbe

nie ma prawdy, a cała filozofia i poszukiwanie prawdy nie są warte nawet funta kłaków.

Profesor Artur Andrzejuk określił postmodernizm jako „wykwit idealizmu w połączeniu z dużym ładunkiem woli niszczenia". Wola niszczenia wynika z przekonania, że tradycyjna kultura – a właściwie każda kultura, jaką można sobie wyobrazić – narzuca pewne zachowania i przekonania, stanowiąc tym samym formę opresji. Co ma wspólnego postmodernizm z idealizmem Kartezjusza i Kanta? Otóż według realizmu tomistycznego prawda polega na zgodności intelektu z rzeczą, na pewnym dopasowaniu się do rzeczy, w której jest pierwotnie zawarta tzw. prawda metafizyczna. Poznanie prawdziwe jest skutkiem prawdy istniejącej w rzeczach. Natomiast według Kartezjusza prawda ma swoje źródła w czystym myśleniu, zaś według Kanta – w strukturze intelektu. Jeśli prawda jest w myśleniu lub w intelekcie, a nie ma jej w rzeczach, to każdy ma swoją prawdę.

Oczywiście nowożytni filozofowie tacy jak Kartezjusz czy Kant, funkcjonujący jeszcze w ramach Christianitas, nie zamierzali wysuwać ze swoich rozważań żadnych relatywistycznych ani tym bardziej nakłaniających do jakiegoś buntu wniosków. Obydwu udało się z mozołem doprowadzić swe systemy do wyników zgodnych ze zdrowym rozsądkiem.

Jednak droga do poznawczego buntu została już rozpoczęta, drzwi zostały otwarte. Rzeczywistość jest jedna, a umysłów jest wiele. Jeśli oderwie się prawdę od rzeczywistości, a powiąże się ją z umysłem, prawdy cudownie się rozmnożą, tym samym przestając być prawdami i zamieniając się w „dyskursy", „mininarracje". Według prominentnego postmodernisty Richarda Rorty'ego rzeczywistość nie jest przedmiotem zainteresowania filozofa. Od stwierdzeń dotyczących rzeczywistości ważniejsza jest sama dyskusja między przedstawicielami różnych dyskursów. Inny postmodernista, Jean-François Lyotard, wskazuje, że dzięki rozdrobnieniu na mininarracje i brakowi jednej dominującej wizji świata staniemy w obliczu pewnego chaosu intelektualnego. Otóż według Lyotarda to bardzo dobrze, bo będziemy mieli o czym dyskutować. Trzeba sobie wyobrażać postmodernistycznych filozofów jako miłych starszych panów pykających fajeczkę i gawędzących o tym i owym bez zbytniego zaangażowania. Postmodernista w czasie dyskusji nie szuka prawdy, tylko po prostu wiedzie (plecie) różne dyskursy, aby, jak mówił pan Zagłoba: „para się w gębie nie zagrzała i żeby język nie rozmiękł, co się od przydłuższego milczenia snadnie przytrafić może".

Zakaz prawdy

Ale właściwie po co tak naprawdę cokolwiek mówić, pisać książki, agitować, skoro nie ma prawdy i każde zdanie jest tyle samo warte co jego negacja? Czy nie ma w tym pewnej niekonsekwencji? A może postmoderniści czytali „Potop" i trafił im do serca argument pana Zagłoby o groźbie „zagrzania gęby i rozmiękięcia języka"? Arystoteles powiadał, że człowiek, który nie uznaje zasady niesprzeczności, powinien milczeć – po co bowiem miałby wygłaszać jakiekolwiek stwierdzenia, skoro stwierdzenia przeciwne miałyby według niego taką samą wartość? Przebogata w żywoty filozofów starożytność zna przypadek pewnego konsekwentnego sceptyka, który postanowił żyć zgodnie ze swoimi przekonaniami i wcale się nie odzywał, a żeby jakkolwiek podtrzymać swe funkcje życiowe i komunikować się ze światem, wykonywał ruchy małego palca u ręki. W porównaniu z tym podziwu godnym ascetyzmem postmoderniści to ludzie niezwykle żywiołowi.

W tej swoistej żywiołowości i aktywności intelektualnej nie ma wbrew pozorom sprzeczności czy niekonsekwencji. Postmodernistyczne przekonanie, że „nie ma prawdy", nie ma podobnie paradoksalnego charakteru co zdanie: „to stwierdzenie jest fałszywe", które samo w sobie jest sprzeczne. Zdanie „nie ma prawdy" dotyczy pewnych określonych rodzajów prawd. Jest ono w postmodernizmie metastwierdzeniem dotyczącym całej rzeczywistości. Nie ma prawdy, to znaczy: nie można powiedzieć nic prawdziwego o rzeczywistości.

Jedyna prawda jest taka, że nie ma prawdy, a celem jest brak celu. Jak to doskonale ujął Jacek Kaczmarski w swojej piosence „Postmodernizm": „Nie wolno rzeczy wielu, kiedy celem jest brak celu". Prawdę, której istnienie negują postmoderniści, można porównać do drogi biegnącej przez łąki. Jeśli celem jest brak celu, to nie można iść tą drogą – trzeba chodzić po łące raz w jedną, raz w drugą stronę, wszystko jedno, gdzie. Najważniejsze, żeby nie iść wyznaczoną drogą.

Michel Foucault pisał bardzo odkrywcze książki o historii szaleństwa czy seksualności, żeby pokazać, że szaleństwo czy seksualność były postrzegane rozmaicie przez różne kultury, więc (jak wnioskował) nie ma żadnego obiektywnego spojrzenia na te zjawiska. Każde spojrzenie, które postrzega pewne zachowania seksualne jako na odbiegające od normy, rodzi opresję. Prawda rodzi normę, a norma rodzi opresję. Dlatego prawdy trzeba zakazać. Kwintesencją postmodernizmu w działaniu jest niedawno ogłoszony w Wielkiej Brytanii zakaz stania przed klinikami aborcyjnymi. W postmodernizmie, jak się powiada we wspomnianej piosence Jacka Kaczmarskiego: „wszystko wolno, hulaj, dusza!", jednak wolno przede wszystkim to, co w tradycyjnym społeczeństwie było zakazane. Nowe normy postępowania to zwykłe negacje starych norm. Postmodernistyczne społeczeństwo żywi się pogardą dla tradycji cywilizacji europejskiej. Ciekawe, na ile wystarczy tego pokarmu. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe



Małgorzata Matuszak



CYFROWI, ALE NIEMI

Jeszcze kilkanaście lat temu wypracowanie było jednym z najważniejszych narzędzi kształcenia na lekcjach polskiego. Uczeń musiał nie tylko czytać lektury, lecz także zmierzyć się z próbą interpretacji, refleksją i własnym pisemnym komentarzem. Dzisiaj prace pisemne stają się rzadkością, a młodzi ludzie coraz rzadziej mierzą się z tekstami wymagającymi dłuższej koncentracji i pogłębionej analizy. Czy to tylko naturalny efekt przemian cywilizacyjnych, czy także skutek decyzji podejmowanych w polskim szkolnictwie?

eprasa.pl 8145cd3dbe

Europejska cywilizacja przez ponad 2 tys. lat opierała się na kulturze pisma. To w dziełach zapisywanych na pergaminie i papierze przekazywano dorobek filozoficzny, literacki i naukowy. Interpretacja tekstów była fundamentem kształtowania tożsamości religijnej, narodowej i moralnej. Umiejętność czytania i pisania nie była więc wyłącznie sprawnością techniczną, lecz sposobem uczestnictwa w kulturze i dialogu międzypokoleniowym.

Kultura pisma w odwrocie

Przełom XX i XXI wieku przyniósł jednak gwałtowne zmiany. Era cyfrowa wprowadziła nowe modele komunikacji – szybkie, skrótowe, obrazkowe. Lektura dłuższych tekstów stała się dla wielu wyzwaniem, a rosnąca popularność mediów społecznościowych utrwala nawyk konsumowania i tworzenia treści krótkich i powierzchownych.

Sposób myślenia, mówienia i pisania młodych ludzi zaczyna być kształtowany przez ten rytm cyfrowej wymiany informacji. W efekcie dobrze sobie radzą z błyskawiczną reakcją, ze skrótem czy żartem, ale gorzej z rozpisaniem własnej myśli w dłuższy tekst. Ukształtowało się zjawisko, które badacze nazywają „nową oralnością" – pisane komunikaty zaczynają przypominać mowę spontaniczną, są więc dygresyjne, niespójne, często pozbawione poprawności gramatycznej. I odwrotnie: dłuższe teksty, napisane bogatym językiem, stają się niezrozumiałe. Badania OECD pokazują, że coraz więcej uczniów ma problem z czytaniem ze zrozumieniem – w Polsce, według wyników PISA 2022, niemal 42 proc. piętnastolatków nie osiągnęło wystarczającego poziomu w tej umiejętności, co oznacza, że nie potrafią oni w pełni wykorzystać tekstu do samodzielnego rozwiązywania problemów czy krytycznej refleksji.

Język młodego pokolenia staje się coraz bardziej uproszczony, pełen kalk językowych i wtrąceń, głównie z języka angielskiego, skrótów i emotikonów. To naturalna konsekwencja komunikacji internetowej, ale w dłuższej perspektywie prowadzi do zubożenia myślenia. Bo język nie tylko opisuje świat – on go współtworzy. Jeśli brakuje narzędzi językowych, trudniej o pogłębioną refleksję czy krytykę. Czytanie, pisanie i myślenie są nierozerwalne. Rzec można, że to trzy nici jednego splotu. W tej triadzie zawiera się cała kultura człowieka. A tam, gdzie któraś z nici zaczyna słabnąć, tam cały splot – a wraz z nim nasza zdolność rozumienia świata – staje się kruchy.

Język polski w szkole – ograniczanie zamiast rozwijania?

W tym kontekście szczególnie niepokojące są zmiany zachodzące w polskiej edukacji. Ograniczenie prac domowych oraz zadawanie prac pisemnych w coraz mniejszym wymiarze są wręcz katastrofalnym posunięciem, które nasila opisane wyżej problemy. Nauczyciele, obciążeni biurokracją i podstawą programową przeładowaną treściami, mają coraz mniej przestrzeni na rozwijanie pisemnej ekspresji.

Polskie dzieci rzadko czytają i rzadko piszą, nie ćwicząc tych kompetencji, nadal jednak wymaga się od nich na egzaminach tych umiejętności. W dodatku mają napisać swą pracę ręcznie, co stanowi ogromne wyzwanie dla młodego człowieka, który na co dzień obcuje raczej z klawiaturą komputera bądź telefonu aniżeli z długopisem czy piórem. Wymaganie to jest słuszne, gdyż wchodzi w zakres ogólnej i koniecznej edukacji młodego człowieka. Jednak jak można wymagać czegoś, czego nie ćwiczy się z uczniami na bieżąco? Co trzeba wykształcić przez lata edukacji?

Nie można wymagać na egzaminach umiejętności czytania ze zrozumieniem i pisania, jeśli zaniedbuje się ich naukę w trakcie edukacji, jeśli zapomina się, że regularne pisanie jest najlepszym ćwiczeniem języka i myślenia. Wypracowanie uczy struktury wypowiedzi, budowania argumentu, porządkowania myśli, rozwija wyobraźnię. Brak tego elementu w codziennej praktyce szkolnej sprawia, że młodzi ludzie coraz słabiej radzą sobie nie tylko z tworzeniem tekstu, lecz także z rozumieniem cudzego. To mechanizm błędnego koła: nie ćwicząc pisania, tracą kompetencję czytania ze zrozumieniem.

Nie można ignorować faktu, że młodzież żyje w kulturze cyfrowej. To naturalne, że korzystają z Internetu, wideo, mediów społecznościowych. Problem w tym, że szkoła zamiast korygować jednostronność tych doświadczeń, zaczyna je pogłębiać. Zamiast proponować alternatywę – kulturę pogłębionej refleksji, rozmowy i pisania – często sprowadza edukację do testów, prezentacji i gotowych schematów. Nawet na egzaminach ósmoklasisty i maturze promowane są te prace, których autorzy potrafili się najlepiej wpasować w osławiony „klucz". Młodzież nauczyła się więc pisać „instrumentalnie" – tylko tyle, ile trzeba, żeby zdobyć punkty. Nie ma tu miejsca na rozwiniecie argumentu, na własne wnioski czy krytyczną refleksję.

Analfabetyzm funkcjonalny to realne zagrożenie

Pismo staje się dziś dodatkiem, a nie fundamentem. Jeśli ten trend będzie kontynuowany, grozi nam wychowanie pokolenia, które świetnie radzi

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 8145cd3dbe

sobie w świecie obrazów i skrótowych komunikatów, ale nie potrafi wyrazić myśli w sposób złożony i precyzyjny. To zaś oznacza trudności z rozumieniem bardziej złożonych treści, z krytycznym myśleniem, a nawet podejmowaniem świadomych decyzji. Już dziś nauczyciele akademiccy alarmują, że studenci mają problem z pisaniem spójnych tekstów, a prace licencjackie czy magisterskie stają się coraz uboższe pod względem języka i struktury i coraz mniej merytoryczne. Co będzie za kilka, kilkanaście lat?

Potrzebne są decyzje odwrotne do tych, które podejmowane są w polskim szkolnictwie: powrót do systematycznego pisania, rozbudowanie części praktycznej zajęć z języka polskiego, odejście od przekonania, że ćwiczenia pisemne można zastąpić zadaniami testowymi. Bez tego nie uratujemy kompetencji językowych młodego pokolenia.

Brak kompetencji językowych może prowadzić z kolei do zjawiska analfabetyzmu funkcjonalnego – sytuacji, w której człowiek niby umie czytać i pisać, ale nie potrafi wykorzystać tych umiejętności w praktyce. Analfabetyzm funkcjonalny zwany jest również analfabetyzmem kulturowym, dotyczy bowiem problemu, w którym ludzie, pomimo wykształcenia, nie potrafią wykorzystać swojej wiedzy do zrozumienia otaczającego ich świata, budowania wspólnoty i rozwijania własnej tożsamości. To właśnie lekcje języka polskiego, poprzez lekturę i pisanie, powinny być przestrzenią, w której młodzież uczy się nie tylko wyrażać siebie, lecz także rozumieć kulturę, która ją ukształtowała.

Trzeba w tym miejscu zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt zachodzących w szkole zmian: usuwanie z podstawy nauczania treści, które kształtują naszą świadomość narodową, czyli okrawanie programu historii z treści dzisiaj „niewygodnych" i wyrzucanie z listy lektur obowiązkowych wielkich dzieł naszej kultury. Wszystko to oczywiście w imię pokrętnie rozumianej „nowoczesności". Jeśli do tego dołożymy spadające zainteresowanie tym, by młody człowiek umiał wysławiać się i pisać po polsku, to zasadne staje się pytanie: kogo pragnie ukształtować współczesna polska szkoła?

Ku czemu zmierza polska szkoła?

Jeśli polska szkoła będzie wzmacniała zamiast osłabiać istniejące cywilizacyjne trendy, wykształcimy wprawdzie biegłych technologicznie młodych ludzi, ale równocześnie ślepych na wartości kulturowe – ludzi niepotrafiących porozumiewać się w oparciu o kulturowe treści i uzgodnić ważnych życiowo postaw i ról, których wzorce kształtuje nasza cywilizacja.

Młodzi ludzie staną się niezdolni do rozumienia i kultywowania znaczenia tradycji, a także odniesienia się do własnej tożsamości narodowej, gdyż wspomniane umiejętności kształtują się w obrębie gruntownego wykształcenia humanistycznego. Dzisiaj nie wystarczy już na lekcji języka polskiego czy historii przekazać wiedzę, trzeba również umieć młodego człowieka zaangażować w aktywne poznawanie polskiej kultury, która przecież przez tyle lat była kolebką polskości, mimo wielu przeciwności historycznych, takich jak czas zaborów czy okupacji niemieckiej.

To, że młodzi nie potrafią dobrze i sprawnie posługiwać się językiem ojczystym, nie piszą bowiem w tym języku wiele w polskiej szkole, stanowi sytuację bez precedensu w naszej historii. Jeśli chcemy uratować polską kulturę, musimy to zmienić. Włodarze polskiego szkolnictwa winni pochylić się na tą kwestią w trybie pilnym, gdyż nie tylko zmiany w szkolnictwie, lecz także technologiczne sprzyjają wykorzenieniu kulturowemu i zagubieniu się młodych ludzi we współczesnym świecie.

Jeśli chcemy ocalić polską kulturę i tożsamość, musimy przywrócić językowi polskiemu należne miejsce w edukacji. Nie wystarczy znać „gotowe odpowiedzi" do testów, umiejętnie wpasowywać się w zawiły „klucz" i zasady oceniania. Trzeba umieć myśleć, pisać i czytać – tak naprawdę.

Pisanie jako inwestycja w przyszłość

W szkole chodzi nie tylko o oceny. Chodzi o to, czy młode pokolenie będzie w stanie w pełni uczestniczyć w kulturze, w życiu społecznym i zawodowym. Pisanie, tak często dzisiaj niedoceniane, jest narzędziem rozwoju intelektualnego. To ono uczy nas łączyć kreatywność z dyscypliną, porządkować świat, rozumieć innych i samego siebie. W świecie, w którym komunikacja staje się coraz szybsza i coraz bardziej uproszczona, to właśnie pisanie pozwala na coś zupełnie odwrotnego: na zatrzymanie się, pogłębioną refleksję i porządkowanie chaosu informacji.

Dlatego trzeba to podkreślić: pisanie to nie anachronizm, to inwestycja w przyszłość. Jeśli chcemy, by młodzi ludzie potrafili samodzielnie myśleć, analizować i podejmować odpowiedzialne decyzje, musimy przywrócić w szkole miejsce dla sztuki pisania. Bez tego grozi nam, że logika i gramatyka na dobre przerosną całe pokolenie. Pisanie jest najpewniejszą lokatą w przyszłość, zarówno jednostki, jak i całego społeczeństwa. Warto więc, by polska szkoła jego umiejętność rozwijała jak najpełniej. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe

niezależna.pl



Twój portal informacyjny na każdy dzień!
Wejdź na **niezalezna.pl** i bądź na bieżąco!

niezależna.pl
Informacje, którym możesz zaufać

www.Niezalezna.pl
www.facebook.com/NiezaleznaPL
www.x.com/niezaleznapl
www.instagram.com/niezaleznapl

eprasa.pl 8145cd3dbe



Jakub Augustyn Maciejewski



Polacy jak mało który naród nie mają swojej przedchrześcijańskiej historii, a początki słowiańszczyzny i jej mitologia owiane są tajemnicą. Są jednak ludzie, nieliczni, lecz gorliwi, którzy szukają pradawnej słowiańskiej kultury i próbują wcielać ją w życie. Jak im idzie?

POGAŃSKA SŁOWIAŃSZCZYZNA W XXI WIEKU

eprasa.pl 8145cd3dbe

Inne narody mają swoich praprzodków nawet w popkulturze, na srebrnym ekranie czy w bajkach dla dzieci. Najłatwiej mają Skandynawowie, bo wikingowie siali postrach na całym europejskim wybrzeżu i pozostawili po sobie tysiące źródeł i śladów własnych wierzeń. Ich przywódcy uwiecznieni są w sagach, ich zaklęcia – w runach, a ich historia nawet w popularnych serialach na Netflixie. Anglicy też mają łatwo – król Artur to jedna z ikon europejskich legend, Lancelot to wzór rycerza, a Merlin to wybitny czarodziej. Mitologię Germanów uwiecznił Wagner, Rusinów i Waregów – liczne rosyjskie bajki i baśnie, a Włochy i Grecja odwołują się do swoich wielkich mitologii. Cóż z nami? Komiks o Kajko i Kokoszu był popularny, ale nie rozsławił Swarożyca i Dadźboga, „Wiedźmin" oparty jest na fikcji literackiej, jeden Józef Ignacy Kraszewski zawędrował pod strzechy swoją „Starą baśnią", po czym mamy Króla Popiela i film pod tym samym tytułem. Szczerze mówiąc – i niewiele, i nie bardzo powszechnie. Nie jest to do końca wina nas samych – tak naprawdę po zachodnich Słowianach niewiele zostało źródeł historycznych, bo nasi władcy błyskawicznie i konsekwentnie przeszli na chrześcijaństwo, a o wierzeniach naszych przodków dość enigmatycznie wspominała garstka germańskich kronikarzy. A jednak przed wojną podjęto pełną determinacji próbę wskrzeszenia… słowiańskiego pogaństwa. Nie tyle chodziło tu o wiarę w bogów umieszczonych w drzewach czy górskich potokach, ile o etos Słowianina wiernego swojemu rodowi i plemieniu (narodowi). Liderem ruchu niechrześcijańskiego nacjonalizmu nad Wisłą był Jan Stachniuk, który katolicyzm Polaków postrzegał zupełnie inaczej niż reszta badaczy, filozofów i publicystów. Stachniuk zakładał, że chrzest Polski i kolejne stulecia wcale nie zrobiły z mieszkańców państwa Piastów czy Jagiellonów wybitnych katolików, lecz przede wszystkim że świadomość katolicka wraz z zespołem wartości nie stała się fundamentem tożsamości polskiej. Podejście do małżeństwa, czystości seksualnej, państwa, wodza i wojny miało być zakorzenione w pogańskiej słowiańszczyźnie i dopiero kontrreformacja z końca XVI wieku przeorała umysły w Rzeczpospolitej. Z dzisiejszej perspektywy Stachniuk może wydawać się dziwakiem, ale faktycznie w nurcie polskich idei istniało silne przywiązanie do tradycji słowiańskich, a XIX-wieczny polski filozof i pedagog Bronisław Trentowski utożsamiał wierzenia dawnych Słowian z racjami, jakie nad Wisłę przyniosło chrześcijaństwo.

W ten sposób do Polski wróciło wyznanie rodzimowierstwa, wiary w „rodzimych" bogów, jak Swarożyc czy Dadźbóg. W Polsce oficjalnie jest zarejestrowanych pięć pogańskich związków wyznaniowych tego typu.

FOT. WIKIMEDIA

W zaciszu prywatności

I oto w XXI wieku także istnieje przekonanie, choć marginalne, mało znane, bez szczególnego zaplecza instytucjonalnego, które chciałoby wskrzesić dawne zwyczaje i wartości przedchrześcijańskiej słowiańszczyzny. W tych gronach, czasem ze sobą niepowiązanych, istnieją zarówno spadkobiercy polityczni i ideowi kultu dawnych Słowian, jak i kontynuatorzy tradycji pogańskich z głębokiego średniowiecza. Do tych ostatnich należy dwudziestokilkuletnia N., zawodowo zajmująca się dziennikarstwem, a prywatnie promująca zaginiony świat dawnych Słowian. – Na co dzień staram się „przemycać" przedchrześcijańskie, stricte słowiańskie tradycje poprzez… symbole. Na przykład w biżuterii, którą na sobie noszę – opowiada N. miesięcznikowi „Nowe Państwo".

Ona sama wykazuje się sporym znawstwem pierwotnych wierzeń naszych przodków. – Chociażby jeden z kluczowych symboli, jakim jest swarzyca, znana może szerzej jako „kołowrót" – kontynuuje N. – Był przede wszystkim przypisywany Swarogowi, czyli jednemu z najważniejszych słowiańskich bogów. Interpretacje są różne, jednak najczęściej uznawany był za boga słońca, ognia, kowalstwa, choć… spekulowano, że mógł odpowiadać również za niebo.

Kobieta nie tylko w ten sposób zaznacza swoje wierzenia. – Obchodzimy wiele ważnych uroczystości, ale niemal każda z nich toczy się wokół cyklów przyrody, po prostu. Czy to Szczodre Gody, z okazji przesilenia zimowego, czy Jare Gody – odnoszące się do równonocy wiosennej. No i Kupała, akurat moja ulubiona, wiąże się z przesileniem letnim. Jednak to wszystko ma swój wspólny mianownik. I jest nią okazja do kultywowania naszych rodzinnych tradycji, wracanie do tego, co czcili również nasi przodkowie. To łączy, buduje wspólnotę i najprościej mówiąc: jest piękne – gorliwie przekonuje N.

Kobieta podkreśla znaczenie łączenia się z naturą, którą praktykowali dawni Słowianie, a które przydałoby się tym bardziej dzisiaj, w czasach chaotycznej codzienności.

Choć w Polsce niektóre aspekty dawnego pogaństwa przeszły do popkultury i młodzieżowych zabaw – jak topienie Marzanny czy noc Kupały – to N. patrzy na to głębiej. – Noc Kupały – opowiada – jest to święto związane z przesileniem letnim. Kupalnockę, bo taka nazwa również funkcjonuje, obchodzi się w najkrótszą noc w roku, najczęściej wypada to 21/22 czerwca. Święto to skupia się wokół dwóch żywiołów – wody oraz ognia – i odnosi się do… miłości. Przede wszystkim. Prawdziwa „magia" zaczyna się po rozpaleniu ogniska. Jednak musi być to skrupulatnie przygotowane ognisko, bo najlepiej, by paliło się ono jak najdłużej! A wokół ogniska tańce, śpiewy, wspólna zabawa – ciągnie z pasją kobieta.

Opowiada na przykład, że szukanie legendarnego kwiatu paproci było tak naprawdę dyskretnym przyzwo-

eprasa.pl 8145cd3dbe

leniem na samotne i nocne spacery po lesie, zaś świt, powrót do ogniska i kolejne obrzędy przynosiły dodatkową symbolikę.

– I tu wkraczało specjalne zioło, czyli bylica, którym trzeba było się „przepasać", a później, wspólnie, trzymając się za ręce, przeskoczyć przez płonące ognisko. Po co? Bo to zwieńczało cały obrządek przejścia przez żywioły – wodę oraz ogień. I co ciekawe, symbolicznie uznawano to za zawarcie związku małżeńskiego – kontynuuje.

Zatem N. oddziałuje przez swój przykład prywatny, przez pasję i inspirowanie innych. Ale są też środowiska, które swój przekaz kodyfikują i przedstawiają publicznie.

Wchodzenie w politykę

Paweł Bielawski w książce „Nowa Zadruga", nawiązując do organizacji Stachniuka, deklaruje bardzo konkretny program ideowy i polityczny. „Jestem w 100% Polakiem i w 0% katolikiem" – pisze. Na początku swojej książki interpretującej dzieje Polski w duchu pogańskim i słowiańskim publikuje kompletny manifest swojego wyznania i swojej politycznej, wspólnotowej propozycji. „Jestem rodzimowiercą słowiańskim nie tylko dlatego, że Polska jest słowiańska, bo gdyby nawet była katolicka, prawda nie przestałaby być prawdą, tylko trudniejszy i boleśniejszy byłby dla Polaków dostęp do niej".

Autor przekonuje, że „rodzimowierstwo lepiej rozstrzyga trudności, a dyscyplina konflikty", a pogaństwo „zachowało i przekazało nam w spuściźnie wszystko to, co w cywilizacji europejskiej jest wartościowe". Na koniec publicysta wyznaje: „[…] wierzę, że rodzimowierstwo jest wiarą mych Przodków, daną od Bogów" (pisownia oryginalna).

W szerszej publicystyce i debacie rodzimowierców podkreśla się rolę etyki heroicznej i tradycji rodowej, czyli zasad faktycznie odmiennych od chrześcijańskiego wyznania, gdzie uczy się pokory i indywidualnej woli oraz odpowiedzialności. Dawniej jednak Słowianie opierali swoje wychowanie na męstwie i bohaterach, którzy potrafili się mścić – i potrafili to robić nie tylko na jednostce, lecz także na całym jej rodzie. Jeszcze z czasów Piastów znane są kary wobec na przykład opozycji antyksiążęcej w Pradze, gdzie mordowano całą rodzinę, wraz z kuzynami, dalszymi krewnymi i niemowlakami. Tego oczywiście rodzimowiercy nie postulują, ale oddaje to ducha pewnej odpowiedzialności zbiorowej i innego charakteru więzi międzyludzkich, zwłaszcza rodzinnych.

Jest jednak w tonie takich autorów jak Bielawski spora doza pretensjonalności. Publicysta, który w niskonakładowym wydaniu próbuje wskrzesić absolutnie niszową ideę, używa języka lidera politycznego, który miałby porwać za sobą jedną czwartą narodu – dlatego ta retoryka ociera się nieco o śmieszność.

Stowarzyszenie obodrzyckiego księcia

Książkę Bielawskiego wydało Stowarzyszenie Niklot, które w Warszawie organizuje regularne dyskusje i spotkania, ma rozmaite relacje z polskimi narodowcami, wyraźnie jednak odcinając się od jakichkolwiek tendencji prorosyjskich – także w kontekście wojny rosyjsko-ukraińskiej. Jeden z liderów stowarzyszenia udzielił dla „Nowego Państwa" szeregu wyjaśnień dotyczących ich punktu widzenia. Nazwa stowarzyszenia pochodzi od pogańskiego księcia słowiańskich Obodrzyców, panującego w połowie XII wieku. Był to władca nawet jak na tamte czasy nowoczesny, potrafił zbrojnie odeprzeć niemieckich najeźdźców, a jednocześnie utrzymywać stosunku dyplomatyczne z Zachodem i bronić pogańskiej rzeczywistości. Zdaje się, że to skuteczność księcia Niklota sprawiła, że stał się patronem współczesnych rodzimowierców.

– O ile nasze stowarzyszenie faktycznie odwołuje się i uważa za następcę „Zadrugi" i propagatorów idei Stachniuka, to nie robimy tego w sposób epigoński, bezkrytyczny oraz bezrefleksyjny – tłumaczy miesięcznikowi Grzegorz Ćwik ze Stowarzyszenia Niklot.

Podkreśla upływ czasu i zmieniające się realia, odkąd Stachniuk przeżywał okres swojej pisarskiej płodności. – To, co w niej najważniejsze, to dla nas przede wszystkim sam trzon filozofii kulturalizmu i idei zadrużnej: walka kultury i wspakultury. Czyli – rozwijając terminy – kultura to zwiększanie władztwa człowieka nad otaczającym światem, to proces twórczy człowieka, ukierunkowany na przekształcanie rzeczywistości wedle własnej woli – tłumaczy Ćwik.

Wyjaśnia też specyficzne pojęcie „wspakultury", która ma być „ustaniem i cofnięciem się" tego procesu twórczego, i w przypadku polskim ową wspakulturą było chrześcijaństwo. Działacz „Niklota" podkreśla jednak, że nie chodzi o walkę z Kościołem czy religią, ale o aspekty kulturowe i etos danej ludności, a obecnie problemem już nie jest kontrreformacja i XVII-wieczni jezuici, lecz całe nowoczesne machiny postmodernizmu, relatywizmu moralnego, neomarksizmu i skrajnego liberalizmu.

Stowarzyszenie „Niklot" docenia także chrześcijański wkład w 1000-letnią historię Polski, co u przedwojennych zadrużan byłoby kontrowersyjne. Ale – choć stowarzyszenie Niklot nie ma formalnie charakteru religijnego – ciągnie dalej Ćwik – i nie jest to żadnym wymogiem członkostwa, to w praktyce właściwie wszyscy członkowie są praktykującymi rodzimowiercami słowiańskimi.

Co ciekawe, „niklotowcy" podchodzą też krytycznie do części słowiańskiej spuścizny.

– Niestety, słomiany zapał cały czas mocno definiuje nas, Polaków, do tego zamiłowanie do personalizmu jest kapitalnym podglebiem dla liberalizmu we wszelkich wydaniach. Problemem jest też to, co wynika z powyższych – czyli nieumiejętność zarówno myślenia w kategoriach

eprasa.pl 8145cd3dbe

państwowych i wspólnotowych, w kategorii racji stanu – podsumowuje Ćwik.

Wprowadzając nas w świat rodzimowierców, wskazuje także na inne zagrożenia. Informuje o „próbie łączenia w przestrzeni publicznej tematyki słowiańskiej z wszelkim new age'em i wpływami zwyczajnie nam obcymi i niepasującymi do słowiańszczyzny, jak szamanizm, druidyzm i inne elementy. Do tego widać wyraźną infiltrację grup rodzimowierczych oraz tematyki słowiańskiej przez liberałów i skrajnych lewicowców, którzy nie mają nic wspólnego z etniczną wiarą Słowian, a jedynie poszukują sposobów na popularyzację swojej antywspólnotowej agendy".

Z wyraźną pogardliwością odnosi się do autorów książek opowiadających o „Wielkiej Lechii", czyli o potędze rzekomo istniejącego przedpiastowskiego państwa Polan, Lechitów. Ćwik wprost nazywa to „bzdurami". Ale opowiada też o różnorodności środowisk rodzimowierczych, które mają mieć swoje grupy w Koszalinie, Olsztynie, Warszawie czy Krakowie, mają swoje miejsca w mediach społecznościowych, mają swoje wydawnictwa (Trygław Igora Górewicza czy Toporzeł, założony przez – niedawno zmarłego – doktora Słowińskiego).

Wbrew Kościołowi

Choć zarówno rodzimowiercy indywidualni, jak i ci zorganizowani nie atakują Kościoła katolickiego, a jedynie sceptycznie patrzą na część jego wartości kulturowych zaszczepianych w Polsce, to jednak trudno nie zapytać konkretnie o zgodność ich działalności z nauką Kościoła katolickiego. W tym celu zwróciliśmy się do doktora Tomasza Żaka, zakonnika zakonu braci mniejszych YY (kapucynów).

Duchowny twardo podkreśla prawdziwość nauk Jezusa Chrystusa, wskazując jednocześnie, że do samego Boga mogą prowadzić różne drogi. „Bóg pragnie szczęścia, zbawienia wszystkich ludzi i prowadzi każdego człowieka swoimi drogami. »Myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami« – czytamy w Księdze proroka Izajasza (Iz 55,8). Czymś niestosownym byłoby odbierać Panu Bogu do tego »prawo« lub oczekiwać, że każdy człowiek w każdym czasie i przestrzeni będzie miał taką samą historię. Jest wręcz zupełnie odwrotnie, przy czym nie znaczy to, iż coś Bogu »wymyka się spod kontroli«, aby użyć znanego nam powiedzenia, choć słowo «kontrola» w tym wypadku należałoby zamienić na »miłość«" – czytamy w odpowiedzi przesłanej dla „Nowego Państwa" w sprawie środowisk czczących dawnych Słowian.

Uczony franciszkanin wskazuje jasno, że prawda może być tylko jedna: „Ze wspomnianą właśnie nieskończoną miłością działa Pan Bóg. Pokora i cierpliwość Boża naznaczona jest takim szaleństwem, iż dopuszcza nawet obojętność czy odrzucenie przez człowieka oraz istnienie zła, fałszu, różnego rodzaju półprawd i rozmywania jedynej Prawdy. Owa jedyna Prawda istnieje i ma swoje Imię: Jezus Chrystus. Święty Jan zaświadcza: »Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony« (J 3, 16–17). Jezus jest prawdziwy i wiarygodny, On daje spełnione i sensowne życie (por. J 14,6)".

Brat Tomasz Żak przywołuje też szereg kościelnych dokumentów, które uznają pewną wartość tych wierzeń, którym daleko do prawdy Chrystusowej. „Jak czytamy w Deklaracji »Dominus Iesus« o jedyności i powszechności zbawczej Jezusa Chrystusa i Kościoła: »Chrystus działa w sercach ludzi mocą Ducha swojego. […] To także Duch zasiewa »ziarna Słowa«, obecne w obrzędach i w kulturach, i otwiera je ku dojrzałości w Chrystusie« (DI 13). Koncepcja dotycząca owych ziaren Słowa czy też ziaren prawdy pojawia się u św. Justyna (»Apologia«, 8, 1–2; 10; 1–3; 13, 3–6) oraz w Encyklice Jana Pawła II Redemptoris missio (nr 28, 55): »Jednakże Bóg, pragnąc przywołać do siebie wszystkie narody w Chrystusie i przekazać im pełnię swojego objawienia i swojej miłości, jest obecny na różne sposoby – nie tylko dla poszczególnych jednostek, ale także dla narodów poprzez ich bogactwa duchowe, których głównym i zasadniczym wyrazem są religie, chociaż mają one »braki, niedostatki i błędy««".

Można z tego wysnuć wniosek, że zawsze lepiej szukać prawdy w korzeniach własnej kultury (nawet gdy zawiera „braki, niedostatki i błędy"), niż podążać za jawnie i głęboko antykatolickimi i złorzeczącymi Bogu nowoczesnymi ideami. Można by tu zarysować taką oś „słuszności", w której Słowianie byli bliżej prawdy niż dzisiejsi postmoderniści, ale dalecy od prawdy zupełnej i Objawionej.

Rodzimowierców w Polsce jest niewiele, trudno ich ująć w jakichkolwiek statystykach. Według dr Joanny Mality-Król z Uniwersytetu Jagiellońskiego „Trudno oszacować, ilu dokładnie rodzimowierców jest w Polsce. Badacze mówią o co najmniej kilku tysiącach, niemniej z danych statystycznych (jak spisy powszechne) można wnioskować o tendencji rosnącej" – czytamy na stronie internetowej nauka.uj.edu.pl. Pisanie o nich nie jest więc spowodowane odnotowaniem jakiejś siły oddziaływania, ale raczej interesującego nawiązywania tradycji i zwyczajów już zupełnie wymarłych. Gdyby kult dawnej słowiańszczyzny ograniczał się do aspektu kulturowego i historycznego, pewnie miałby szansę zaistnieć w większym stopniu, a jednak wiara w pogańskie bóstwa wyklucza szersze rozprzestrzenienie się tej idei w społeczeństwie. Wszak, jak podkreśla brat Tomasz Żak: – Nie należy zapominać, że różne przesądy czy wierzenia stanowią raczej przeszkodę na drodze do zbawienia lub przynajmniej nie są człowiekowi potrzebne. Szkoda na nie czasu i zaangażowania. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe



Tamto powstanie, tamta wiara...

Ewa Polak-Pałkiewicz



Im dalej od Powstania Warszawskiego, tym zdaje się zaostrzać o nie spór. „Pragmatycy" i „realiści" zawsze będą przekonani, że takiej liczby ofiar nie usprawiedliwiają żadne okoliczności. Ludzie zaś, którzy mają świadomość ciągłości naszych dziejów, w których regularnie pojawiała się konieczność złożenia ofiary z życia, w imię wolności, prawdy i dobra wspólnego, nie będą nigdy mówili, że Powstanie było pomyłką. Wśród tych ostatnich przeważają ci, którzy mają w swoich rodzinach uczestników tego zrywu.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Zaliczam się do tych ostatnich. Opowieści o Powstaniu, których słuchałam w domu, nie niosły obrazu pomyłki, klęski i nadaremnej ofiary. Były przepełnione dumą, radością i nadzieją. Jak to było możliwe? Moja mama Maria, instruktorka ZHP i drużynowa warszawskiej drużyny harcerek, Dwunastki, w ramach Harcerskiej Służby Dziecku podczas wszystkich dni Powstania pełniła opiekę nad dziećmi, które straciły dom i najbliższych. Prowadziła całodobową świetlicę dla nich przy ul. Piusa XI. Ulica była opanowana przez powstańców. W nocy z 22 na 23 sierpnia zdobyli tzw. małą PAST-ę, budynek dzielnicowej centrali telefonicznej. Od 6 września do końca Powstania mieściła się tu Komenda Główna AK. Jedna z harcerek z drużyny mamy i najbliższa jej przyjaciółka Zofia Szuch była szefową Harcerskich Patroli Sanitarnych przy szefie sanitarnym Powstania Warszawskiego.

Powstanie Warszawskie dla członków mojej rodziny było czasem wspaniałych przyjaźni, z którymi nic równać się nie mogło. A przecież nie wiadomo, czy przeżyło którekolwiek z dzieci, którymi opiekowała się moja mama. Połowa sanitariuszek z 16-osobowego zespołu Zofii Szuch poległa w Powstaniu. Kto zrozumie tamtą ich dumę, radość i nadzieję?

Lekcja Chestertona

„Ludzie rozsądni" mówią, że nie można szafować krwią rodaków. Że decyzja o wybuchu Powstania była podjęta pod naciskiem zewnętrznych sił, Polsce nieprzychylnych, że istniał cyniczny zamysł wykrwawienia warszawiaków, w który zamieszane były międzynarodowe czynniki, dla których byliśmy zawsze zakałą na drodze do światowego postępu.

A jednak ci, którzy dobrze poznali mentalność Niemców – tak jak i Rosjan – wiedzą dobrze, że niezgoda na ich agresję, niezgoda na wtargnięcie na cudzą ziemię, walka – wbrew wszystkiemu – bywa czymś tak oczywistym i naturalnym jak oddychanie. I jest elementarnym obowiązkiem każdego, kto zdaje sobie sprawę z tego, jaką siłę oba te państwa reprezentują. To coś innego niż instynkt samozachowawczy, to obrona własnego człowieczeństwa, własnej tożsamości. Umysłowej i moralnej suwerenności. Obrona prawdy. Niezrozumienie chrześcijańskiego pojęcia ofiary przekreśla całkowicie zdolność rozumienia, czym było Powstanie Warszawskie. To niezdolność do uznania innego wymiaru życia niż tylko materialny.

Czy nie w tym kryje się odpowiedź na pytanie o źródło radości i dumy, która rozpierała powstańców w dniach walki? Nie chodziło tylko o pokonanie wroga, lecz także o obronę istoty i sensu swojego życia. Nawet za cenę jego utraty. Tego żaden Niemiec, żaden barbarzyńca nigdy nie był w stanie pojąć.

G.K. Chesterton, przyjaciel Polski i niezrównany kpiarz, tuż przed ostatnią wojną nakreślił wstrząsający obraz owego nieuniknionego starcia ludzi wolnego świata – ludzi, którzy nie potrafią przeliczać swojego poświęcenia na liczbę ofiar – z niemieckim barbarzyństwem. Uczynił to krótko przed śmiercią w „Autobiografii".

W latach 30. odwiedził Frankfurt, gdzie na kongresie niemieckich nauczycieli miał wykład o literaturze angielskiej. „Omawialiśmy »Marmiona« Waltera Scotta i inne wierszowane poematy, śpiewaliśmy angielskie piosenki przy niemieckim piwie i bardzo miło spędzaliśmy czas". Jednak w pewnym momencie Chesterton zauważył się, że jego wyjaśnienia, na czym polega patriotyzm Anglików, natrafiają na mur niezrozumienia i niechęci. Przyjacielski nastrój prysł. Zaniepokojeni Niemcy zaczęli gwałtownie przekonywać swojego gościa, że patriotyzm i imperializm są tym samym. „Kiedy się zorientowali, że nie lubię imperializmu, nawet brytyjskiego, ich oczy przybrały bardzo dziwny wyraz". Chesterton zrozumiał, że mają go za internacjonalistę, a to oznaczało dla nich kogoś ohydnego. Poczciwi i życzliwi – na początku – słuchacze zmienili się w okamgnieniu w ludzi obcych, zimnych i pełnych pogardy. Pisarz poczuł narastającą „presję i groźbę". Decyzję podjął błyskawicznie: „Tak więc, panowie, jakby co, to odsyłam do poematu Scotta, który omawialiśmy". I zacytował z niewzruszonym spokojem, głośniej niż zwykle, wyraźnie wypowiadając każda sylabę, odpowiedź Marmiona, jaką dał on królowi Jakubowi, gdy ten groził wtargnięciem na jego ziemię:

Byłbym wielce zaszczycony,
Gdybyś zawitał w me strony,
Lecz Nottingham ma łuczników,
A Northumbria oszczepników;
I wiele mieczy uderzy,
Wielu polegnie rycerzy,
Wiele strzał zada srogi ból,
Nim Trent przekroczy szkocki król.

Zakończenie spotkania nastąpiło dość gwałtownie. „Popatrzyłem na nich, a oni na mnie, i sądzę, że zrozumieli, a salę, w której się znajdowaliśmy, wypełnił strach przed tym, co miało nadejść".

Ten opis literackiego wieczoru z tak nieoczekiwanym finałem dobrze ujmuje tło owego, powta-

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 8145cd3dbe

rzanego od dziesiątków, a nawet setek lat (od czasu konfederacji barskiej, choć i czasy Grunwaldu nie były tu wyjątkiem), fałszerstwa na temat Polaków. Że mianowicie ich i tylko ich – w całej Europie są bowiem niechlubnym wyjątkiem – notoryczna głupota, niedoważenie i donkiszoteria są przyczyną nieustannego wariackiego chwytania za broń, gdy o wiele światlejsi, bardziej cywilizowani i w ogóle lepszej klasy czy rasy chcą im życie urządzić. W rezultacie Polacy czynią tylko niepotrzebny zamęt w Europie. Tępota Polaków polega na tym, że nie potrafią docenić tego dobrodziejstwa, nie umieją być posłuszni, że wciąż wierzgają. Że chcą mieć swoją ziemię, swoją kulturę, swoje prawa, swoje świętości…

I na ten temat panuje w świecie swoista zmowa. Powstanie Warszawskie ma być dla tej kategorii polityków (ideologów, mafiosów, uzurpatorów…) i ich wyznawców dowodem rzekomej „niższości" Polaków.

Dla ludzi tak przenikliwych jak Chesterton nie było jednak nigdy tajemnicą, że ów agresywny imperializm niemiecki – podobnie jak rosyjski – utożsamiany przez te obie nacje z patriotyzmem, jest tak groźny, bowiem jest substytutem religii. Angielski pisarz stwierdza wprost, że „ostatnie stadium protestantyzmu przybrało postać prusactwa". Żeby pokryć żałosny rozbrat z prawdziwą cywilizacją europejską Niemcy – zarówno tamtych wojennych lat, jak i w niektórych wypadkach nam współcześni – szyją buty Polakom, by pokazać ich jako zatwardziałych, anachronicznych, zbuntowanych pomyleńców. Powstanie Warszawskie ma być koronnym dowodem polskiej głupoty. Krytycy Powstania usiłują de facto wmówić dzisiejszym pokoleniom, że Polacy lat okupacji niemieckiej mieli do czynienia z przeciwnikiem, który miał swoje racje, swoje powody, by rozpętać wojnę i że wojna ta nie była wcale jego winą, zbrodnie nie były zbrodniami, terror terrorem, grabieże grabieżami… A jego żołnierze, cóż, to „nasi chłopcy". To kłamstwo wciąż się opłaca. Dlatego mamy tak wielu gorliwych demaskatorów tego bohaterskiego zrywu ludzi wolnych, także z profesorskimi tytułami.

Dzieje Powstania Warszawskiego uczciwie ukazane obalają ten groźny mit. Ci, którzy je przeżyli, Powstańcy, którzy są jeszcze wśród nas, i ci nasi rodacy, którzy potrafią pielęgnować pamięć Powstania zaświadczają, że są rzeczy dla których żyć, walczyć i umierać jest największym zaszczytem i szczęściem człowieka. Zaświadczają także, że życie ludzkie na ziemi, nawet najszczęśliwsze, nie może mierzyć się z tym szczęściem, które obiecane jest w wieczności tym, którzy są wierni Bogu.

Dar łaski

„Musiałem się jeszcze nauczyć, że wszystkie relacje międzyludzkie kończą się cierpieniem – oto cena, jakiej nasza niedoskonałość pozwoliła Szatanowi zażądać za nasze prawo do miłości" (Clive Staples Lewis, „A Grief Observed" (Smutek), tłum. Jadwiga Olędzka).

A przecież istnieje Ktoś, z Kim relacje zawsze kończą się dobrze. Kończą się szczęściem, jakiego rozmiary nie mieszczą się nam w głowie. Szczęściem nieprzemijającym. Tak jak relacje dzieci, nawet tych niesfornych i zbuntowanych, z kochającymi rodzicami, jeśli te dzieci nie wyrzekną się swoich rodziców i nie odtrącą definitywnie ich miłości.

Czy nie jest tak, że wszystkie nasze nieszczęścia tu, na ziemi, są skutkiem oderwania się od rzeczywistości? Co jest tą rzeczywistością? To, co istnieje. Jako nieprzemijające, wieczne, trwałe. Zawsze takie samo. Stanowi przyczynę wszystkiego, co istnieje. Źródło bytu, źródło życia. Tym czymś, a raczej Kimś, jest Bóg. Jeśli oderwiemy się od Boga, utracimy kontakt z rzeczywistością. Popełnimy najbardziej tragiczny błąd naszego życia, błąd o najdalej idących konsekwencjach. Weźmiemy za rzeczywistość coś innego, niż nią jest.

Dlaczego jest tak ciężko dziś odbudować wśród Polaków wspólnotę? Mamy pośród nas niemałą grupę ludzi, którzy utracili kontakt z rzeczywistością. Nie są świadomi, że tak się stało. Nie przyjmują tego do wiadomości. Nie podejrzewają nawet, że przytrafiło im się to nieszczęście.

Rzeczywistość, o której jest mowa, nie jest materialna. Jak łatwo się o tym zapomina. Myślimy: skoro Bóg daje życie, sprawia, że ono jest, ukazuje się, wciąż nowe, świeże, zagadkowe, niepojęte, to sam musi być Życiem. Musi być Królem Życia! Jest więc tak jak my: materialny, dotykalny, żywy, biologiczny. Musi być sercem przyrody, królem natury, źródłem i sednem wszystkich jej sekretów, siłą sprawczą wszystkich jej mechanizmów. To fatalna pomyłka. Nawet najbardziej zagorzali obrońcy życia potrafią dziś łatwo ją popełnić. Pomijają duchowy wymiar rzeczywistości. Ignorują Rzeczywistość. Biorąc za nią to, co przemijające, kruche, nietrwałe i zmienne. Nawet jeśli jest to spieniony ocean, najeżone skałami górskie pasmo, rozległa połać głazów na pustyni, wodospad w dziewiczej dżungli, nacierający lodowiec, niebo pełne gwiazd, zorza polarna, dzikie zwierzęta i ptaki. To tylko istnienia przygodne. A Bóg jest bytem koniecznym. Jest zasadą stanowiącą świat i wszelki byt. Jest Duchem. Jest wieczny. Istniał zawsze. Nie do-

eprasa.pl 8145cd3dbe

trzemy do Niego przez środki materialne, przez zmysły i uczucia; musimy zaangażować nasze władze duchowe, wolę i rozum. Nasz byt jako ludzi stworzonych przez Boga jest materialny i duchowy zarazem.

Bóg nie działa wobec nas ani automatycznie, według jakiegoś schematu, ani naturalnie, działa poprzez zupełnie inne i bardzo specyficzne narzędzie: łaskę. Specjalny dar, jakiego udziela, na pewnych warunkach. Nie bezpośrednio (poza bardzo rzadkimi przypadkami mistyków), ale tylko poprzez pośredników. Największym i najpotężniejszym z nich jest Maryja, Matka Boga. Pośrednikiem jest też Kościół: jego kapłani, Msza św., sakramenty.

Nie mamy prawa do tego daru, do łaski Boga, gdy jesteśmy poza wiarą katolicką lub jeśli popełniamy ciężki grzech i w nim trwamy. Syn Maryi, Jezus przyszedł na ziemię, by założyć swój Kościół i w nim obdarzać nas łaską, czyli Jego własną mocą, byśmy mogli być blisko Niego. Kościół miał być nauczycielem i obrońcą życia tych, którzy chcieli otrzymać i zachować łaskę. Którzy zrozumieli, że dobre życie oznacza życie zgodne nie tylko z naturą, z humanistycznymi odruchami i uczuciami, lecz także z wiarą i moralnością chrześcijańską – która jest czymś dużo więcej, bo każe na przykład kochać nieprzyjaciół – i w ten jedynie sposób można zasłużyć sobie na przyszłe życie z Bogiem. Nic nie dzieje się tu samo przez się, niezależnie, czy naturalnie, jakby chcieli poganie, animiści czy współcześni apostaci i liberałowie. Kościół nie jest instytucją naturalną, lecz nadprzyrodzoną.

Nie jest to ani zbyt popularna, ani też powszechnie rozumiana prawda. Kościół jednak zawsze nauczał, że łaska jest niezbędna do zbawienia; ktoś, kto nie ma łaski uświęcającej, nie może mieć żadnej nadziei, że uda mu się uniknąć grzechu śmiertelnego, czyli śmierci duszy. Jego przyszły los jest dramatycznie zagrożony. Przerażająca wizja piekła, jaką Matka Boża obdarzyła dzieci w Fatimie 100 lat temu, nie została dana tak przy okazji, dla urozmaicenia. Była koniecznością wobec faktu, że ludzie już 100 lat temu coraz bardziej zapominali, kim jest Bóg.

▶ Bóg kocha taką samą miłością każdego z ludzi

Ludzie, którzy sprawiają nam dziś w Polsce tyle cierpień, atakując na każdym kroku, w sposób pełen nienawiści i zarazem histerii polityków prawej strony, nasi bracia, nie są gorszymi ludźmi niż my – ale oni nie mają łaski. Są więc jak nędzarze umierający z pragnienia na pustyni. Nie wiedzą o tym, że usycha ich dusza, a wraz z nią rozum, że umierają duchowo jak rośliny pozbawione wody. Są w istocie bezbronni wobec sił, które popychają ich do złego. Nie mają sami z siebie żadnych środków, by skorzystać ze źródła nadprzyrodzonego życia, by oprzeć się prawdziwemu sprawcy zła. I pokusie czynienia zła. A jednak Bóg ich kocha. Czeka na ich nawrócenie. Czy czyni się dziś w Kościele wszystko, by ludzie ci się nawrócili, by nie zasłużyli na piekło? Nie przez dzień, miesiąc, lecz przez całą wieczność… Czy mówi się choćby tylko: „No, no, poprawcie się, dajcie innym żyć". Czy mówi się o straszliwym wiecznym ryzyku takiego stanu? I jak wyjść z takiego stanu, jakim sposobem należy to uczynić?

To, że Bóg kocha taką samą miłością każdego z ludzi, o wiele więcej mówi o Nim niż jesteśmy w stanie zrozumieć umysłem naturalnym, nieoświeconym przez łaskę wiary. Tę trudną do pojęcia prawdę ujął kilka lat temu koptyjski biskup Angealos następująco, zwracając się do muzułmańskich terrorystów: „Okrutne i śmiercionośne przestępstwa, które popełniacie, są obrzydliwe i budzą nienawiść, ale wy jesteście kochani. Jesteście kochani przez Boga, waszego Stwórcę, który stworzył was na swój obraz i podobieństwo i umieścił was na Ziemi, byście czynili wielkie rzeczy zgodnie z Jego planem dla całej ludzkości. Jesteście kochani przez mnie i miliony takich jak ja, nie za to, co robicie, ale za to, co możecie zrobić, jako cudowne stworzenia Boże, które zostały stworzone wraz z całą rzeczywistością. Jesteście kochani, bowiem ja i my wierzymy w nawrócenie". Tak powiedział jeden z pasterzy wspólnoty, która utraciła właśnie 27 wyznawców, wywleczonych brutalnie z autobusu przez islamistów i zamordowanych z zimną krwią, bowiem nie chcieli wyrzec się Chrystusa.

Łaska Kogoś nieskończenie większego od nas jest niezbędna, by człowiek nie żył samą naturą, z jej dzikimi instynktami, niszczącymi namiętnościami. Zazdrością, niepohamowaną żądzą, agresją, gniewem, instynktem zemsty i innymi, których nie ma tutaj sensu wymieniać. By nie stał się ofiarą ideologii, która te namiętności pobudza i wykorzystuje. Nie jest niezbędne braterstwo innych ludzi ani tolerancja czy neutralność wobec „inności". Ludziom nienawróconym nie jest potrzebna nawet dobroć innych, bo dokąd są poza Kościołem, poza katolicyzmem, gardzą nią jako przykładem słabości. Potrzebna jest łaska. Łaska, którą można wymodlić dla nich. Sakramenty i walka własnej woli toczona przeciw ciężkiej chorobie duszy. Tak, by mógł wreszcie zacząć działać w nich ich własny rozum.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Gdy prawdę zastępuje szczerość

„Pięknie brzmi, gdy się mówi: »Trzeba przestrzegać naturalnej moralności, przykazań, dekalogu, unikać antykoncepcji, unikać tego i owego« – ale jak ludzie będą w stanie to robić? Dobrze jest im radzić, ale trzeba też dać im skuteczne środki, a środkiem jest nasz Pan Jezus Chrystus…" – mówił tuż przed śmiercią abp Marcel Lefebvre, podsumowując stan Kościoła katolickiego zaledwie 20 lat po soborze i zarazem opłakany stan społeczeństw europejskich, także francuskiego, w których przeważają katolicy i gdzie tak częstym przypadkiem było już wówczas zabijanie nienarodzonych dzieci, nawet pośród ludzi należących do Kościoła, ochrzczonych i mówiących o sobie, że są wierzący.

Kim jest człowiek, który nie zna swojego ojca? Jest najbardziej okaleczonym z ludzi. Także ktoś taki, kto nigdy nie poznał swojego Ojca w niebie, swojego Stwórcy i dawcy wszystkich dóbr, jakie posiada, wszystkich talentów i zdolności oraz Tego, komu zawdzięcza szczęśliwą przyszłość, czyli zbawienie – za jakie zapłacił, wykupując nas z naszych win, na prośbę Ojca, Jego Syn – Chrystus – taki zupełny ignorant, jest wiecznym nastolatkiem. „[…] może nawet czarującym, niemniej jednak niezrównoważonym, nieposiadającym wzorca dojrzałości. Całe życie będzie padać ofiarą własnych namiętności…". Ale Bóg może uleczyć każdego, a Jego Matka wstawia się za wszystkimi. Ona o najgorszych zabójcach mówi „biedni grzesznicy".

Zjawisko niedojrzałości obserwujemy dziś także wśród części duchowieństwa. Tak wielu jest wiecznych nastolatków i niepohamowanych aktywistów. Bo też i nagradzani są dziś za skuteczność, dynamizm czy „kreatywność", za praktykowanie dialogu i organizowanie debat, sympozjów, konferencji, na których można się zdrowo nagadać i wymienić opinie, a jakże. I nic, literalnie nic z nich nie wynika. U ludzi ulegających tego typu presji intelekt oraz wola nie działają jak mogłyby i powinny, bowiem zostały one pozbawione celu. „Intelekt pozwala nam odkryć prawdę, natomiast wola dobro. Obecnie prawdę zastąpiła szczerość, zaś dobro stało się wytworem naszych uczuć. Można wręcz powiedzieć, że nasz intelekt oraz wola obumarły" (ks. Yves le Roux FSSPX).

Naprawdę, nie trzeba wiele, nie jest potrzebna żadna pompa, kosztowna oprawa, ale to minimum szacunku dla Boga, dla Syna Bożego, jest niezbędne. Formy są ważne, one mówią o naszym stosunku do osoby, której coś zawdzięczamy. Przecież nie mówimy per „ty" i nie klepiemy po plecach Kogoś, kto nas stworzył, kto nas trzyma przy życiu, komu zawdzięczamy wszystko, czym jesteśmy i co posiadamy. I na Kogo przyjaźń i łaskawość w przyszłości liczymy tylko dlatego, że Jego Syn odkupił własną krwią wszystkie nasze grzechy, wszystkie upadki. Gdy podepczemy formy, gdy skasujemy liturgię, upraszczając ją i zmieniając bez uzasadnienia, gdy do Pana Boga będziemy podchodzić jak do kogoś równego nam, nikt już nie będzie pamiętał, kim jest Bóg.

Nie, takie sprzeczności nie mogą się pomieścić w umyśle normalnego człowieka. Utrata wiary to nie tylko konsekwencja sekularyzacji, jak się dziś często słyszy. To także nieunikniony rezultat odebrania możliwości posługiwania się zwykłym katolikom najprostszą logiką. Skoro Bóg jest wszechmogący, skoro jest Stwórcą, skoro swego Syna dał, byśmy mogli powrócić do Niego po katastrofie grzechu pierworodnego i po kataklizmach naszych własnych grzechów, to należy Mu się najwyższa cześć, największy hołd, wyrazy największej wdzięczności. Liturgia Mszy zmienionej po soborze nie wyraża już tego wszystkiego. Bo nie jest zbudowana wokół ołtarza i Ofiary składanej na nim przez kapłana – ofiarnika *in persona Christi*, ale wokół stołu Słowa Bożego, jak to się określa, i wokół świętości „ludu Bożego", celebrowanego jakby to on był tu prawdziwym bóstwem! Wszystko zostało odwrócone, hierarchia Osób i znaczeń zniszczona. Związki przyczyn i skutków niezbędne, by umysł człowieka miał kontakt z rzeczywistością ducha, zatarte. Czy jest czymś dziwnym, że powiększa się liczba ludzi, który głośno manifestują swoją bezbożność? Publiczne bluźnierstwa uznają za realizację przysługujących im uprawnień, nawoływanie do zemsty i nienawiści traktują jak naturalne, zwykłe odreagowywanie swojej frustracji, zwyczajne ludzkie emocje?

Kryzys liturgii

W latach 50. ubiegłego wieku, a więc jeszcze przed soborem – bo już wtedy szerzyła się we Francji nowoczesna liturgia, odprawianie Mszy św. twarzą do ludu – wielki apologeta chrześcijaństwa, poeta i dramaturg Paul Claudel, pisał w tekście pt. „Odwrócona Msza":

„Chciałbym zaprotestować ze wszystkich mych sił przeciw praktyce, która coraz bardziej rozprzestrzenia się we Francji: żeby odprawiać Mszę twarzą do ludu. Główna zasada naszej wiary mówi, że Bóg jest najważniejszy i dobro człowieka jest tylko konsekwencją uznania i zastosowania w życiu codziennym tego podstawowego dogmatu.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Istotą Mszy Świętej jest hołd, oddawany przez nas Panu Bogu poprzez ofiarę, którą składa kapłan na Jego ołtarzu. My, jako wierni znajdujemy się za kapłanem i pozostając z nim w całkowitej jedności, idziemy ku Bogu, aby złożyć mu nasze *hostias et preces* [ofiary i błagania – przyp. tłumacza]. Bóg nie ukazuje się nam jak obojętnej publiczności, żeby ku naszej wygodzie uczynić nas biernymi świadkami misterium, które ma się dokonać podczas Mszy św. Nowa liturgia zupełnie pozbawia chrześcijan tej ich godności i tego wzniosłego prawa, aby w pełni świadomie uczestniczyć w Najświętszej Ofierze. Lud boży nie powtarza już słów modlitw Mszy za kapłanem, nie podąża za nim (jak się słusznie mówi), a przecież to do niego kapłan zwykł się odwracać co jakiś czas, żeby upewnić się o jego obecności, udziale i współdziałaniu w składaniu ofiary, czego podjął się w naszym imieniu. W starej Mszy św. nie ma ciekawskiej postawy ze strony wiernych, którzy patrzą na kapłana, gdy ten wykonuje swoją rolę, istnieje tutaj tylko tajemnicza obecność, która czuwa nad wypełnianiem jego obowiązku. Z kolei w nowej liturgii bezbożnicy mają wszelkie szanse powodzenia, żeby przyrównać go do kuglarza, który przedstawia swój popis pośród grona uprzejmie zadziwionych ludzi.

Jest oczywistym, że w tradycyjnej liturgii znaczna część Najświętszej Ofiary, ta do głębi poruszająca, umyka wzrokowi wiernych. Nie „ucieka" ona jednak ich sercu i wierze. Dla potwierdzenia tego, podczas Ofiarowania w czasie Mszy Uroczystych, subdiakon u stóp ołtarza zakrywa twarz lewą dłonią. W tych momentach nic się nie dzieje, aby zaspokoić naszą ciekawość, jesteśmy zaproszeni wtedy do modlitwy i refleksji. […]

Obecny, opłakany, zwyczaj, przy uzasadnionym niepokoju, dokonał przewrotu w dawnym ceremoniale. Nie ma już ołtarza. Gdzie się teraz znajduje ta konsekrowana bryła, którą Apokalipsa porównuje z ciałem samego Chrystusa? Jest tylko jakaś wątpliwa, drewniana konstrukcja, przykryta obrusem, która boleśnie przywodzi na myśl kalwiński stół.

Oczywiście, postawiwszy wygodę wiernych na pierwszym miejscu, trzeba było ogołocić wyżej wymieniony „ołtarz" ze wszystkiego, co tylko można, co na nim przeszkadzało, nie tylko ze świec i wazonów z kwiatami, ale również z samego tabernakulum! I krucyfiksu! Kapłan odprawia Mszę w pustkę. Kiedy wypowiada słowa *sursum corda*, to zaprasza swój lud do podniesienia serc i oczu, ale w kierunku czego właściwie…? Nie ma już ponad nami nic, co mogłoby służyć jako nieboskłon Chrystusowi zstępującemu w momencie przeistoczenia na ołtarz jak wschodzące słońce. Ołtarz nie jest już przygotowany na Jego przyjście. A jeśli zachowamy, przy wszystkich tych zmianach, świeczniki i kwiaty, lud będzie jeszcze bardziej wyłączony, ponieważ w ten sposób nie tylko ceremonia, ale i kapłan jest przed nim całkowicie ukryty.

Zgodziłbym się, choć z największym smutkiem, na Mszę w formie przypominającej ostatnią wieczerzę, ponieważ wydawać by się mogło, że od tłumu nie można wymagać już jakiegokolwiek wysiłku duchowego i że koniecznym jest przekazanie mu najdostojniejszych Misteriów w taki właśnie sposób, ale wtedy trzeba by zmienić cały rytuał. Czym są owe: *Dominus vobiscum, Orate fratres* wypowiadane przez kapłana odseparowanego od swojego ludu, który nic od niego nie oczekuje, żadnego wysiłku. Co oznaczają te przepiękne szaty naszych ambasadorów przed Bogiem, których posyłamy ku Niemu? A nasze kościoły, czy można je zostawić wobec tego w takim stanie w jakim są?" (P. Claudel, „La messe a l`envers", „Le Figaro Litteraire", tłum. J. Pałkiewicz, 9 stycznia 1955).

Te gorzkie słowa padły dawno temu, gdy w Kościele jeszcze królowała łacina, gdy „duch soboru" nie wymiótł ze Mszy św. większości elementów decydujących o jej katolickim charakterze i nie przypominała ona tak bardzo jak ta dzisiejsza, protestanckiego nabożeństwa. Co Claudel powiedziałby teraz?

Josef Ratzinger jako szef Kongregacji Wiary dostrzegał niebezpieczeństwo i skutki zmienionej w wyniku soboru liturgii. Nieraz powtarzał, że „kryzys wstrząsający Kościołem od około 50 lat, a przede wszystkim po Soborze Watykańskim II, wiąże się z kryzysem liturgii, a zatem z nieposzanowaniem, desakralizacją i horyzontalizacją istotnych elementów kultu Bożego" (przypomniał to kard. Robert Sarah). Mówił o wyraźnym, lekceważonym przez entuzjastów „nowej ewangelizacji" związku kryzysu i „rozkładu liturgii", jak nie wahał się określać owej niefrasobliwości, jaka ujawnia podczas nowej Mszy. Czas, by polscy hierarchowie wyciągnęli wnioski z tej sytuacji, by dostrzegli to, co dostrzegają gołym okiem tysiące katolików: brzydotę, chaos i rażące niekonsekwencje, nielogiczności w sprawowaniu kultu Boga, którego czystości mają obowiązek strzec.

Gdy obumiera liturgia Kościoła, także kultura katolicka i moralność chrześcijańska nie ma już prawa istnienia. Jest odrzucana jak zbędny gorset, nierozumiana, sztuczna i obca. Samo pojęcie Boga coraz bardziej zaciera się w świadomości człowieka. Jego wieczne przeznaczenie wydaje się naiwną opowiastką dla dzieci. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe



Krzysztof Karnkowski

Powtórka, która nie była farsą

Mówi się, że historia powtarza się jako farsa, i z reguły tak właśnie się dzieje. Jednak losy kampanii wyborczej Karola Nawrockiego pokazują, że nie zawsze tak jest.

Rozważania o tym, kto miałby zostać kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta, trwały co najmniej od wyborów parlamentarnych w 2023 roku. Giełda nazwisk była tematem bardzo medialnym. W publikacjach i komentarzach przewijały się więc nazwiska: Beaty Szydło, Tobiasza Bocheńskiego, Zbigniewa Boguckiego, Przemysława Czarnka, Patryka Jakiego, Mateusza Morawieckiego, Karola Nawrockiego i Dominika Tarczyńskiego, a pogłębiona kwerenda pozwoliłaby znaleźć jeszcze kilka propozycji. Sprawy ważyły się niemal do ostatniej chwili. Być może to właśnie odbiło się na pierwszej konwencji Karola Nawrockiego, na której wypadł on według wielu poniżej swoich możliwości, dużo gorzej od formy prezentowanej przez niego w kolejnych miesiącach. Co zdecydowało? Osobiste przymioty, determinacja, odwaga w sytuacjach zderzenia z przeciwnikiem lub przeciwnościami, a także wpisanie się w konwencję „nowego Dudy", kandydata niekojarzonego z bieżącą partyjną polityką z czasów sprawowania władzy i wyborczej porażki, wreszcie po prostu świeżego dla wyborców, a przy tym młodego, wykształconego i prezentującego się dobrze. Nawrocki wymagania te spełniał, a w części czysto politycznej wpisywał się w nie nawet lepiej niż sam Andrzej Duda, mimo wszystko w polityce przez lata funkcjonujący, choć niekoniecznie na jej pierwszej linii.

Kandydat zmiany radykalnej

Gdy opinia publiczna poznała późną jesienią 2014 roku nazwisko Andrzeja Dudy jako kandydata PiS na prezydenta, nie brakowało głosów, że jest to osoba mało znana, a jej wybór oznacza oddanie prezydentury walkowerem. Bardzo wiele osób myliło go również z Piotrem Dudą, przewodniczącym Solidarności. W przypadku Nawrockiego przechodziliśmy to samo, tylko bardziej. W pewnym momencie przybrało to wręcz rozmiary kampanii dezinformacyjnej, a zarazem operacji psychologicznej, obliczonej na zmianę kandydata. Media i wielu komentujących, również życzliwych wobec PiS, powtarzało, że Nawrocki pozostaje nieznany nawet części wyborców tej partii, którzy skłaniają się ku wsparciu Marka Jakubiaka. Później, gdy frekwencja i atmos-

eprasa.pl 8145cd3dbe

fera na spotkaniach szefa IPN z wyborcami skutecznie przekaz ten skompromitowała, zaczęto grać sondażami, w których coraz bliżej drugiego miejsca znajdować się miał wystawiony przez Konfederację Sławomir Mentzen. W 2015 roku, choć w mniejszej skali, podobnie próbowano wspierać Pawła Kukiza, w ostatnich dniach kampanii zapraszanego przez dziennikarzy głównego nurtu do największych mediów. Przy czym, podkreślmy, nie należy traktować Mentzena i Kukiza jako uczestników tej gry, byli oni raczej cynicznie wykorzystywani przez system III RP bez własnej woli, ostatecznie przyczyniając się do jego dużego osłabienia.

W 2015 roku PiS walczył o zdobycie prezydentury i większości parlamentarnej, w 2020 roku o utrzymanie prezydentury w warunkach sprawowania władzy (z czynnikiem dodatkowym w postaci pandemii), natomiast w 2025 roku ponownie o utrzymanie prezydentury, lecz znów będąc w roli opozycji parlamentarnej. Wydawałoby się więc, że każde z tych trzech głosowań i poprzedzających je kampanii będzie zupełnie inne. Stało się inaczej. Niemal od początku aktualnej kadencji Donalda Tuska komentatorzy zauważyli nadzwyczajne tempo zużywania się tej władzy. Platforma ugrzęzła w tych samych błędach, które pozbawiły ją wcześniej władzy, i poza chaotycznymi rozliczeniami, niesatysfakcjonującymi nikogo, nie zaoferowała Polakom niczego. Dryfowanie kraju odbiło się na prognozach gospodarczych, statystykach i nastrojach społecznych. Praktyka rządu zaczęła też potwierdzać dość brutalnie to, co wiele osób wcześniej brało za wytwór propagandy PiS, poprzednich rządów PO nie znając lub nie pamiętając. W tej sytuacji Karol Nawrocki został uznany za kandydata zmiany tak samo, jak w 2015 roku przyjęto Andrzeja Dudę. Co więcej, jego osobiste cechy, pochodzenie społeczne i poglądy sprawiły, że choć odchodzący prezydent udzielił mu poparcia, a PiS dla wielu wyborców jest wciąż uważany za element politycznego układu, Nawrocki stał się kandydatem zmiany radykalnej. Zwrotu, nie kontynuacji. I dzięki temu zgromadził na koniec poparcie tak szerokiego elektoratu sił konserwatywnych.

Tusk przelicytował

Nie musiało tak być. Rafał Trzaskowski, wbrew swej naturze i poglądom, zmuszany był do odgrywania roli konserwatysty, co mogło uśpić czujność mniej wyrobionych wyborców. Elektorat wywodzący się ze środowiska Konfederacji mógł w większej części zostać w domu, tak samo jak obrażeni na PiS za wiele spraw rozczarowani wyborcy tej partii. W samej kampanii mniejsi kandydaci nie musieli skupiać się częściej na Trzaskowskim, a na jego rzecz grać miała też potężna przewaga medialna. Stało się inaczej. Platforma i przychylne jej media przedobrzyły, ogromną rolę odegrała TV Republika, swoje zrobił też internet, w którym potężne segmenty branży opiniotwórczej przechyliły się jeśli nie wprost na stronę Karola Nawrockiego, to na pewno przeciw Rafałowi Trzaskowskiemu. Ogromną rolę odegrał Kanał Zero i wyborczy happening Krzysztofa Stanowskiego, lecz na nim się nie skończyło. Pod koniec kampanii przeciwko Donaldowi Tuskowi i kilku dyżurnym autorytetom moralnym ze świata klasycznej TV był właściwie cały świat młodych influencerów z YouTube'a. Medialne nagonki nie zaszkodziły, a wręcz pomogły Nawrockiemu, ponieważ w dzisiejszych czasach łatwiej zweryfikować i informację, i informatora. Narracje sprzyjające Trzaskowskiemu, a przeciw Nawrockiemu, okazały się dla młodych niewiarygodne, jak postać przywołanego przez Tuska Jacka Murańskiego, boksera-skandalisty, który, o czym premier raczej nie wiedział, skonfliktowany jest chyba z każdym internetowym celebrytą, kreującym dziś poglądy i wiedzę o świecie młodego pokolenia. W efekcie ku Nawrockiemu zwróciła się więc też młodzież, a więc cały elektorat zmiany i protestu, który zapewne jeszcze półtora roku wcześniej nie uwierzyłby, że zagłosuje na osobę popieraną przez PiS w jakichkolwiek wyborach.

I tak powtórzył się rok 2015, a wraz z nim koszmar Platformy i kompletnie nieprzygotowanego na taki rozwój wypadków Donalda Tuska. Już w pierwszej turze, w której Rafał Trzaskowski jeszcze prowadził, widać było, że potencjał głosów przeciwników władzy jest większy niż jej zwolenników. Starzejący się i coraz bardziej zależny od swoich obsesji, a zarazem będący zakładnikiem największych fanatyków z elektoratu PO Tusk stał się dla partii obciążeniem. Ignorując ten fakt, na koniec skleił się kampanijnie z Rafałem Trzaskowskim, zmieniając go niemalże w Komorowskiego bis. Być może dlatego właśnie Trzaskowski po wyborach, jako jedyny z całej partii, porażkę zniósł godnie, może nawet oddychając z ulgą po zrzuceniu z siebie niedopasowanego kostiumu mieszczańskiego konserwatysty i patrioty gospodarczego.

2015 rok dał Polakom wielkie nadzieje. Dziś widzimy, że fatalny rok 2023 wcale jej do końca nie odebrał. Aby jednak tym razem zmiana była pełna i trwała, w tym miejscu podobieństwa muszą się zakończyć. Karol Nawrocki musi być, i prawdopodobnie będzie, nową jakością w Pałacu Prezydenckim. Szanując swoich poprzedników, wypracuje własną, skuteczną i wolną od inteligenckich złudzeń formułę służby dla ojczyzny. ■

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 8145cd3dbe

Asystencja to sprawa ludzkiej godności

Krzysztof Wołodźko



Powiem mocno: to nienormalne, że w sytuacji, gdy za godzinę pracy terapeuty w gabinecie płacimy nawet 300 zł – za pracę, w której asystent osobisty jest narażony na znaczne obciążenia psychofizyczne, niekiedy urazy, i ponosi ogromną odpowiedzialność, rząd proponuje wynagrodzenie w widełkach 46–52 zł za godzinę brutto. To już nie jest niepoważne – to obraźliwe dla osób, które wykonują tę pracę. To nierealne, aby ściągnąć do tej pracy odpowiedzialne i zaangażowane osoby – z Katarzyną Roszewską rozmawia Krzysztof Wołodźko.

Czym jest asystencja osobista i jakiego rodzaju wsparcie obejmuje?

Asystencja osobista to usługa polegająca na indywidualnym wsparciu przy wykonywaniu czynności, których osoba z niepełnosprawnością nie może wykonać samodzielnie. Dotyczy więc tylko części osób z niepełnosprawnościami. Tych osób, które wymagają pomocy czy to poza domem, czy również we własnym domu w zwykłych czynnościach; które bez tego wsparcia nie są w stanie realizować ról społecznych, a przy najgłębszej niesprawności – nawet samodzielnie egzystować.

To oznacza konieczność stałej pomocy?

W powszechnym odbiorze asystencja osobista może kojarzyć się z ciągłym, całodobowym wsparciem świadczonym osobom z poważną niepełnosprawnością ruchową (na przykład osobom leżącym lub poruszającym się na wózku elektrycznym z tetraplegią). Ale to usługa potrzebna również osobom wymagającym tylko częściowo pomocy drugiej osoby, także z innymi niepełnosprawnościami.

Skoro nie ma asystencji, jak radzą sobie te osoby obecnie?

Jeśli nie mają wsparcia najbliższych, często sobie nie radzą. A jeśli wymagają wsparcia przez całą dobę – trafiają do instytucji całodobowej.

Oczywiście mamy różne formy wsparcia, pomocy, które funkcjonują w usługach społecznych. Najpowszechniejsze z nich to usługi opiekuńcze, skierowane głównie do seniorów. Jeśli wymaga tego rodzaj schorzenia lub niepełnosprawność osoby, mamy też specjalistyczne usługi opiekuńcze, świadczone przez osoby z odpowiednim przygotowaniem zawodowym. Dwa lata temu wprowadziliśmy usługi sąsiedzkie, które obejmują pomoc przy podstawowych potrzebach życiowych, higieniczno-pielęgnacyjnych i w kontaktach

eprasa.pl 8145cd3dbe

z otoczeniem, a nie wymagają specjalistycznej wiedzy i umiejętności. Z ochrony zdrowia finansujemy usługi pielęgnacyjne oraz usługi medyczno-pielęgnacyjne. Rozwój nowych usług widać też w nowych zawodach społecznych i medycznych, takich jak terapeuta zajęciowy czy opiekun medyczny. Uregulowaliśmy zawód fizjoterapeuty.

▶ Dlaczego zatem przy wielości form wsparcia taki nacisk na asystencję?

Powodów jest kilka. Po pierwsze, specjaliści nastawieni są na efekt terapeutyczny i skupieni na swoim zadaniu – jak najlepiej usprawnić człowieka. W takiej relacji osoba z niepełnosprawnością jest dla specjalisty pacjentem, wyzwaniem medycznym lub terapeutycznym. To nie jest relacja ani podmiotowa, ani nawet równorzędna. Pacjent ma się dostosować do zaleceń. Tyle że życie z niepełnosprawnością to nie tylko leczenie i rehabilitacja. W różnym wymiarze, na różnych etapach życia z niepełnosprawnością są one potrzebne, ale nie determinują ludzkiego życia.

Każdy z nas przede wszystkim chce zwyczajnie uczestniczyć w życiu rodzinnym i społecznym.

Z kolei świadczenie usług opiekuńczych koncentruje się na zapewnieniu realizacji podstawowych czynności życiowych, takich jak jedzenie, mycie, ubieranie się, załatwianie niezbędnych spraw życiowych, w tym wykupienie recepty. Na dodatek tego rodzaju wsparcie jest świadczone wtedy, gdy konkretna osoba nie może uzyskać pomocy ze strony najbliższych.

▶ Gdy to Pani powiedziała, uświadomiłem sobie lepiej, jak delikatna to sprawa. Bardzo godnościowa.

Bo tak jest. Asystencja osobista jest realizowana przy poszanowaniu prawa do wyboru asystenta przez osobę niepełnosprawną i autonomii co do realizowanych czynności. Nie ogranicza się tylko do zapewnienia realizacji podstawowych czynności życiowych. Ma umożliwiać normalne funkcjonowanie osoby w społeczeństwie i w rodzinie.

Oczywiście dzisiaj już nie ma przeszkód, aby usługi opiekuńcze były bardziej elastyczne, jeśli chodzi o czas ich realizacji i zakres czynności. To jednak nie tylko kwestia rozkładu czasu pracy pracowników socjalnych i zasobów finansowych oraz kadrowych. Nie chodzi wyłącznie o liczbę zatrudnionych osób. Pamiętajmy, że pracownicy socjalni to często kobiety w wieku średnim i przedemerytalnym. A pomoc osobie starszej lub z niepełnosprawnością często wymaga wysiłku. Nasze otoczenie, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, nie jest do nich dostosowane.

Ustawa o pomocy społecznej nie wyklucza realizacji usług opiekuńczych w innym zakresie niż zaspokajanie podstawowych potrzeb egzystencjalnych. Mogą być realizowane również w celu zapewnienia kontaktów z otoczeniem, ale – jak wskazuje ustawa – „w miarę możliwości".

▶ No właśnie: „w miarę możliwości". A te nie zależą przecież od formalnych zapisów, lecz od realnego potencjału pomocy.

Powiem tak: z jednej strony nie należy przesadnie krytykować tego, co już mamy. Tych usług, które pozwalają choćby niektórym osobom niesamodzielnym mieszkać we własnym mieszkaniu. Ich niedobór często wiąże się nie tyle z formalnym kształtem, ile po prostu z niedofinansowaniem i deprecjacją usług społecznych.

Z drugiej – asystencja to nowa jakość usług społecznych. To inny sposób i charakter świadczonego wsparcia. Usługa asystencji osobistej nie ogranicza się do zaspokojenia egzystencjalnych potrzeb. Nie ma na celu rehabilitować, usprawniać, instruować, motywować do działania. O zakresie podejmowanej aktywności decyduje wyłącznie osoba z niepełnosprawnością. Usługa kładzie nacisk na podmiotowość i pełną autonomię. Asystencja jest tą formą wsparcia, która w najwyższym stopniu umożliwia samorealizację, kontakty społeczne – po prostu normalne życie, niezależne od pomocy najbliższych członków rodziny.

▶ To oznacza także duży oddech dla opiekunek i opiekunów osób z niepełnosprawnościami.

Tak, uruchomienie asystencji osobistej ma wpływ także na rodziny osób z niepełnosprawnościami.

▶ Nie dziwią więc emocje tych osób, często zmęczonych latami wymagającej fizycznie i psychicznie opieki.

W przypadku niektórych niepełnosprawności to ogromne obciążenie rodzin, a zwłaszcza kobiet, które zmuszone są do rezygnacji nie tylko z aktywności zawodowej, lecz także z własnych potrzeb. Jeśli twój bliski wymaga pomocy 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, to ewentualne kontakty społeczne albo realizujesz w parze, co już samo w sobie jest ograniczeniem dla obu osób; albo te relacje zanikają. Nie ma ich wcale, jeśli stan funkcjonalny twojego niepełnosprawnego członka rodziny i bariery w otoczeniu ograniczają właściwie wszystko. Opiekunowie zaniedbują też własne zdrowie.

▶ I umierają przedwcześnie.

Tak, i powiem więcej: tematem tabu jest również ich zdrowie psychiczne i rozszerzone samobójstwa – lub po prostu samobójstwa ludzi pozostawionych samym sobie z opieką ponad ludzkie siły.

▶ Dorota Próchniewicz, aktywistka społeczna, mama dorosłego Piotra z autyzmem, zwróciła niedawno uwagę, że opinia publiczna skupia się na kwestiach

FOT. ARCHIWUM KATARZYNY ROSZEWSKIEJ

eprasa.pl 8145cd3dbe

asystencji osobistej, ale nie jest to jedyny temat istotny dla środowiska opiekunek osób z niepełnosprawnością intelektualną. Podziela Pani ten pogląd?

Jak najbardziej. Asystent nie podejmuje decyzji życiowych za osobę, nie zarządza jej życiem, nie organizuje leczenia, rehabilitacji, procesu edukacji, zatrudnienia ani czasu wolnego. O ile asystencja w połączeniu z dostępnością jest kluczową usługą dla osób w pełni samodzielnych co do swoich decyzji, o tyle w przypadku osób ze znaczną niepełnosprawnością intelektualną to tylko element układanki niezbędnego wsparcia. Niezbędne są wspólnoty mieszkaniowe z całym zapleczem usług, oferty aktywności dziennej dla osób, które nie mogą podjąć pracy. Konieczna jest także reforma przestarzałego i upokarzającego zastępczego podejmowania decyzji na rzecz możliwie najbardziej szanującego wolę osoby, a także uwzględniającego jej bezpieczeństwo – wspomaganego podejmowania decyzji.

Jak dużej grupy osób – bezpośrednio i pośrednio – może dotyczyć asystencja?

Nie wiemy, ile dokładnie osób powinna objąć asystencja osobista. W przygotowywanym projekcie rządowym jej zakres został ograniczony do osób 13–65 lat. Seniorzy z tego wypadli… Projekt prezydencki, zaproponowany jeszcze przez Andrzeja Dudę, zakłada objęcie asystencją osób dorosłych bez górnego ograniczenia wieku.

Skąd ten problem z realnym oszacowaniem liczby osób, którym pomogłaby asystencja?

Wie pan coś o polskim orzecznictwie?

Sygnały nie są krzepiące.

Dotyczy to również tej sprawy. Mówiąc wprost: na oszacowanie skali asystencji nie pozwala polskie orzecznictwo. Pomimo kilku nakładających się systemów orzeczniczych, które mają weryfikować poziom niesamodzielności i oczekiwanego wsparcia, nie jesteśmy w stanie precyzyjnie wyłonić grupy osób wymagających asystencji osobistej.

Problemem jest również oszacowanie zakresu wymaganego wsparcia, czyli realne wskazanie, ile osób wymaga asystencji tylko częściowo, a ile praktycznie całodobowo. Czasem szacuje się, że w populacji osób ze znacznym stopniem niepełnosprawności około 10 proc. wymaga wsparcia innej osoby. To oznaczałoby, że blisko 100 tys. osób wymaga w jakimś zakresie asystencji… Szkopuł w tym, że nasz system orzekania jest wadliwy. Wielokrotnie potrafi zakwalifikować na przykład osoby z zespołem genetycznym obciążonym niepełnosprawnością intelektualną i nierokujące poprawy funkcjonowania jako osoby samodzielne.

A co ze wspomnianymi przez Panią wyżej seniorami?

Ich będzie przybywać w systemie i będą potrzebować asystencji. Liczba niesamodzielnych seniorów będzie rosła wraz ze starzeniem się roczników wyżu demograficznego z lat 50. XX wieku, które w miastach masowo staną się więźniami czwartego piętra.

Więźniowie czwartego piętra?

Nie są w stanie samodzielnie opuścić mieszkania bez windy w bloku.

Asystencja jest odpowiedzią na te problemy?

Postawienie przy danej osobie asystenta w każdym wypadku niedostępnego najbliższego otoczenia nie jest rozwiązaniem. Pytanie, czy nie powinniśmy jednocześnie inwestować w profilaktykę zdrowotną seniorów, dostępność budownictwa mieszkalnego i otoczenia, które zamieszkujemy, wykup lub zamianę niedostosowanych mieszkań, tak by umożliwić jak największej grupie osób jak najdłużej samodzielne funkcjonowanie.

Na ogólną kondycję starzejącego się społeczeństwa oczywiście kładzie się cieniem również słabnąca wydolność ochrony zdrowia.

Ale jakieś rządowe oszacowania chyba mamy?

Jak na razie rząd Donalda Tuska obliczył, że docelowo w zaplanowanym przedziale wiekowym z asystencji korzystać będzie około 100 tys. osób. A świadczyć usługę będzie 150 tys. asystentów i asystentek. Liczbę asystentów oszacowano przy założeniu, że wielu z nich nie będzie świadczyć usługi w pełnym wymiarze, który został przewidziany na 276 godzin miesięcznie.

Ale to są założenia przy bardzo niskim wymiarze wsparcia, za który projekt jest chyba najbardziej krytykowany. Rząd planuje, że osoby z największą potrzebą asystencji otrzymają średnio tylko 2,4 godziny na dobę. Jak można usamodzielnić się przy tym poziomie wsparcia? Jak opiekun osoby z niepełnosprawnością może w tej sytuacji wrócić do pracy zawodowej?

Pod koniec lipca w Pabianicach Donald Tusk wyznał, że trudno będzie wygospodarować pieniądze na asystencję osobistą. Tłumaczył to priorytetami, czyli wydatkami na bezpieczeństwo państwa. Argument z bezpieczeństwa jest trudny do obalenia w debacie publicznej, premier doskonale musi o tym wiedzieć. Jednak coś zazgrzytało w tej narracji, skoro wypowiedź została źle przyjęta przez opinię publiczną, a lider rządzącej koalicji próbował wycofać się z niej raczkiem. Jak odbiera Pani tę sytuację?

eprasa.pl 8145cd3dbe

Trudno spekulować, co premier miał właściwie na myśli. Może to jakiś polityczny sygnał do koalicjanta. Z całą pewnością nikt tak nie atakuje pełnomocnika rządu ds. osób niepełnosprawnych, czyli Łukasza Krasonia (Polska 2050), jak pozostali członkowie rządu.

Upolitycznienie tematu ma też swoje plusy. Fakt, iż asystencja osobista trafiła do politycznego mainstreamu, że omawiają ją popularne podcasty polityczne i społeczne, jest nie do przecenienia. Rezultatem może być już tylko albo jego przyjęcie, albo odłożenie na jakiś czas. Całkowite wycofanie się z projektu wydaje się trudne do wyobrażenia.

▶ Wycofanie – zapewne. Odwlekanie wydaje się możliwe.

Jeśli projekt trafi do Sejmu w tym roku – biorąc pod uwagę, jak politycznie jest rozgrywany – jego procedowanie może niestety przeciągnąć się do kolejnego roku wyborczego, czyli do roku 2027. Wskazywał na to minister nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu Maciej Berek.

Zwrócę też uwagę, że minister rodziny Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, która wyszła niedawno do protestujących osób z niepełnosprawnościami, obiecała jedynie jego dalsze procedowanie jesienią.

▶ Lewica wydawała się mocnym sojusznikiem środowiska osób z niepełnosprawnością i ich opiekunek.

Na podstawie dotychczasowych zachowań Lewicy nie ma powodów sądzić, że temat asystencji będzie dla niej sprawą „być albo nie być" dla dalszego trwania rządzącej koalicji.

▶ Jest jeszcze – była już – Trzecia Droga.

Być może Polska 2050 – zgodnie z zapowiedzią marszałka Sejmu Szymona Hołowni – wniesie pod koniec kadencji projekt poselski. Bo choć asystencja jest w kompetencjach Ministerstwa Rodziny, wewnątrz resortu to Polska 2050 wzięła polityczną odpowiedzialność za obszar niepełnosprawności.

Z pewnością jednak i dla tej partii asystencja osobista nie jest tak priorytetowa jak los przedsiębiorców uciemiężonych składką zdrowotną.

▶ Mocno Pani kpi…

Pan minister Krasoń wskazywał już kilka dat wejścia w życie ustawy o asystencji osobistej. Najpóźniej miała obowiązywać od stycznia tego roku. Mijają miesiące, a projektu nie ma nadal nawet w Sejmie.

▶ Jak silna jest pozycja – także w sprawach dotyczących asystencji – Łukasza Krasonia, sekretarza stanu w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej i pełnomocnika rządu ds. osób niepełnosprawnych?

Pytanie o pozycję ministra Krasonia jest zasadne. Nie wygląda na to, żeby była zbyt mocna. Z tym samym problemem zderzył się poprzedni pełnomocnik – Paweł Wdówik, bez własnego zaplecza politycznego, który nawet nie był czynnym politykiem w momencie obejmowania funkcji. Łukasz Krasoń takim politykiem jest, ale nie zdobył mandatu posła.

▶ Dlaczego prezydencki projekt o asystencji nie jest procedowany? Chodziło o pieniądze? Czy raczej o kwestie wizerunkowe i polityczne?

Prace nad tym projektem rozpoczęły się w poprzedniej kadencji. Wspominałam już, że przygotowanie ustawy wziął na siebie prezydent Andrzej Duda. Choć prezydent ma inicjatywę ustawodawczą, jego możliwości legislacyjne i dostęp do niezbędnych danych są nieporównywalnie skromniejsze niż strony rządowej. Projekt nie był więc przygotowywany samodzielnie, lecz we współpracy z Ministerstwem Rodziny. Ostatecznie dokument wpłynął do Sejmu w marcu ubiegłego roku. Obecnie na stole mamy tylko ten jeden gotowy projekt. To właśnie propozycja byłego już prezydenta Dudy, złożona do Sejmu wiosną 2024 roku.

▶ Propozycja, która nie znalazła łaski w oczach rządzących. Widać systemowe przeszkody dla prawnego rozstrzygnięcia kwestii asystencji. To konflikt między partiami koalicyjnymi? Czy także między resortami w rządzie?

Niestety, zapowiedź marszałka Hołowni, że „czasy zamrażarki sejmowej już nie wrócą", nie objęła tego projektu. Po siedmiu miesiącach odbyło się tylko jedno czytanie tak ważnego społecznie projektu, a na komisję sejmową trafił po ponad roku, czyli w maju tego roku. Przedtem projekt został też mocno zaatakowany przez zależnych ekspertów.

▶ Zależnych?

Tak, zależnych od środków publicznych. Zarzucili projektowi brak konsultacji ze środowiskiem i niezgodność z Konwencją o prawach osób niepełnosprawnych.

Zarzuty te w maju tego roku odparła na komisji sejmowej doradca prezydenta Dudy Paulina Malinowska-Kowalczyk, szeroko prezentując przebieg konsultacji. Zaznaczę, że projekt był poddany konsultacjom już na etapie wstępnych założeń przygotowanych przez Radę Społeczną. Widziałam to wówczas z bliska, bo byłam jej członkiem. W trakcie ich przygotowania Kancelaria Prezydenta współpracowała również ściśle z przedstawicielami środowiska. Wreszcie konsultacji został poddany projekt ustawy przygotowany przez Kancelarię. W ostatecznej wersji, która trafiła do Sejmu, uwzględniono część zgłaszanych uwag.

eprasa.pl 8145cd3dbe

To może był to słaby projekt?

Stawiane projektowi zarzuty merytoryczne również są nieprawdziwe. Doradca prezydenta przedstawiła w trakcie komisji sejmowej konkretne przepisy projektu, które dawały możliwość wyboru asystenta, zakładały indywidualizację wsparcia i oferowały szeroki zakres czynności świadczonych przez asystenta. Ale podawała też przykłady rozwiązań, na jakie nie zgadzała się wcześniej strona rządowa.

Czyli jakie?

Ministerstwo Zdrowia nie zgadzało się na wykonywanie czynności medycznych przez asystenta bez odpowiednich kwalifikacji. Projekt wprost ich nie ujmował, ale też ich nie wykluczał. Dobrze się stało, że minister Krasoń wprowadził je wyraźnie do swojego projektu ustawy. Niestety to kwestia, która w toku konsultacji – moim zdaniem niesłusznie – nadal budzi zastrzeżenia.

A czy projekt prezydencki mógłby być lepszy? Oczywiście. Inny doradca prezydenta prof. Marek Rymsza ripostował zresztą na tej samej komisji, że projekt jest pewną propozycją, którą przez ostatni rok można było zmienić, poszerzyć zakres wsparcia (jeśli istniało pokrycie finansowe). Obecna większość parlamentarna wybrała inaczej.

Co w takim razie z projektem rządowym?

No właśnie, co z nim? Wszyscy zainteresowani bardzo chcieliby wiedzieć! Na przywołanej komisji sejmowej w maju doszło do kuriozalnej sytuacji. Bez parlamentarnego trybu oficjalny projekt prezydencki (druk nr 316) został skonfrontowany z projektem rządowym, którego w Sejmie nie było i nie ma. Co więcej, kształt rządowego projektu cały czas ulega zmianie.

Nie cierpię tej protezy językowej, ale aż się prosi o jej szydercze użycie. Nie dowieźli?

Nie dowieźli. Ministerstwo Rodziny nie zrealizowało projektu, który był zapisany w 100 konkretach na 100 dni. Pierwotna propozycja była już dwukrotnie zmieniana pod wpływem uwag zgłaszanych przez inne resorty, głównie przez Ministerstwo Finansów i Ministerstwo Zdrowia. Ich uwagi nie były drobne. To było kilkadziesiąt stron zastrzeżeń do dokumentu, który w pierwotnej wersji był po prostu nie do wdrożenia. Rację miał natomiast minister Krasoń, który w wielu punktach go bronił. Część uwag wynikała bowiem z niezrozumienia idei asystencji. A niektóre wyraźnie zmierzały do szukania oszczędności.

Gdy rozmawialiśmy pod koniec maja na potrzeby tekstu do „Gazety Polskiej", mówiła Pani: „Gdy koalicja rządowa obniżała składkę zdrowotną dla przedsiębiorców, dość sprawnie udało się zmniejszyć w projekcie i tak już skromny (skromniejszy niż w projekcie prezydenckim) wymiar usług asystenckich. Trudno nie mieć wrażenia, że rząd, chcąc spełnić postulaty jednej grupy, szukał oszczędności u innej. Szkoda, że u najsłabszej".

Tak, mam żal, że Ministerstwo Rodziny ustąpiło w tym akurat zakresie. Teraz czytam w prasie, że rząd planuje jednak podnieść minimalny zakres godzinowego wsparcia z 20 do 30 godzin na miesiąc. Mam też nadzieję, że projekt nie będzie wiązał się z ograniczeniem innych usług zapewniających indywidualne wsparcie, czego oczekuje minister finansów Andrzej Domański.

Jakie to oczekiwania?

W swoich uwagach do projektu wskazał, że „należy podjąć działania sfinansowania projektowanych rozwiązań poprzez poczynienie większych oszczędności lub zwiększenie efektywności już realizowanych, innych zadań z tego obszaru polityki państwa". A przecież rządowy projekt w założeniu nie jest kompleksowy (podobnie jak projekt prezydencki).

Będzie dobrze? Czy źle?

Zakładam optymistycznie, że projekt zostanie ostatecznie przyjęty, choćby z tego powodu, że jest już skrajnie okrojony, rozłożony do wdrażania na długie lata, nie stanowi w obecnej wersji istotnego obciążenia dla budżetu. Ale na tym mój optymizm się kończy.

Dlaczego?

Piętrzy się wymogi biurokratyczno-formalne. Rząd wymyślił kolejny, już enty system orzekania na potrzeby tylko tej jednej usługi!

Zatem o prawie do asystencji będzie decydował kolejny zespół, niefortunnie nazwany „składem ustalającym prawo do asystencji". I tak miną kolejne lata, zanim owe „składy" orzekną po raz enty w sprawie dziesiątek tysięcy osób…

I tu znowu wracamy do orzecznictwa. Wszystkie dotychczasowe systemy orzekania nie nadają się do prostego przełożenia na wymiar asystencji. Projekt prezydencki też wymaga decyzji administracyjnej w celu przyznania asystencji, ale sama procedura jest tam prostsza.

Ma Pani jeszcze jakieś zastrzeżenia do rządowego projektu?

Obawy budzi też sposób realizacji usługi. Wielość ścieżek realizacji asystencji sprawia, że ustawa jest bardzo zawiła i będzie sprawiać problemy w trakcie wdrożenia. Ustawa dotycząca tej jednej formy wsparcia to ponad 70 stron. Dla porównania – projekt prezydencki to 23 strony. A do tego trzeba dodać również akty wykonawcze.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Są oczywiście w nim zapisane bardzo słuszne założenia, jak podmiotowość osoby z niepełnosprawnością i szeroki zakres czynności, które będą wykonywane przez asystentów. Są jednak i takie elementy, w których projektodawca zupełnie niepotrzebnie naraża się na zarzut niekonstytucyjności. Niweczy ideę asystencji, na przykład poprzez bezpodstawne ograniczanie formy świadczenia usług do śmieciówek i jednoosobowej działalności gospodarczej (ewentualnie spółki cywilnej).

▶ Przypomina mi to jawnie promowane instytucjonalnie śmieciówki dla ochroniarzy i sprzątaczek z czasów koalicji PO-PSL.

To podejście nie jest wypadkiem przy pracy. Pierwotna wersja zakładała jako jedną z podstaw świadczenia asystencji umowę o pracę. Tego wymaga interes zarówno osoby niepełnosprawnej, jak i asystenta. Trwałość i stabilność świadczonej usługi i zarazem zatrudnienia, pełna ochrona socjalna, prestiż i związana z tym satysfakcja z pracy, budowanie nowego zawodu pomocowego są w interesie obu stron. Niestety, myślenie rządowych ekspertów, często będących w roli realizatorów usług, jest odwrotne. Wprost wskazywali, że prawo pracy to zbyt duże ograniczenie. W wyobrażeniu niektórych asystent to „pchacz wózka", dorabiający student.

Często słyszy się o tym, że potrzebujemy migrantów do pracy opiekuńczej. Zajęcie asystenta w ogóle nie jest widziane jako zawód, a bardziej jako doraźne zajęcie dla osób słabszych na rynku pracy. Asystent ma być jak najtańszy. To klasizm i ableizm!

▶ Wyjaśnijmy, że ableizm to dyskryminacja osób z niepełnosprawnościami.

A w tym wypadku to milczące założenie, że praca asystenta jest gorsza niż inne, mniej wartościowa społecznie, a w rezultacie że osoby z niepełnosprawnościami zasługują najwidoczniej tylko na usługi niskiej jakości. W wymaganych od kandydata kwalifikacjach znajdziemy oczywiście w projekcie rządowym m.in. pielęgniarkę, psychologa, pedagoga. Ale to tylko pobożne życzenie projektodawcy. Warunki – zwłaszcza finansowe – nie przyciągną ludzi do tych zawodów. Chyba że właśnie migrantów. I to do czasu, aż nostryfikują swoje dyplomy lub uzupełnią kwalifikacje w naszym systemie edukacji, co przecież już się dzieje.

▶ Brzmi to dość ponuro.

Także dlatego, że realia pracy w zawodach pomocowych to wciąż w Polsce temat tabuizowany. W wielu wypadkach to ciężka praca, często obciążająca również psychicznie, czasem w warunkach zagrażających zdrowiu, nawet życiu. Proszę przypomnieć sobie doniesienia medialne na temat tego, na jakie zagrożenia są narażeni na przykład pracownicy medyczni w przypadku udzielania pomocy osobom w stanie dużego pobudzenia. Albo reportaże o rodzinach, które nie radzą sobie z osobą z zaburzeniami funkcjonowania. Ostatnio rodzina musiała rozstać się z jednym dzieckiem (oddając je na wychowanie dziadkom) z powodu lekoopornych ataków silnego pobudzenia i agresji u nastoletniego brata z niepełnosprawnością. Kilkanaście ośrodków odmówiło tej rodzinie jakiejkolwiek pomocy. Praca z takimi osobami jest bardzo wymagająca.

▶ Ustawa prezydencka była pod tym względem lepsza?

Miała inne podejście, bardziej podmiotowe również w stosunku do asystentów.

Powiem mocno: to nienormalne, że w sytuacji, gdy za godzinę pracy terapeuty w gabinecie płacimy nawet 300 zł – za pracę, w której asystent jest narażony na znaczne obciążenia psychofizyczne, niekiedy urazy, i ponosi ogromną odpowiedzialność, rząd proponuje wynagrodzenie w widełkach 46–52 zł za godzinę brutto.

▶ Jakie to obciążenia i jaka odpowiedzialność?

Obciążenia fizyczną pracą, narażenie na urazy, również w wyniku zachowań agresywnych, związane z tym obciążenie psychiczne, ale też odpowiedzialność za ludzkie życie. Mówimy choćby o obsłudze respiratora, nierzadko o pomocy w nagłej sytuacji, na przykład ataku epilepsji. Mówimy o zapewnieniu bezpieczeństwa osobie z autoagresją. To już nie jest niepoważne – to obraźliwe dla osób, które wykonują tę pracę. To nierealne, aby ściągnąć do tej pracy odpowiedzialne i zaangażowane osoby.

Przy takim obciążeniu za pracę w wymiarze 276 godzin miesięcznie na śmieciówce asystenci mogą liczyć na płatny urlop niespełna 14 dni w ciągu roku. Oczywiście ze względu na podstawę zatrudnienia nie są objęci obowiązkowo ubezpieczeniem chorobowym.

Piękne i słuszne idee zapisane w projekcie rządowym przy bardzo niskim wymiarze wsparcia skierowanego do osób wymagających asystencji i przy nienależytym docenieniu asystentów mogą stać się tylko pustym zapisem w ustawie. ■

Katarzyna Roszewska – dr hab. nauk prawnych, prof. Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Autorka publikacji naukowych i opracowań eksperckich z zakresu prawa pracy, prawa zabezpieczenia społecznego i praw osób z niepełnosprawnościami, członkini zespołów eksperckich w obszarze niepełnosprawności. Współtwórczyni Centrum Badań nad Niepełnosprawnością (www.cbnn.pl). Prywatnie rodzic osoby niesamodzielnej.

eprasa.pl 8145cd3dbe



Podczas Powstania Warszawskiego dowodzony przez rotmistrza Henryka Leliwę-Roycewicza batalion „Kiliński" zdobył najwyższy budynek Warszawy – Prudential, a także budynek PAST-y. Rotmistrz Leliwa był słynnym ułanem i olimpijczykiem, srebrnym medalistą w jeździectwie na igrzyskach w Berlinie. PRL podziękowała mu za walkę z Niemcami torturami UB i wyrokiem 6 lat więzienia.

Jak zdobywcę PAST-y i Prudentialu niszczyło UB. „I co, wielki mistrzu? Teraz cię zgnoimy"

eprasa.pl 8145cd3dbe

Piotr Lisiewicz



FOT. NAC

Henryk Leliwa-Roycewicz (1898–1990) był wspaniałą postacią zarówno polskiej wojskowości, jak i polskiego sportu" – pisał niedawno zmarły wybitny dziennikarz sportowy Maciej Petruczenko. Ale gdy w 1989 roku dziennikarka Krystyna Rudowska, córka innego powstańca warszawskiego, wybrała się do Archiwum Państwowego, by za zgodą sądu sięgnąć po akta Henryka Leliwy-Roycewicza, usłyszała odmowę. Dopiero kiedy zaczęła zasłaniać się decyzją sądu, pracownica magazynu pokazała jej akta pod warunkiem, że „mnie tam nie było i ona nic o tym nie wie". „Materiały przepisywałam ręcznie (nie było w tym magazynie kopiarki, nie mogłam ich zabrać na zewnątrz ani robić zdjęć aparatem fotograficznym" – pisze Rudowska, autorka „Biografii Henryka Leliwy-Roycewicza".

„Poczucie jakiejś trudnej do wyjaśnienia winy"

Zbigniew Chmielewski w książce „Rotmistrz Henryk Leliwa-Roycewicz i jego żołnierze" cytuje słowa syna rotmistrza Olgierda Roycewicza z 2014 roku: „Przez całe życie w Polsce byłem dyskryminowany, od najwcześniejszych lat zawsze towarzyszyło mi poczucie jakiejś trudnej do wyjaśnienia winy. Wydawało mi się, że ciągle jestem podejrzewany o przestępstwa". Z obawy o swój los wyjechał do Stanów Zjednoczonych. To na relacjach Rudowskiej i Chmielewskiego opieram ten tekst.

Jakie były „winy" rotmistrza Leliwy, że jeszcze w 1989 roku prawdę o jego losach uznawano za niebezpieczną, a poczucie zagrożenia towarzyszyło także jego synowi? Z aktu oskarżenia wynikało, że „działał w zamiarze usunięcia przemocą Krajowej Rady Narodowej, Rządu Jedności Narodowej i Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, zagarnięcia władzy i dokonania zmiany ustroju Państwa Polskiego". Jakich metod używano, by winy te udowodnić? „Repertuar tortur był bogaty. Przysiady aż do utraty przytomności, wielogodzinne siedzenie na taborecie odwróconym do góry nogami, przytrzaskiwanie palców w szufladach, »stójka« nago w wodzie i fekaliach, podczas mrozów oblewanie wodą, skakanie po schodach na jednej nodze w górę i w dół aż do kompletnego wyczerpania. Bicie pałkami, kopanie, głodzenie były na porządku dziennym" – wspominał rotmistrz.

Sześciolatek w siodle

Henryk Leliwa-Roycewicz urodził się 30 lipca 1898 roku w majątku ziemskim w Janopolu na Litwie jako syn Roberta i Eugenii z Likiewiczów. Na rodzinnej pieczęci był znak Leliwa. W rodzinnej posiadłości dzieci mieszkały latem, gdy było ciepło i mogły cały dzień przebywać na dworze. Dzieci była sześcioro: Jan (1897), Henryk (1898), Wacław (1899), Ewelina (1901), Janina (1903) i Wilhelm

eprasa.pl 8945cd3dbe

(1905). Jesienią, kiedy zaczynały się lekcje w szkołach, Henryk, wraz z rodzeństwem i matką jechali do Poniewieża. Ojciec często ich tam odwiedzał, przywożąc ze wsi jarzyny i owoce.

Zbigniew Chmielewski tak opisuje scenę z dzieciństwa pokazującą, jak ojciec wychowywał przyszłego ułana: „Pan Robert Roycewicz, właściciel majątku Janopol, stał na ganku swego domu w otoczeniu rodziny i z ukontentowaniem obserwował jeździeckie wyczyny jednego ze swoich synów, sześcioletniego Henia. Chłopiec dobrze trzymał się w siodle. Posłuszny jego woli koń wykonywał wszystkie polecenia – zatrzymywał się w miejscu, zmieniał krok i tempo, kłusem zmierzał w wyznaczonym kierunku, a otrzymawszy kuksańca pod żebra, ku wielkiej radości stojących za płotem chłopaków z sąsiedztwa pędził galopem w stronę lasu. Te skoki budziły największy podziw wiejskiej gromady".

Chmielewski podkreśla, że kraina dzieciństwa wywarła ogromny wpływ na jego przyszłe losy: „Każdy jego życiorys rozpoczyna się słowami: »Urodziłem się na Żmudzi…«. Nosił sercu wyidealizowany, romantyczny obraz tej »magicznej krainy starych, odwiecznych dębów, węży i bursztynu« powstały wskutek lektur Mickiewicza, Sienkiewicza i Rodziewiczówny".

„Zdobycie niepodległości polskiej drogą walki zbrojnej"

Po ukończeniu czterech klas szkoły realnej w Poniewieżu, matka zapisała go do Gimnazjum w Kownie. „Tu po raz pierwszy zetknął się z konspiracją. Na poufnych zebraniach dowiedział się o sprawach, o których dorośli rozmawiali tylko szeptem: o gubernatorze zwanym Murawjow – Wieszatiel, o litewskich nacjonalistach, o przemycie książek z Prus, o zaprzedańcach carowi i o komunistach. Wtedy, był też obecny przy rewizji w domu swojego przyjaciela i jego aresztowaniu" – pisze Krystyna Rudowska.

Jesienią 1914 roku zaledwie 16-letni Henryk Leliwa-Roycewicz zgłosił się razem z grupą kolegów z gimnazjum do Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), podpisał deklarację, że „celem jest zdobycie niepodległości polskiej drogą walki zbrojnej. W tej walce wrogiem największym jest Rosja i przeciw niej należy kierować oręż".

Służbę wojskową rozpoczął w 1918 roku, zgłaszając się na ochotnika do 1. Pułku Ułanów Wileńskich. Walczył z bolszewikami. „19 kwietnia rozpoczęła się operacja, której celem było wyrzucenie wojsk sowieckich z Wileńszczyzny. Grupa generała Adama Mokrzeckiego, w której służył Henryk Roycewicz, ruszyła na Baranowicze i Nowogródek, zdobywając po ciężkich walkach oba miasta… Piechota osłaniała atak kawalerzystów ppłk. Władysława Beliny-Prażmowskiego…. Polscy ułani zjawili się niespodziewanie na ulicach Wilna i po trzech dniach walk całe miasto było w ich rękach. Była to najpiękniejsza Wielkanoc w historii Wilna" – pisze Chmielewski. Za walki z bolszewikami dostał pierwsze odznaczenie: Medal za wojnę 1918–1921.

„Powycierał wszystkie kąty sławny pułk dwudziesty piąty"

W 1920 roku ukończył warszawską Szkołę Podchorążych, a następnie kurs oficerów kawalerii w Wyższej Szkole Kawalerii w Grudziądzu. 1 czerwca 1921 roku otrzymał stopień podporucznika i został skierowany do 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich. Awansował na porucznika ze starszeństwem z dniem 1 września 1922 roku.

Wymaga wyjaśnienia, że 25. Pułk Ułanów Wielkopolskich był „wielkopolski" z nazwy, bo w Wielkopolsce powstał, natomiast stacjonował w Prużanie na Polesiu. Mówiły o tym pułkowe żurawiejki: „Powycierał wszystkie kąty sławny pułk dwudziesty piąty" i „Wielkopolskim się mianuje, a w Prużanie pokutuje". „Pokutowanie" związane było z faktem, że Prużana była małym miasteczkiem. Ale Leliwy to nie deprymowało, napisał do rodziny entuzjastyczny list, że oto jest w sławnym pułku ułanów!

Szybko okazało się, że ojcowskie nauki nie poszły w las i ułan Leliwa znakomicie prezentował się na koniu. „Szybko zyskał sławę – jak to wówczas mówiono – »najlepszego sportsmena« w pułku... Elegancki, znakomicie trzymający się w siodle, zawsze mógł liczyć na aplauz widowni, zwłaszcza jej damskiej części" – czytamy w książce „Rotmistrz Henryk Leliwa-Roycewicz i jego żołnierze". „Zanim sam zasiądziesz za stołem, najpierw nakarm konia. Traktuj konia jak swego najlepszego przyjaciela, jak członka rodziny" – tak uczył swoich podwładnych.

Możliwość zmierzenia się z rywalami z innych pułków na arenie krajowej pojawiła się jesienią 1923 roku, kiedy przeprowadzono pierwsze Mistrzostwa Konne Wojska Polskiego zwane „Militari". Tam dostrzeżono jego talent i trafił na kurs do Centralnej Szkoły Kawalerii w Grudziądzu.

Lata 20. były złotym okresem dla polskiego jeździectwa sportowego. Polacy wygrywali pierwsze międzynarodowe zawody, zdobyli też pierwszy medal na igrzyskach olimpijskich w 1924 roku. Dziennik „The Evening Post" pisał o tym: „Polacy odnowili tradycje swego sportu konnego w 1920 roku, w kraju zniszczonym przez wojnę i ogołoconym z wierzchowców. Ich fenomenalny sukces należy przypisać wrodzonemu zamiłowaniu do sportu i koni. Nieskończona cierpliwość i świetna znajomość psychiki zwierząt wraz z głęboką wiarą i zaufaniem do tego czworonożnego przyjaciela są uderzające".

eprasa.pl 8145cd3dbe

Leliwa-Roycewicz osiągał z czasem kolejne sukcesy sportowe: trzykrotne zwycięstwo w Pucharze Narodów (1928, 1931, 1932), mistrzostwo Polski w WKKW, sześciokrotne wicemistrzostwo w WKKW, ujeżdżeniu i wskokach przez przeszkody. Przez sukcesy sportowe omijały go jednak wojskowe awanse – nie wszyscy patrzyli przychylnie na porucznika, który więcej czasu niż w jednostce spędzał na sportowych zawodach.

„Romans, o którym głośno było na całej Litwie"

Miał za to ogromne powodzenie wśród płci pięknej. „W ułańskim mundurze Henryk pięknie się prezentował. Był bardzo przystojnym młodym człowiekiem, mającym wielkie powodzenie u kobiet. W swoim towarzystwie nazywały go »pięknym Heniem«" – pisała w swoich „Wspomnieniach" jego bratowa Jadwiga Roycewiczowa.

W karnawale na ziemi nowogródzkiej bawiono się wówczas do białego rana. Podczas jednego z balów 29-letni porucznik wpadł w oko starszej o 10 lat piękności, Wandzie Marii Strawińskiej z domu Wołłowiczównej. „Rozpoczął się burzliwy romans, o którym głośno było na całej Litwie" – pisze Chmielewski. A Rudowska zwraca uwagę na pozytywne aspekty całej awantury: „Bogata z domu panna Wołłowiczówna szybko stanęła z Henrykiem na ślubnym kobiercu, a w prezencie ślubnym podarowała mu dwa wspaniałe konie: The Hoop i Black Boy. Od tej pory rozpoczyna się pasmo sukcesów Roycewicza".

W 1935 roku Leliwa doczekał się długo wyczekiwanego awansu na rotmistrza. Zdobył też najważniejszy dla każdego kawalerzysty tytuł Indywidualnego Mistrza Armii w zawodach „Militari". Mistrzowi ufundowano atrakcyjną nagrodę – zakup wskazanego przez niego konia.

Pewnego raz grupa instruktorów i jeźdźców z CWK została zaproszona przez hrabiego Potockiego na polowanie na jelenie, dziki, zające i lisy. Tam Leliwa trafił na „tego" konia. Wspominał to tak: „Któregoś dnia, na jednym z kolejnych biegów zobaczyłem młodego chłopaka na kasztanku… Kiedy już się zrównaliśmy, zobaczyłem, że chłopak niewiele ma do powiedzenia w tej parze, bo to koń dyktuje warunki. Kasztanek omijał przeszkody jak chciał, ale kiedy trafiał na potężne i szerokie, których już nie miał szans uniknąć, to śmigał nad nimi z lekkością tygrysa. Takiego konia właśnie szukałem".

Ministerstwo dotrzymało obietnicy i kupiło konia o imieniu Arlekin III. „Do dziś pamiętam, jak ten dziki czworonóg, o imieniu Arlekin III, pokazywał mi swoje dobre i złe cechy charakteru. Jednak między nami nigdy nie było żadnej walki, to było jak czysta gra" – wspominał.

Niemiecka praworządność

Także w 1935 roku znalazł się w ekipie olimpijskiej szykującej się do igrzysk w Berlinie. Tam Leliwa-Roycewicz w drużynowym WKKW zdobył srebrny medal. W drużynie byli także Zdzisław Kawecki i Seweryn Kulesza. W zdobyciu złotego medalu przeszkodziła mu słynna… niemiecka praworządność. Otóż gospodarze igrzysk mylnie poinformowali go o ominięciu przez niego wcześniejszej przeszkody i dyskwalifikacji. Leliwa-Roycewicz zawrócił, aby powtórnie „zaliczyć" przeszkodę. Dodatkowe cztery kilometry, które musiał przebiec koń, nie pozwoliły na doścignięcie zwycięzców zawodów – drużyny Niemiec. W konkursie indywidualnym zajął 15. miejsce.

> Miał ogromne powodzenie wśród płci pięknej. „W ułańskim mundurze Henryk pięknie się prezentował" – pisała w swoich „Wspomnieniach" jego bratowa Jadwiga Roycewiczowa.

Nasz jeździec wspominał: „Arlekin pokonywał bezbłędnie przeszkodę za przeszkodą, ale w pewnym momencie zauważyłem, że żołnierze stojący na trasie dają mi jakieś niezrozumiałe znaki. Początkowo nie zwracałem na to uwagi, jednak na dwudziestej przeszkodzie kilku żołnierzy zagrodziło mi drogę. Podszedł sędzia i zawiadomił mnie, że zostałem zdyskwalifikowany za błąd popełniony rzekomo na dziesiątej, dość łatwej przeszkodzie… Oznaczało to koniec udziału w zawodach nie tylko mojego, ale też całej ekipy polskiej… Nie namyślając się długo pogalopowałem z powrotem do dziesiątej przeszkody. I cóż się okazało? Żadnego błędu nie było. To niemiecki sędzia się pomylił, za co mnie potem gorąco przepraszał".

Polska ekipa wniosła protest. Roycewiczowi odjęto 15 minut karnych z czasu przejazdu, ale nie stanowiło to rekompensaty strat, jakie poniósł. „»Pomyłka« niemiec-

eprasa.pl 8145cd3dbe

kiego sędziego (notabene oficera Wehrmachtu) to jeden z największych skandali berlińskich Igrzysk" – pisze Chmielewski.

Ucieczka przed Katyniem

Podczas wizytacji pułku w 1939 roku generał Władysław Anders zobaczył rotmistrza Roycewicza i szczerze się ucieszył: „Zapraszam na kawę rotmistrzu, dla relaksu powspominamy dawne czasy". Ale gdy tylko usiedli za stołem, u generała zaczęli się pojawiać gońcy z ważnymi meldunkami. „Niestety, panie rotmistrzu, naszą pogawędkę będziemy musieli przełożyć na inne, bardziej spokojne czasy. Da Bóg, być może w Prużanie" – powiedział Anders.

Leliwa-Roycewicz w kampanii wrześniowej 1939 roku dowodził 2. szwadronem 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich. O jednej z bitew stoczonych przez pułk pisze autor książki „Rotmistrz Henryk Leliwa-Roycewicz i jego żołnierze": „Krasnobród to stare, szesnastowieczne miasteczko, pamiętające czasy kanclerza Jana Zamoyskiego. 23 września 1939 roku ułani 25. Pułku Wielkopolskiego stoczyli tu jedną z ostatnich w kampanii wrześniowej, zwycięską bitwę. Po raz ostatni w dziejach kawalerii europejskiej w walce zostały użyte lance".

Większość ułanów z 25. pułku trafiła do niewoli niemieckiej, ale Leliwa został ranny podczas walk z Armią Czerwoną. Pisze Chmielewski: „Wyrwany ze snu rotmistrz Roycewicz chwycił erkaem, wsiadł na konia i pogalopował na skraj wsi… Znalazł się pod zmasowanym ostrzałem broni maszynowej. Koń padł natychmiast, trafiony dwiema kulami w kręgosłup, i przygniótł jeźdźca; trzy kule ugodziły rotmistrza w nogę".

To mógł być koniec. Roycewicz napisał w swoich wspomnieniach: „Dziesięć bagnetów skierowało się w%moją pierś… Pojawili się oficerowie, jeden z nich wołał: »Ty komandir, dlaczego do nas strzelałeś. Sukinsyn, zabiję ciebie«. Dowódca brygady, który nadjechał nieco później, wykazał nieco więcej zrozumienia. Kiedy powiedziałem: »Jesteście oficerami i pytacie mnie, dlaczego strzelałem?«, pokiwał z uznaniem głową i zwrócił się do lekarza: »Odpowiadacie za niego. Do szpitala z nim«".

Trafił do szpitala w Stryju. Jak to możliwe, że udało mu się jeszcze raz uniknąć śmierci, tym razem w katyńskim lesie? „W Stryju, polski lekarz starał się zatrzymać rotmistrza jak najdłużej w szpitalu. Zdrowych żołnierzy bolszewicy wywozili na Białoruś, Litwę i do Katynia lub dalej w głąb Rosji. Rotmistrz Roycewicz dzięki lekarzom, pielęgniarkom i ludziom ze wsi Stryj, zdołał uciec ze szpitala z niedoleczoną jeszcze nogą" – pisze Rudowska.

W kwietniu 1940 roku dotarł do Lwowa i stamtąd w mundurze… szeregowca w ramach wymiany jeńców został przekazany Niemcom. Komisja ds. wymiany jeńców uznała go za inwalidę i skierowała do wywiezienia do Generalnej Guberni. „I znowu dzięki pomocy Polaków uciekł i dotarł do swojej siostry w Krakowie. Tu wyleczono mu zmiażdżoną przez konia nogę, ale pozostała sztywna i nigdy nie rozstał się już z laską" – wspomina Rudowska.

Zdobywca PAST-y i Prudentialu

W 1941 roku przedostał się do Warszawy, gdzie został oficerem w IV Rejonie Armii Krajowej. Od listopada 1943 roku do końca Powstania Warszawskiego był dowódcą batalionu „Kiliński". „Był nie tylko dowódcą, który poprowadził zwycięskie ataki na Prudential i PAST-ę, ale także jednym z organizatorów legendarnego oddziału" – pisze Chmielewski.

Jeszcze przed wojną rozpadło się jego małżeństwo. 4 kwietnia 1943 roku ożenił się po raz drugi z Felicją z Jaranowskich, późniejszą łączniczką ps. „Luta", z którą miał córkę Grażynę i syna Olgierda. „Żona, jako łączniczka, rozwoziła rozkazy i broń w wózku dziecięcym, którym woziła na spacer naszą małą córeczkę Grażynę" – wspominał rotmistrz.

Prudential był najwyższym budynkiem w przedwojennej Warszawie. Niemcy, nie spodziewając się ataku, nie podjęli walki. „W jednym z pomieszczeń spotkano parę Włochów, mających swoją flagę narodową. Ktoś wpadł na pomysł, by oderwać zielony pas – i tak powstał pierwszy biało-czerwony sztandar powstańczy, który wywieszono w oknie na trzecim piętrze" – wspomina Chmielewski.

Ale największym zwycięstwem batalionu „Kiliński" było zdobycie 20 sierpnia 1944 roku budynku Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej, w skrócie zwanej PAST-ą. „Punktualnie o godzinie 2.30 w nocy rozległ się pierwszy wybuch. Huk wstrząsa ludźmi, a w budynku pojawiają się tumany kurzu. Ruszyli, osłaniając przed pyłem usta i nosy, pędzą, by jak najszybciej przez wyłom dotrzeć do gmachu PAST-y. Zanim dobiegli, rozlega się nowy wstrząsający huk. Domyślają się, że w oficynie południowej kapitan »Chevrolet« wysadził ścianę" – wspominał Leliwa.

Już dzień po zdobyciu PAST-y w kinie „Palladium" wyświetlane były powstańcze kroniki z przebiegu walk. Kiedy zapalały się światła, widzowie wstawali z miejsc i wiwatowali na cześć żołnierzy Batalionu „Kiliński" i jego dowódcy.

Ale losy powstania nie potoczyły się pomyślnie. W nocy 7 września rotmistrz Leliwa zorganizował ostatnią odprawę. Przedstawił na niej swój plan obrony Nowego Światu, Królewskiej i placu Grzybowskiego. 8 września znów został ciężko ranny. „Dowódcę z pola ostrzału wynieśli podchorążowie »Jut« i »Jeż«. Gdyby nie ich odwaga i śmiała decyzja, groziła mu śmierć z powodu silnego krwotoku" – pisze autor książki „Rotmistrz Henryk Leliwa-Roycewicz i jego żołnierze".

eprasa.pl 8145cd3dbe

20 września 1944 roku z rozkazu komendanta Sił Zbrojnych w Kraju otrzymał awans do stopnia majora, a 27 września 1944 roku – podpułkownika. Po upadku powstania ukrywał się u krewnych w majątku Kośmin pod Grójcem.

Bacznie obserwowany

Ujawnił się 20 lutego 1945 roku w Rejonowej Komendzie Uzupełnień w Skierniewicach. „Od początku czułem, że jestem bacznie obserwowany. Każdy mój krok jest śledzony. Po pewnym czasie zauważyłem, że zawsze wieczorem przed naszym domkiem na ulicy Wawelskiej parkuje czarny samochód, w którym siedzą jacyś pasażerowie" – wspominał. Stanął na czele Komitetu Ekshumacyjnego, zajmującego się pochówkiem jego żołnierzy. „Jako dowódca uważałem za swój święty żołnierski obowiązek objęcie opieką wszystkich żyjących podwładnych, a także zaopiekowanie się mogiłami poległych" – pisał.

Początek życia w PRL nie był najgorszy. Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych w latach 1945–1947 kierował prezes PSL Stanisław Mikołajczyk, który zlecił mu zakup koni do państwowych stadnin. Ale po ucieczce Mikołajczyka wszystko się zmieniło.

„I co, wielki mistrzu? Teraz cię zgnoimy"

13 stycznia 1949 roku usłyszał głośne stukanie do drzwi fińskiego domku, w którym mieszkał. W drzwiach stał ubek z wycelowanym w niego rewolwerem. Rozpoczęła się rewizja. Jak pisze Chmielewski, dopiero lektura akt pokazuje, na jak ogromną skalę prowadzona była inwigilacja zdobywcy PAST-y i Prudentiala: „Każdy jego krok był śledzony. Pani W. – w okresie powstania łączniczka AK, a teraz właścicielka straganu na bazarze Różyckiego – meldowała o próbach zakupu broni dla Batalionu »Kiliński«. Zubożały arystokrata Z., potomek starego rodu, a obecnie urzędnik ministerstwa rolnictwa, z wielką skrupulatnością odnotowywał kontakty i rozmowy Leliwy… Wiedziano doskonale, kto i kiedy odwiedzał jego dom, a także z kim się kontaktował podczas zagranicznych wyjazdów służbowych".

Oprócz tortur było też poniżanie przez klawiszy. „Po wojnie do służby więziennej trafił najgorszy element, męty społeczne, niedawni współpracownicy Gestapo, specjaliści od »mokrej roboty«. Nadzorcy więzienni ze szczególną satysfakcją pastwili się nad rotmistrzem Leliwą, o którym wszyscy wiedzieli, że kiedyś był sławnym sportowcem. „I co, wielki mistrzu? Teraz cię zgnoimy"; „Ty akowski bandyto"; „Będziesz wisiał" – na każdym kroku był poniżany i szykanowany.

W zamiarze „zagarnięcia władzy"

Akt oskarżenia brzmiał: „Oskarżam Henryka Leliwę-Roycewicza, że od wiosny (brak ustalonego dnia i miesiąca) 1946 roku, mieszkając w Warszawie, działał w zamiarze usunięcia przemocą Krajowej Rady Narodowej, Rządu Jedności Narodowej i Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, zagarnięcia władzy i dokonania zmiany ustroju Państwa Polskiego w ten sposób, że celem ponownego nawiązania kontaktów z członkami batalionu »Kiliński«, utworzenia więzi grupowej… zorganizował… tzw. Komitet Ekshumacyjny, wydał i rozpowszechniał znaczki pamiątkowe batalionu »Kiliński«".

Jaką taktykę miał wprowadzać w życie Leliwa? Prokurator wyjaśniał: „Obóz reakcji polskiej po klęskach poniesionych od 1945–46 na polu skrytobójczej walki z władzami Polski Ludowej, postanowił zmienić swoje metody działalności. Dotychczasowe metody konspiracyjne zostały szybko odszyfrowane przez władze B.P., które aresztowały szereg wybitnych działaczy podziemia i rozbiły ogniwa organizacyjne. To też w planach dalszej działalności, podziemie nastawiło się na działalność długofalową, związaną z wywiadem państw imperialistycznych i reakcyjną częścią kleru".

25 kwietnia 1950 roku sąd wojskowy skazał Leliwę na 6 lat więzienia oraz na 4 lata pozbawienia praw publicznych i obywatelskich oraz na przepadek całego mienia. Zimą 1951 roku został skierowany do najcięższego więzienia we Wronkach. „Mieszkanie razem z konfidentami, zimowe spacery w letnich ubraniach, stójki, głodówki, zalewanie cel wodą, karcery, no i gnojenie, gnojenie, gnojenie" – wspominał.

Spacerował z laseczką na Chmielnej

Znowu przeżył. W kwietniu 1954 roku wyszedł z więzienia, a 20 lipca 1957 roku został oczyszczony z zarzutów. Pracował m.in. jako magazynier w warszawskich browarach, a potem jako trener w klubach jeździeckich.

W 1989 roku był jednym z założycieli Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej, które potem przekształciło się w Światowy Związek Żołnierzy AK. W 1990 roku został mianowany pułkownikiem Wojska Polskiego. W ostatnich latach życia mieszkał przy ul. Hibnera nr 9 (obecnie ulica Zgoda). Jak pisze Chmielewski, często można go było spotkać na Chmielnej, spacerującego z laseczką w dłoni. Pewnego razu jakaś pani, prowadząc za rękę małego chłopca, zatrzymała się i wskazując palcem, powiedziała: „To jest właśnie pan rotmistrz Leliwa z PAST-y, o którym ci tyle opowiadałam".

Zmarł w Warszawie, pochowany został w kwaterze Batalionu „Kiliński" na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe



Józef Surowiak „Bohdan” i jego dowódca Romuald Rajs „Bury” (z prawej), Turgiele, Wileńszczyzna. W tle kościół NMP, Wielkanoc, 9 kwietnia 1944 roku

Zdradzony kapitan „Bury”

Dariusz Jarosiński





Janina Kijewska „Cudzik”, łączniczka kpt.Romualda Rajsa „Burego”

W mediach, a także w publikacjach historyków wciąż podawana jest informacja, jakoby kpt. Romualda Rajsa „Burego” wydała w ręce UB jego łączniczka, Janina Kijewska „Cudzik”, co jest nieprawdą i krzywdzącym oskarżeniem dzielnej kobiety. W istocie „Burego” zdradził jego ulubiony, zaufany podkomendny, żołnierz 3. Brygady Wileńskiej AK, Józef Surowiak „Bohdan”.

FOT.ARCH

17 listopada 1948 roku funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa aresztowali na Dolnym Śląsku kpt. Romualda Rajsa „Burego”, jednego z najbardziej walecznych dowódców polskiego podziemia niepodległościowego, kawalera Srebrnego i Złotego Krzyża Virtuti Militari, odznaczonego m.in. Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Ujęcie kpt. Rajsa było dużym sukcesem funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku i Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Polowanie na kapitana przez komunistów trwało właściwie od 1945 roku. Po wielomiesięcznym śledztwie i pokazowym procesie został on zamordowany w białostockim więzieniu 30 grudnia 1949 roku. Żona kapitana, Genowefa Rajs, oficjalną wiadomość o śmierci męża otrzymała w czerwcu 1954 roku.

Kto zdradził kpt. „Burego”? Wciąż można znaleźć nieprawdziwe informacje wskazujące na jego łączniczkę, Janinę Kijewską „Cudzik”. Tymczasem zdrady dopuścił się jego zaufany podkomendny, żołnierz 3. Brygady Wileńskiej AK, Józef Surowiak „Bohdan”. W latach 1947–1948, mimo iż formalnie nie należał do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, był łącznikiem „Burego”. Surowiak, w wywiadzie udzielonym Radiu Kraków, a zamieszczonym na portalu Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie pracował jako profesor, twierdził z przekonaniem: „O tym, gdzie on jest [kpt. „Bury” – przyp. D.J.], wiedziałem ja i jedna łączniczka z Białegostoku [Janina Kijewska „Cudzik” – przyp. D.J.]. I ją aresztowali. Ona nas nie sypnęła, tylko dali jej kapusia do celi, jakąś panią adwokat, i ta ją rozrobiła. No i aresztowali mnie i »Burego«”.

Nawet chronologia zdarzeń, zestawienie dat wyraźnie pokazuje, kto mógł zdradzić. Janina Kijewska została aresztowana przez UB 13 lipca 1948 roku, Józef Surowiak 13 listopada 1948 roku; do pierwszego, nieudanego, zatrzymania Romualda Rajsa doszło 15 listopada 1948 roku, a więc w dwa dni po aresztowaniu „Bohdana”. Widać, jak ubowcy bardzo się spieszyli, żeby „Bury” nie zmienił miejsca zamieszkania. Przy pierwszej próbie zatrzymania kapitan zdołał zbiec, ujęty został po dwóch dniach ukrywania się. Zarówno przesłuchaniem „Bohdana”, jak i akcją zatrzymania „Burego” zajmował się osobiście mjr Jan Fotek, pełniący wówczas funkcję kierownika Sekcji I Wydziału III Departamentu III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego

Dwie postawy

Dokumenty MBP zachowane w Archiwum IPN, m.in. ze śledztwa Józefa Surowiaka, dowodzą, że na drugi dzień po zatrzymaniu, w czasie przesłuchania, co przy tym ważne – bez użycia fizycznej siły – zdradził on

eprasa.pl 8945cd3dbe

miejsce pobytu swego dowódcy ukrywającego się w Karpaczu, a także wyjawił wiele innych tajemnic, które znał jako łącznik i zaufana osoba kapitana. Należy przy okazji dodać, że Romuald Rajs „Bury" uratował życie „Bohdanowi" rannemu w bitwie pod Mikuliszkami na Wileńszczyźnie 8 stycznia 1944 roku. Wydawać by się mogło, że powinien mieć dług wdzięczności wobec swego zbawcy.

Józef Surowiak zeznał m.in. 14 listopada 1948 roku, że po raz ostatni widział się z kapitanem 31 października 1948 roku, iż funkcjonuje on pod nazwiskiem Eugeniusz Rajs, jest właścicielem pralni mechanicznej „Grodnianka" w Karpaczu przy ulicy Puszkina 52, mieszka zaś w Karpaczu na Osiedlu „Ścięgny", w pobliżu sanatorium CKW PPS. Po otrzymaniu tej informacji mjr Fotek podjął błyskawiczne działania w celu ujęcia Romualda Rajsa.

Chociaż „Bohdan" spełnił oczekiwania ubowców, to jednak został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku na osiem lat więzienia. Na wolność wyszedł w roku 1954.

Po wyjściu z więzienia Surowiak dokończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim; w roku 1957, po obronie pracy magisterskiej, pozostał na uczelni jako asystent, gdzie pracował później jako profesor i robił karierę naukową, wyjeżdżał na stypendia naukowe za granicę. Pełnił funkcję dziekana (1975–1981) i prodziekana (1972–1975) Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UJ. Był również dyrektorem Instytutu Zoologii (1974–1975) oraz kierownikiem Zakładu Fizjologii Zwierząt (1976–1995). Członek Komitetu Nauk Fizjologicznych Polskiej Akademii Nauk i prezes Oddziału Krakowskiego Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego.

Janina Kijewska „Cudzik", pomimo brutalnego śledztwa trwającego kilka miesięcy, wymuszania zeznań torturami, nie wydała swego dowódcy. Padła jednak ofiarą agentki celnej ps. „Igo", która grając rolę współczującej i wspierającej ją osoby, wyciągnęła od „Cudzik" wiele tajemnic. Jednak przed Bogiem była niewinna, nikogo nie zdradziła.

„Wyrokiem WSR Białystok z 26.01.1949 ww. została uznana winną tego, że od maja 1946 do 13.07.1948 na terenie powiatu Wysokie Mazowieckie była czynnym członkiem związku NZW pełniąc w nim funkcję łączniczki o ps. »Cudzik« oraz tego, że na terenie swoich zabudowań i na swoim polu we wsi Brzozowo-Solniki gm. Poświętne przechowywała bez zezwolenia władz broń palną. Za powyższe ww. została skazana na 8 lat pozbawienia wolności i 2 lata pozbawienia praw publicznych i honorowych praw obywatelskich wraz z przepadkiem całego mienia na rzecz Skarbu Państwa".

Karę więzienia odbywała w więzieniu dla kobiet skazanych w procesach politycznych w Bydgoszczy – Fordonie. Na wolność wyszła w październiku 1953 roku. Do rodzinnego domu nie mogła już wrócić, ponieważ cały rodzinny majątek został skonfiskowany przez komunistów. Janina Kijewska podzieliła los cichych bohaterek podziemia antykomunistycznego. Była osobą głęboko wierzącą, więc może łatwiej było jej znosić ciosy. Była dwukrotnie zamężna, mieszkała w Łapach.

Losy tych dwojga ludzi, „Cudzik" i „Bohdana", łączników kapitana „Burego", są przykładem różnych postaw w obliczu zderzenia z komunistycznym aparatem represji. „Bohdan" był niewątpliwie dzielnym żołnierzem na polu walki na Wileńszczyźnie, a jednak szybko został złamany w czasie śledztwa, sypał już po kilkudziesięciu godzinach. Liczył na to, że ujawnienie miejsca pobytu kapitana Rajsa oraz ujawnienie tajemnic funkcjonowania podziemia niepodległościowego pozwoli na uniknięcie bądź zmniejszenie kary. Janina Kijewska „Cudzik" była prostą wiejską dziewczyną, ukończyła przed wojną jedynie cztery klasy szkoły powszechnej, wyniosła jednak z domu odporny na pokusy zła kodeks moralny. Była gotowa oddać życie, aby chronić swego dowódcę, bliskich. Nietrudno się domyślić, co musiała Janina Kijewska przeżywać, kiedy dotarła do niej świadomość, że została cynicznie wykorzystana przez agentkę celną. To musiał być dramat dla tej prostolinijnej kobiety.

Cieszył się zaufaniem kapitana

Józef Surowiak urodził się w 1924 roku w Baranowiczach, jego ojciec był urzędnikiem na kolei, pracował jako dyżurny ruchu w Baranowiczach, później jako zawiadowca stacji w Brześciu nad Bugiem, a w 1939 roku awansował i został kierownikiem wydziału ruchu w Dyrekcji Kolejowej w Wilnie. Józef uczęszczał do wileńskiego Gimnazjum Króla Zygmunta Augusta. W październiku 1943 roku wraz z trzema kolegami, m.in. kolegą z gimnazjum, Włodkiem Jurasowem „Wiarusem", dołączył do oddziału kpt. Gracjana Fróga „Szczerbca", późniejszej 3. Brygady Wileńskiej AK. Trafił do pierwszego plutonu, tzw. szturmówki, dowodzonego przez Romualda Rajsa „Burego". „Bury" był urodzonym żołnierzem, jako 16-letni chłopak poszedł do szkoły podoficerskiej, to on z przychodzących do oddziału partyzanckiego wileńskich gimnazjalistów, studentów, cywilów w krótkim czasie zbudował jedną z najbardziej walecznych, świetnie wyszkolonych formacji wojskowych na Kresach. Postępował w myśl starego żołnierskiego powiedzenia: im więcej potu wylanego na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju.

Surowiak przyjął w oddziale pseudonim „Bohdan" na pamiątkę po zamordowanym w Ponarach koledze, Bohdanie Zaborowskim, członku wileńskiej niepodległościowej organizacji młodzieżowej Związek Wolnych Polaków. W plutonie „Burego" zaczynał od funkcji sekcyjnego, zastępcy dowódcy drużyny „Bosego", a zakończył działania bojowe na Wileńszczyźnie jako dowódca trzeciego plutonu kompanii szturmowej. „Bohdan" mu-

eprasa.pl 8145cd3dbe

siał się wyróżniać wśród swoich kolegów, bo kto nie sprawdzał się w boju, nie mógł zostać funkcyjnym w linii, nawet nie mógł być zastępcą dowódcy drużyny. Po latach wielu żołnierzy 3. Brygady wspominało, że „Bury" obdarzał „Bohdana" dużym zaufaniem.

Surowiak brał udział we wszystkich większych bitwach stoczonych przez 3. Brygadę Wileńską AK: pod Mikuliszkami, Pawłowem, Murowaną Oszmianką, Turgielami, Trokami. Bitwa pod Mikuliszkami z Litwinami, która miała miejsce 8 stycznia 1944 roku, mogła skończyć się dla „Bohdana" tragicznie; został on ciężko ranny i nie mógł się ruszyć z pola walki, na szczęście „Bury" błyskawicznie zareagował, podrywając żołnierzy do kontrataku i tym manewrem uratował życie „Bohdanowi". W bitwie zginął m.in. zastępca dowódcy 6. Brygady Wileńskiej AK, por. Piotr Motylewicz „Szczepcio", cichociemny.

Po operacji „Ostra Brama", bitwie o Wilno, w lipcu 1944 roku, „Bohdan" wraz z tysiącami żołnierzy AK został internowany przez Sowietów w Miednikach i stamtąd wywieziony do obozu w Kałudze, a następnie do wyrębu drzew w rosyjskiej tajdze na wschód od Oki. Do Polski powrócił 13 stycznia 1946 roku. Dzięki pomocy stryja, który mieszkał w Krakowie, zaczął warunkowo studia na Wydziale Leśnym Uniwersytetu Jagiellońskiego i jednocześnie uczęszczał do Liceum Sobieskiego na skrócony kurs wieczorowy, by uzyskać maturę.

Kilka dni z żoną

Janina Kijewska (rocznik 1921) pochodziła z miejscowości Brzozowo Solniki w powiecie Wysokie Mazowieckie. Jej rodzina, niezamożna, ale religijna i patriotyczna, służyła w czasie okupacji niemieckiej schronieniem i pomocą partyzantom. Po zajęciu Białostocczyzny przez Sowietów Janina wspólnie ze starszą o pięć lat siostrą Marią, po mężu Dworakowską, nawiązały kontakt z Narodowym Zjednoczeniem Wojskowym. Szczególnie bliskie relacje z rodziną Kijewskich posiadał dowódca plutonu 3. Brygady Wileńskiej NZW, por. Mikołaj Kuroczkin „Leśny". Dom Kijewskich stał się niemal jego rodzinnym domem, tutaj przechowywał swoje osobiste rzeczy, broń, ryngraf, odpoczywał też, regenerował siły do walki z bolszewią.

Kapitan „Bury" osobiście przyjął przysięgę od Janiny Kijewskiej, kobieta otrzymała pseudonim „Cudzik". Od tej pory obie z siostrą Marią ps. „Szarotka" były jego łączniczkami, głównie pośredniczyły w kontaktach Kapitana z rodziną. W maju 1946 roku żona kapitana „Burego", Genowefa Rajs, z synkiem oraz z matką i bratem zamieszkali w Elblągu przy ulicy Podgórnej 7. „Cudzik" bezbłędnie wywiązała się z pierwszego zadania, a mianowicie sprawiła, że kapitan „Bury" spędził po długiej rozłące kilka dni z żoną w domu państwa Kijewskich.

Latem 1946 roku pojawił się w Łapach „Bohdan". Tutaj, w tym mieście, gdzie miał rodzinę, poszukiwał kontaktu z kpt. „Burym". Kontakt został nawiązany dzięki Marii Kuzin, pielęgniarce ze szpitala w Łapach, która współpracowała z podziemiem niepodległościowym, leczyła rannych partyzantów. Pierwsze spotkanie odbyło się w domu Kijewskich w Brzozowie Solnikach. „Bohdan" sam zadeklarował w czasie spotkania wszelką pomoc „Buremu". Chociaż nie był formalnie zaprzysiężonym członkiem Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, to podjął się wykonywania ważnych zadań powierzonych przez „Burego". Przede wszystkim pełnił funkcję łącznika „Burego" z komendą Okręgu NZW Białystok i osobiście z komendantem, ppłk. Władysławem Żwańskim „Błękitem".

Lato 1946 roku to był już czas wprowadzania przez ppłk. „Błękita" nowej koncepcji walki z bolszewią. Zgodnie z wytycznymi Komendy Głównej NZW redukowane były duże oddziały partyzanckie do mniejszych patroli Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS), aby mogły uderzać znienacka i po przeprowadzonej akcji szybko odskakiwać. Zwieńczeniem tej operacji, realizowanej przez ppłk. „Błękita", było rozformowanie największego oddziału na Białostocczyźnie – 3. Brygady Wileńskiej NZW. 19 września 1946 roku odbyła się ostatnia koncentracja oddziału kpt. „Burego". Wyodrębnione z Brygady patrole PAS nadal były aktywne na Białostocczyźnie i zadawały ciosy bolszewii, szczególną skutecznością wykazywał się pododdział pochodzącego z Wileńszczyzny ppor. Ryszarda Sosnowskiego „Wydry".

Dopaść „Burego"

Na początku listopada 1946 roku „Bury" przekazał „Cudzik" archiwum organizacyjne, trzy pistolety oraz maszynę do pisania i wyjechał do rodziny mieszkającej w Elblągu. Chociaż przestał dowodzić oddziałem partyzanckim, to nadal utrzymywał kontakt za pośrednictwem dwojga łączników z Komendą Okręgu NZW w Białymstoku oraz niektórymi oficerami, dowódcami podziemia niepodległościowego. Na polecenie „Burego" „Bohdan" kontaktował się też z mieszkającym w Łodzi kapitanem Gracjanem Frógiem „Szczerbcem", byłym dowódcą 3. Brygady Wileńskiej AK na Wileńszczyźnie. „Bury" m.in. tłumaczył „Szczerbcowi" swoją decyzję o przejściu z Armii Krajowej do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, zapewniał, że jest gotów w każdej chwili podporządkować się swemu byłemu dowódcy z Wileńszczyzny, o ile tylko ten tego zażąda. Gwoli uzupełnienia, kpt. „Szczerbiec" w marcu 1946 roku w towarzystwie dwóch oficerów AK – „Sterlinga" i „Sęka" – uciekł z obozu NKWD w Diagilewie, dotarł do Łodzi, gdzie zamieszkał z żoną i synem. Nie brał udziału w pracach drugiej konspiracji, a mimo to został w lipcu 1948 roku aresztowany i po brutalnym śledztwie 11 maja

eprasa.pl 8145cd3dbe

1951 roku zamordowany w warszawskim więzieniu na Mokotowie.

Z inicjatywy „Bohdana" „Bury" wyjechał w marcu 1947 roku na Dolny Śląsk do mieszkającego w Jeleniej Górze Jerzego Jurasowa, ojca por. Włodzimierza Jurasowa „Wiarusa", który poległ w lutym 1946 roku w bitwie w Gajrowskich na Mazurach. Jerzy Jurasow pomógł „Buremu" w znalezieniu mieszkania i pracy. Kapitan zamieszkał z żoną i synem w Karpaczu, posługiwał się dokumentami brata Eugeniusza Rajsa. Początkowo pracował jako referent podatkowy, a później nabył pralnię, którą prowadził wraz z żoną.

Janina Kijewska mogła utrzymywać kontakt z kapitanem jedynie za pośrednictwem „Bohdana". Jej rola jako łączniczki w organizacji powoli wyczerpywała się, a po śmierci ppor. Sosnowskiego „Wydry" całkowicie ustała. W związku z coraz liczniejszymi wsypami, aresztowaniami, „Cudzik" ukryła pistolety i archiwum organizacyjne w dobrze zabezpieczonym miejscu na polu. Nie miała jednak szczęścia, aresztowany Wyszyński „Babicz" ujawnił UB rolę „Cudzik" w organizacji. 13 lipca 1948 roku łączniczka została aresztowana, jako powód aresztowania podano, iż najprawdopodobniej maszyna do pisania, którą znaleziono podczas wcześniejszej przypadkowej rewizji, jest kradziona.

Najpierw wzięli ją w obroty, jak to się mówiło, ubowcy WUBP w Białymstoku, a następnie specjaliści z MBP w Warszawie. Kobieta dzielnie się trzymała, mimo bicia i wyzwisk. W grypsie do rodziny, przejętym przez ubowców, pisała: „Wyszyński pierwszy wpadł […] ja się trzymam dzielnie pomimo bicia i obelg nic nie wydam, żebym nawet miała być skazana na karę śmierci […] co do organizacji to nie mogłabym nikomu spojrzeć w oczy […] Mnie po aresztowaniu wywieźli do Warszawy i katowali o nazwisko »Burego«, a ja absolutnie nic nie powiedziałam".

Ubowcy zorientowali się, że samym biciem niczego nie osiągną z łączniczką, zmienili więc taktykę. Przewieźli „Cudzik" z powrotem do więzienia w Białymstoku i do celi wsadzili jej agentkę celną o pseudonimie „Igo", osobę wyjątkowo cyniczną, bezwzględną. „Igo" użalała się nad bitą łączniczką, pocieszała ją, wspierała dobrym słowem i zdobyła w ten sposób jej serce i zaufanie. Agentka celna twierdziła, że może pomóc „Cudzik" w nawiązaniu kontaktów z osobami z wolności, łączniczka pisała więc grypsy, które trafiały w ręce ubowców. Wspólne siedzenie pod celą przez wiele tygodni na pewno sprzyjało nawiązaniu „przyjacielskich" relacji. Niestety, „Cudzik" dawała się podejść agentce celnej. Śledczy, ppor. Jerzy Kroszel, umiejętnie wykorzystywał informacje powzięte od agentki celnej. Tak naprawdę łączniczka cały czas bardziej martwiła się o swoich bliskich, o „Szarotkę", „Bohdana", pielęgniarkę Marię Kuzin, a przede wszystkim o kapitana i jego rodzinę, aniżeli o siebie. Gotowa była oddać za nich życie.

Wiadomą sprawą było, że ubowcy mieli jeden podstawowy cel: dopaść kapitana Rajsa „Burego".

W potrzasku

„Cudzik" wierzyła, że siedząca z nią w celi kobieta jest w stanie pomóc kapitanowi „Buremu", „Bohdanowi", siostrze. Jej grypsy świadczą o tym, jak bardzo chciała wszystkich bliskich chronić, ostrzec przed grożącym aresztowaniem. Któregoś dnia agentka celna przekazała łączniczce informację, że Józef Surowiak „Bohdan" został aresztowany i poddany jest brutalnemu śledztwu, ale można go wykupić z aresztu. „Cudzik" napisała gryps, który miał trafić do Marii Kuzin: „[…] uprzejmie proszę panią o skontaktowanie tej osoby, którą wysyłam w sprawie pana Bohdana to jest swój człowiek co może ułatwić wolność p. »Bohdanowi« […] moim zdaniem […] pani będzie na tym zależeć, dlatego że Bohdan przechodzi straszne męczarnie i może wysypać »Burego« i innych członków, jak i Pani też może zaszkodzić, bo on zna i Panią i proszę być ostrożną, gdyż i Pani może być wydana. Pani Mario. Proszę bardzo, bo jest mi tak szkoda Pana Bohdana, dać znać jego cioci w Łapach, może oni zgodzą się przyczynić, co do pieniędzy to potem »Bury« zwróci rodzinie".

Akta ze śledztwa WUBP w Białymstoku zostały przesłane 5 listopada 1948 roku do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Tutaj sprawę wziął w swoje ręce mjr Jan Fotek, „zdolny" czekista. Po przeanalizowaniu akt zrozumiał, że aby dotrzeć do kapitana „Burego", należy aresztować „Bohdana". I tak się stało. 13 listopada „Bohdan" został „zdjęty", jak to się mówiło w ubeckim slangu, a już na drugi dzień sypał ze szczegółami.

Po uzyskaniu od „Bohdana" adresu zamieszkania „Burego", Fotek zadziałał błyskawicznie. Już o szóstej rano 15 listopada był na dworcu we Wrocławiu, a o drugiej po południu w Jeleniej Górze. Do pomocy otrzymał trzech funkcjonariuszy z WUBP we Wrocławiu i trzech z PUBP w Jeleniej Górze. Postanowili zatrzymać kapitana w pralni w Karpaczu. „Bury" szybko rozszyfrował zamiary podejrzanych „klientów" pralni i uciekł ubowcom. W nocy dotarł pieszo do Jeleniej Góry do domu Jerzego Jurasowa. Stamtąd rano następnego dnia wysłał telegram do żony mieszkającej w Elblągu, niestety ten telegram zdradził miejsce jego pobytu, bo został przejęty przez ubowców, którzy założyli kocioł w Elblągu przy Podgórnej 7, gdzie mieszkała żona kapitana. 17 listopada 1948 roku „Bury" został aresztowany.

„Łapał powietrze i coś bąkał"

Fotek miał dużą satysfakcję z tego, że aresztował jednego z największych wrogów bolszewii w Polsce, kpt. Romualda Rajsa; nie mniejszą jednak satysfakcję posia-

eprasa.pl 8145cd3dbe

dał również z faktu, że szybko złamał Józefa Surowiaka. Tak o tym pisał w latach 80.: „Aby go [Surowiaka – przyp. D.J.] zmiękczyć, zapytałem o powód zatajenia w swym życiorysie współpracy z bandą na terenie Białostocczyzny. Był tym pytaniem bardzo zaskoczony i usiłował kłamać […]. Gdy mu to przypomniałem, nie mógł z siebie wydobyć głosu, łapał powietrze i coś bąkał. Uświadomiłem mu jego położenie wynikające z faktu nieskorzystania z akcji ujawnienia i dalszej współpracy z »Burym«, co mu grozi więzieniem i przerwaniem studiów. Dałem mu wolny wybór – szczere przyznanie się do wrogiej działalności i ratowanie dalszego życia lub więzienie i całkowita życiowa katastrofa. Dałem mu na przemyślenie kilka godzin i poleciłem osadzić w celi. […] Po upływie postawionego terminu wznowiłem przesłuchanie studenta, dążąc do uzyskania adresu i personaliów »Burego«, pod którymi aktualnie występował. Po blisko dwóch dobach przesłuchania, gdy już opuszczały mnie siły, student załamał się i złożył wyczerpujące zeznanie o swojej działalności, o towarzyszeniu »Buremu« w jego przeprowadzce z Białostocczyzny do Karpacza i późniejszych do Karpacza wyjazdach na wezwanie i wiele istotnych szczegółów […]. Podał też aktualne dane personalne »Burego«, adres pralni, którą prowadzi, i adres zamieszkania w małym gospodarstwie na peryferiach […] Udało mi się przekonać go, że »Bury« nie dowie się nigdy o jego zeznaniach, gdy zostanie aresztowany, osadzony i stracony […] Oświadczył, że przemyślał szansę, jaką mu dałem i zeznał wszystko jak na spowiedzi. Poleciłem nakarmić go i trzymać w ścisłej izolacji w możliwie dobrych warunkach" (wspomnienia Jana Fotka, „Mój udział w utrwalaniu władzy ludowej", 16 sierpnia 1988 roku).

Fotek przekazał później „Bohdana" w ręce funkcjonariuszy WUBP w Krakowie. Jak pisze Michał Ostapiuk, historyk IPN, „Fotek nakazał wojewódzkim funkcjonariuszom, aby w wytworzonej dokumentacji pominęli udział »Bohdana« w operacyjnym rozpracowaniu kpt. Rajsa i zadbali, aby otrzymał niski wyrok. W ten sposób realizował obietnicę złożoną złamanemu łącznikowi".

Surowiak wyszedł z więzienia w 1954 roku i bez kłopotów wznowił przerwane studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie zrobił karierę naukową. Zajmował się biologią, a konkretniej fizjologią zwierząt. Inni mogli pomarzyć o wyjazdach za granicę, a on wyjeżdżał tam na stypendia naukowe. Pełnił też ważne funkcje administracyjne na uczelni, na przykład dziekana, prodziekana, był prezesem towarzystw naukowych.

Surowiak był jednym z głównych narratorów filmu dokumentalnego Agnieszki Arnold pt. „Bohater" (2002). Arnold jest specjalistką od zohydzania polskich patriotów i historii Polski, „zasłynęła" m.in. z takich filmów jak „…Gdzie mój starszy syn Kain?" (1999) czy „Sąsiedzi" (2001), traktujących o stosunkach polsko-żydowskich i zbrodni dokonanej na Żydach w Jedwabnem. Film Arnold były inspiracją dla Jana Tomasza Grossa do napisania paszkwilu pt. „Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka".

Film „Bohater", przedstawiający w krzywym zwierciadle postać kpt. Romualda Rajsa, jest prymitywną manipulacją, kalką peerelowskiej propagandy, mającym dowieść, że o ile partyzanci walczący z Niemcami zachowywali się w sposób w miarę przyzwoity, to żołnierze podziemia antykomunistycznego, zwalczający bolszewię, byli bandytami, zbrodniarzami. Tytuł filmu „Bohater" był szydzeniem z postawy kapitana.

Film został skrytykowany przez historyków podziemia antykomunistycznego, m.in. za tendencyjność, nieścisłości. Doktor Kazimierz Krajewski napisał w recenzji filmu „Bohater": „Charakterystycznym znamieniem filmu pani Arnold, obok tendencyjnego zestawienia wypowiedzi na temat działalności »Burego«, jest brak komentarza ze strony historyków, jak również brak odniesienia się do dokumentów z epoki. Podstawą filmu stały się bardzo subiektywne i emocjonalne wypowiedzi, pozostawione zupełnie bez komentarza".

Przeciwko zmanipulowanemu przedstawieniu kapitana Rajsa w filmie protestowali m.in. kombatanci ze Światowego Związku Żołnierzy AK w Gdańsku.

Warto odnotować wypowiedź z filmu „Bohater" Olgierda Christy „Leszka", żołnierza 3. Brygady Wileńskiej AK: „Surowiak był takim pupilkiem »Burego« u »Szczerbca«, zastępcą dowódcy pierwszego plutonu. Inteligentny chłopak. W każdym bądź razie był zaufanym »Burego«. Ale z tym zaufaniem to różnie bywa". To ostatnie zdanie Olgierda Christy jest wielce zastanawiające. Czyżby dawni podkomendni kpt. „Burego" wiedzieli coś więcej?

Nieprzychylne, najdelikatniej mówiąc, wypowiedzi w filmie „Bohater" Józefa Surowiaka na temat kapitana Rajsa świadczą o tym, że nie zdobył się on na żadną refleksję, nie pokajał się. Sprawiał wrażenie osoby, która nie żałowała swego czynu, czyli zdrady, której mówienie z lekceważeniem, pogardą, o zdradzonym dowódcy przynosiło satysfakcję. Nasunęła mi się pewna myśl zawarta w książce Jarosława Marka Rymkiewicza „Reytan. Upadek Polski": „[…] zdrada jest chytra, przebiegła, a więc mądrzejsza, a więc lepsza od zdradzonych – głupi dali się zdradzić, bo są gorsi i dlatego zostali zdradzeni. To jest źródłem poczucia wyższości, jakie zdrada ma wobec zdradzonych".

PS Syn kapitana „Burego", Romuald Rajs, powiedział, że Janina Kijewska ma w jego sercu miejsce szczególne; jest pełen uznania dla jej szlachetności i heroizmu. ■

Bibliografia: Michał Ostapiuk, „Komendant »Bury«. Biografia kpt. Romualda Adama Rajsa »Burego« 1913–1949", Instytut Pamięci Narodowej, Białystok–Olsztyn–Warszawa 2019.

eprasa.pl 8145cd3dbe



Agnieszka Kowalczyk

Święta Rita. Patronka spraw beznadziejnych i po ludzku niemożliwych

Niezależnie od pory roku, 22. dnia każdego miesiąca kościół św. Katarzyny Aleksandryjskiej na krakowskim Kazimierzu zamienia się w kwitnący różany ogród. Wnętrze świątyni wypełnia upajająca woń kwiatów, które przynoszą ze sobą wierni pragnący uczcić swą orędowniczkę. Jest nią św. Rita z Cascii – średniowieczna augustianka rodem z włoskiej Umbrii, patronka spraw beznadziejnych i po ludzku niemożliwych.

Doświadczyła pełni ludzkiej egzystencji – radości i smutków miłości małżeńskiej, szczęścia macierzyństwa i cierpienia po śmierci najbliższych, samotności wdowieństwa i spełnienia w życiu zakonnym. Zawsze odznaczała się głęboką wiarą i nosiła w sobie niczym niezmąconą miłość do Boga i ludzi, której nie były w stanie stłumić żadne udręki ciała i ducha. W ostatnim roku swego życia, zimą, na kilka miesięcy przed śmiercią, poprosiła o kwiat róży z ogrodu swego dzieciństwa w Roccaporena, oddalonego dwa kilometry od klasztoru. I choć wydawało się, że życzenie to jest niemożliwe do spełnienia o tej porze roku, okazało się, że pod śnieżnym puchem rozkwitła piękna róża, obok której leżały dwa dojrzałe owoce figowe. Te cudownie odnalezione dary natury uradowały umierającą Ritę – były czymś dobrym i pięknym, kojarzącym się z krainą dzieciństwa, rodzinnym domem, z tym, co drogie i bliskie. Róża to kwiat, który wydobywa podwójny wymiar świętości Rity – kolec przywołuje jej udział w męce Chrystusa jako stygmatyczki, a kwiat – tryumf nad śmiercią i odrodzenie w Bogu.

Chociaż żyła sześć wieków temu, jej kult ciągle się rozwija – i to nie tylko we włoskiej Cascii, gdzie w szklanej trumnie spoczęło ciało mniszki, które dotąd nie uległo rozkładowi, lecz także w setkach świątyń na całym świecie – we Włoszech, w Hiszpanii, we Francji, w Portugalii, Belgii, Stanach Zjednoczonych czy na Filipinach. Wielką czcią darzona jest też przez Polaków. Szczególne miejsce jej kultu od XVII wieku stanowi kościół św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Krakowie, dokąd w czasie II wojny światowej, w 1944 roku, sprowadzono rzeźbę św. Rity stworzoną przez Wojciecha Maciejowskiego według projektu Adolfa Szyszko-Bohusza. W okupowanym Krakowie Niemcy zabraniali Polakom modlić się do polskich świętych, więc gospodarz tego miejsca, sprowadzony z Prokocimia o. Alfons Hilary Kurowski, pomyślał, że ta włoska święta będzie mogła nieść nadzieję w trudnych czasach okupacji, w stolicy Generalnego Gubernatorstwa. I tak też się stało. Dziś odbiera cześć w wielu innych jeszcze miejscach Polski – w poświęconych jej sanktuariach w Nowym Sączu i Głębinowie, w kościele pw. Michała Archanioła w Błociszewie, w parafii Dzieciątka Jezus na warszawskim Żoliborzu czy w kościele św. Józefa Pelczara w Rzeszowie. Zwykle czciciele św. Rity przynoszą ze sobą dwie róże – jedną zostawiają swej patronce, a drugą zasuszają, by przypominała o tym, że święta jest blisko i czuwa nad nimi. Kwiat można też podarować komuś, kto jest w wielkiej potrzebie, odkrywając przed nim moc Świętej od Róż.

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 8945cd3dbe

Rita znaczy „perła”

Przyszła na świat w małej włoskiej wiosce Roccaporena leżącej niedaleko Cascii, u stóp góry Scoglio. Była długo wyczekiwanym dzieckiem Amaty i Antoniego Lottich, którzy przez 12 lat modlili się o potomstwo. Urodziła się w 1381 roku, otrzymując na chrzcie imię Margherita (co znaczy perła), którego zdrobnienie w języku włoskim brzmi – Rita. Ta drobna i delikatna dziewczynka wzrastała w kamiennym, białym domku wśród wąskich zaułków i krętych uliczek Roccaporeny. Otoczona była miłością rodziców, zamożnych rolników, którzy posiadali jedno z największych gospodarstw w okolicy i pełnili funkcję rozjemców, podejmując się rozwiązywania problemów i konfliktów lokalnej społeczności. Małą Ritę wychowywali w duchu cnót chrześcijańskich, dbając nawet o jej edukację, tak iż pod okiem prywatnego nauczyciela posiadła rzadką w średniowieczu umiejętność czytania i pisania. Od dziecięcych lat lubiła przebywać w pobliskim klasztorze sióstr augustianek z Cascii. Chętnie pomagała im w pracy na roli i w pielęgnowaniu chorych w szpitalu, ucząc się przy tym sztuki ziołolecznictwa. Zaglądała też często do klasztornej kaplicy i modliła się przed obrazem Jezusa w cierniowej koronie. Nieraz zapuszczała się na górę Scoglio, gdzie swą pustelnię miał ojciec Hugolin. Na tej wyniosłości kontemplowała w ciszy piękno stworzenia, czując blisko siebie Boga. Zachowała się nawet legenda mówiąca o tym, że „anioł zstępował z nieba, by odwiedzić Ritę, kiedy ona udawała się na modlitwę na niewielkim poddaszu. Znajdowało się tam okienko, z którego widać było tylko niebo”.

Owieczka i wilk z mieczem

Głębokie pragnienie wstąpienia do klasztoru augustianek zrodziło się w Ricie w latach młodzieńczych, choć rodzice byli temu przeciwni, myśląc o innej przyszłości dla swej jedynaczki. Toteż udała się w góry do pustelni św. Krzyża, by poradzić się starego mnicha, co ma czynić. On zaś zwrócił się do niej ze słowami, „by uznała wolę rodziców za swoją i pamiętała, że Bóg może wszystko”. Tak też uczyniła, zostając w 1397 roku żoną Paolo Manciniego, człowieka od niej starszego, wywodzącego się z rodziny mieszczańskiej. Liczyło się dla niego przede wszystkim prawo miecza i honor wojownika, żywiołem były walka i wojna, a świętością – włoska tradycja vendetty, czyli krwawej zemsty rodowej, według której za śmierć należy odpłacić śmiercią. Paolo brał też udział w rozdzierającym Włochy konflikcie między dwoma stronnictwami politycznymi – gwelfami (zwolennikami papieża) i gibelinami (popleczni-kami cesarza), po których stronie stanął. Gwałtowny i porywczy Mancini, który wojował mieczem i bez mrugnięcia okiem gotów był uśmiercić każdego swego wroga, w późnoromańskim kościele św. Montana w Roccaporenie poślubił Ritę, która była jego żywym przeciwieństwem – kochała Boga, służyła ludziom, nienawidziła przemocy. Nie mogła więc znieść, gdy mąż wracał do domu zakrwawiony, pałający gniewem, żądny zemsty, mający ludzką krew na rękach. Ciemną stronę jego natury starała się poskromić miłością, cierpliwością i wyrozumiałością.

Małżeństwo Rity – jak pisze jej biograf Marcin Więckowski – „należy postrzegać jako niezbędny etap przygotowań, przedsionek jej świętości, swoisty poligon życia, w którym młoda kobieta kształtowała swój charakter, uczyła się rezygnować z miłości własnej dla dobra drugiego człowieka i gdzie tak naprawdę zrozumiała, co jest dla niej najważniejsze”. Swoją postawą przyczyniła się do wewnętrznej przemiany męża. Przy Ricie uczył się on hamować swój gniew, powściągać namiętności i dzięki niej wreszcie poznał, czym jest dar ojcostwa. Małżonkowie doczekali się bowiem dwójki synów – bliźniaków o imionach Giangiacomo Antonio i Paolo Maria. Ich matka nie chciała, by chłopcy uczyli się sztuki walki i by wkroczyli na drogę vendetty, bo wiedziała dobrze, że „nie mieczem, lecz krzyżem uczynił Chrystus ziemię sobie poddaną”. Pokazywała więc swym dzieciom inny wzór życia – znaczony miłością Boga, wpajając im zasady chrześcijańskie zgodne z prawdą: „Gdzie Bóg jest na pierwszym miejscu, tam wszystko jest na swoim miejscu”.

Przebaczyć mordercy

Mijały kolejne lata wypełnione ciężką pracą na roli i we młynie należącym do Mancinich. Paolo złagodniał, porzucił vendettę i został strażnikiem miejskim na wieży Collegiacone, pełniąc jednocześnie służbę wojskową. I wtedy też pewnej deszczowej nocy 1413 roku rozegrał się wielki dramat. Oto mąż Rity został zamordowany, otrzymawszy wiele ciosów nożem! Być może zginął z ręki jednego z gwelfów, zażartych przeciwników politycznych gibelinów, do których przecież należał, choć inne źródła mówią o zemście rodowej, która dosięgła go za dawne grzechy z czasów, gdy sam był mścicielem i przelewał ludzką krew. Niezależnie od tego, jaka była prawdziwa przyczyna zbrodni, Paolo Mancini w chwili śmierci przebaczył swemu zabójcy i umierał pogodzony z Bogiem. Zawdzięczał to w dużej mierze Ricie, która kochała go i przez całe życie zabiegała o jego duchową przemianę. Odtąd największym jej pragnieniem stało się uchronienie synów przed dokonaniem zemsty, czego żądała od nich cała rodzina Mancinich. Ona sama przebaczyła mordercy swego męża i błagała Boga, by nie dopuścił do tego, aby jej synowie skalali się grzechem zabójstwa. „Jeśli mają stać się morderca-

eprasa.pl 8145cd3dbe

mi, iść drogą nienawiści, to lepiej zabierz ich z tego świata" – wołała do Boga, wstępując na górę Scoglio. I Bóg ją wysłuchał… Jej nastoletni synowie zmarli w 1414 roku w wyniku szalejącej we Włoszech dżumy.

Teleportacja do klasztoru w Cascii

Jako wdowa mogła teraz całkowicie poświęcić się Bogu, przywdziewając habit augustianki w klasztorze św. Marii Magdaleny w Cascii. Na początku spotkała się z odmową przyjęcia do wspólnoty, gdyż ciążyło na jej rodzinie piętno krwawej zemsty rodowej, a wśród sióstr znajdowała się kobieta spokrewniona z mordercą jej męża. W końcu jednak dano jej taką możliwość pod warunkiem, że pogodzi zwaśnione i żądne zemsty rodziny – swojego Paola i jego zabójcy. I tak po kilku latach intensywnych starań udało się Ricie doprowadzić do pojednania wrogów, podania sobie rąk i złożenia pocałunku pokoju.

Sam Bóg, jak przekazuje tradycja kościelna, wpłynął na to, by Rita odnalazła swoje miejsce wśród augustianek: „Kiedy po trzeciej odmowie zbolała wdowa modliła się w swoim ulubionym miejscu na skale, miało miejsce zjawisko nadprzyrodzone. Następnego dnia rano jedna z sióstr w Cascii zastała kobietę w stroju świeckim na modlitwie w kaplicy klasztornej. Furtianka nikogo z postronnych nie wpuszczała na noc, a teren klasztoru otoczony był wysokim murem i zamykaną na trzy spusty żelazną bramą. Nie było innego sposobu, aby tam wejść. Okazało się, że nieoczekiwanym gościem jest znana im już dobrze Rita". Za sprawą trzech swoich patronów – Jana Chrzciciela, Augustyna z Hippony oraz Mikołaja z Tolentino – w cudowny sposób przeniesiona została do klasztoru. To niepojęte zdarzenie siostry odczytały jako znak woli Bożej.

Przyjęta w poczet sióstr augustianek w 1417 roku Rita miała 36 lat. Rok po odbyciu nowicjatu otrzymała brązowy habit z białym welonem (znamionujący wdowę w odróżnieniu od panien noszących czarne okrycie) i złożyła śluby wieczyste: posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. Odtąd przez następne cztery dekady kroczyła drogą augustiańskiej duchowości, której fundamentami są: uznanie prymatu Bożej łaski, oddanie się modlitwie i ascezie oraz umiłowanie prawdy. W klasztorze hartowała ducha i umartwiała ciało, podejmując praktyki pokutne. Pościła przynajmniej 120 dni w roku, żyjąc tylko o chlebie i wodzie. Pod habitem nosiła pas z kolcami raniący boleśnie jej ciało przy każdym ruchu. Biczowała się trzy razy dziennie za dusze w czyśćcu cierpiące, swoich bliskich zmarłych i za nawrócenie grzeszników. Swój rodzinny majątek oddała ubogim. Całkowicie poświęciła się modlitwie i niesieniu pomocy bliźnim – nędzarzom, niepełnosprawnym, chorym, sierotom, wdowom, którym z oddaniem służyła także poza murami klasztoru. Odznaczała się wielką pokorą i cnotą posłuszeństwa, o czym mogła się przekonać siostra przełożona, która zleciła jej zadanie podlewania całkowicie uschłej rośliny. Choć wydawało się to bezsensowne, Rita każdego dnia zraszała obumarły pęd, który po kilku latach zabiegów, ku ogromnemu zdziwieniu sióstr, nagle zakwitł, zmieniając się w piękny krzew winny, który rodził owoce przez stulecia. Usechł około 200 lat temu, lecz na jego miejscu zasadzono nowy, do dziś słynący z wybornych winogron.

Stygmat, czyli radosne cierpienie z Ukrzyżowanym

Szczególne miejsce w jej sercu zajmował Chrystus Ukrzyżowany. Przez godziny potrafiła adorować i kontemplować krzyż, który znalazł się w centrum jej duchowości. Po 25 latach życia wśród augustianek przyszło jej dostąpić wielkiej łaski. Mianowicie w Wielki Piątek 1442 roku do Cascii przybył słynny kaznodzieja z zakonu braci mniejszych – św. Jakub z Marchii, reformator religijny, misjonarz, który godził zwaśnione miasta włoskie. Tego dnia w kościele św. Augustyna jego płomiennego kazania o Chrystusie, który oddał swe życie z miłości do ludzi, słuchała razem z innymi siostrami właśnie Rita. Słowa kapłana wywarły na niej ogromne wrażenie, tak że po powrocie do klasztoru rzuciła się na kolana u stóp krzyża, prosząc Jezusa, by mogła dzielić choć część Jego cierpienia. Podczas modlitwy przed krucyfiksem jeden z gipsowych kolców korony cierniowej oplatającej głowę Chrystusa oderwał się nagle od rzeźby i wbił głęboko w jej czoło. Był to otrzymany od Boga dar stygmatu. Miał postać niegojącej się rany, która potwornie cuchnęła i sprawiała zakonnicy ogromny ból przez kolejne 15 lat życia w klasztorze. Z tego powodu Rita została odseparowana od reszty sióstr. Zamieszkała w osobnej celi i nie wolno jej już było służyć chorym i ubogim poza klasztorem. Odtąd całym jej życiem stała się modlitwa do Ukrzyżowanego. W samotności doczekała Roku Jubileuszowego 1450, w którym pielgrzymi z całego świata na głos papieża Mikołaja V zdążali do Wiecznego Miasta, by tam otrzymać odpust zupełny. Na myśl o peregrynacji do Rzymu augustianki z Cascii ogarnęła wielka euforia. Pragnęła tego z całego serca także Rita, ale wiedziała, że z powodu rany siostry nie będą mogły jej ze sobą zabrać. Bóg jednak sprawił, że w tym właśnie czasie zagoiła się ona samoistnie i niespodziewanie. Rita wyruszyła więc wraz z siostrami do oddalonego o 200 kilometrów Rzymu, czerpiąc z Bożych łask Roku Jubileuszowego w bazylice św. Piotra. Po powrocie do Cascii rana znów się otworzyła. Wkrótce potem Rita zaniemogła. Zostały jej jeszcze cztery lata życia,

eprasa.pl 8145cd3dbe

które spędziła przykuta do łóżka w swej klasztornej celi. W tym czasie żywiła się tylko Eucharystią, nie przyjmując żadnych innych pokarmów.

Świętość o woni róż

Do Królestwa Bożego Rita odeszła w nocy z 21 na 22 maja 1457 roku, trzymając w dłoni różaniec, z którym nie rozstawała się od dzieciństwa. Miała wówczas 76 lat, bardzo dużo jak na epokę średniowiecza. Z chwilą śmierci stygmat na jej czole zabliźnił się, ale nie zniknął. Fetor rany zastąpiła przyjemna woń róż, jaką zaczęło wydzielać ciało zmarłej. Według przekazów z chwilą jej odejścia wszystkie dzwony w Cascii zaczęły same bić, a tłumy ludzi zbierały się wokół jej trumny wystawionej w kaplicy klasztornej u augustianek, gdzie najczęściej się modliła. Trumna, wykonana przez stolarza Cicco Barbaro, którego Rita już po swojej śmierci uzdrowiła z paraliżu ręki, miała 158 cm długości. Zmarła była więc niewielkiego wzrostu i drobnej postury. Liczyło się jednak to, że okazała się wielka duchem.

Po śmierci jej kult w okolicach Cascii szerzył się coraz bardziej, a po latach przy jej trumnie wisiało już ponad 200 wotywnych tabliczek – świadectw doznanych łask. Najstarsza z nich pochodziła z 18 czerwca 1457 roku. Dopiero jednak w 1626 roku, a więc po 180 latach od jej odejścia, papież Urban VIII rozpoczął proces beatyfikacyjny włoskiej augustianki. W dniu jego inauguracji otwarto trumnę mniszki i odkryto, że jej ciało nie uległo rozkładowi, co było niewątpliwym znakiem łaski Bożej, której dostąpiło zaledwie 80 świętych w dziejach Kościoła. Swojej beatyfikacji Rita doczekała się 16 lipca 1628 roku w kościele św. Augustyna w Rzymie, kiedy to nagle podczas ceremonii otworzyła na chwilę oczy. Jej kanonizacji dokonał natomiast papież Leon XIII w bazylice św. Piotra w Rzymie 24 maja 1900 roku. Podczas procesu kanonizacyjnego grupa profesorów potwierdziła trzy cuda, które dokonały się za wstawiennictwem św. Rity – uleczenie w 1775 roku siostry Klary Izabeli Garofalo z klasztoru w Cascii, która przykuta przez wiele lat do łóżka nagle odzyskała siły i wstała; wyleczenie ciężkiej choroby oczu siedmioletniej dziewczynki Elżbiety Bergamini z Terni w 1850 roku oraz uzdrowienie w 1877 roku śmiertelnie chorego 70-letniego Kosmy Pellegriniego z Conversano, który we śnie ujrzał mniszkę z Cascii.

Za wstawiennictwem św. Rity przez sześć wieków dokonywały się i wciąż dokonują cuda. Średniowieczna augustianka o wielkim sercu, umiłowana uczennica Chrystusa, jest obecna również wśród ludzi XXI wieku, w epoce komputerów i drapaczy chmur, a także pandemii, okrutnych wojen i wzmagającego się kryzysu Kościoła w Europie. Ta, która z miłością do Chrystusa potrafiła dźwigać swój krzyż, stała się szczególnie bliska również Polakom, o czym mówią liczne świadectwa nadzwyczajnych łask doznanych za jej wstawiennictwem.

Mała Rita cudem uzdrowiona

Gdy 29 czerwca 2020 roku przyszła na świat mała Rita, która otrzymała imię na cześć świętej z Cascii, jej rodzicie dwie godziny po narodzinach usłyszeli przerażającą diagnozę: „Córka ma wszystkie cechy Trisomii, czyli zespołu Downa. […] ma zmarszczki nakrętne, szeroki nos, spłaszczoną głowę, krótkie ręce i nogi, bruzdy na dłoniach i stopach, ponadto ma hipotonię, czyli nieodwracalną wiotkość mięśni, nie będzie jeść ani się wypróżniać. Dziecko cierpi na waskulopatię prążkowiowo-wzgórzową mózgu oraz wadę serca adekwatną dla zespołu Downa oraz niedomykalność zastawki trójdzielnej i pnia płucnego". Mama Rity przeżyła szok. Bała się, jak poradzi sobie z tak chorym niemowlęciem i do tego jeszcze z trójką małych dzieci, które czekały na nią w domu. Mąż dodawał jej sił. Oboje zawierzyli córkę św. Ricie i św. Charbelowi, modląc się do nich o zdrowie dla dziecka. Święta z Cascii była im zawsze bliska. Pani Kinga przez cały czas trwania ciąży odmawiała Nowennę Pompejańską do Maryi za wstawiennictwem i rozważaniami św. Rity. Po opuszczeniu szpitala dziewczynka została namaszczona olejami św. Charbela, otrzymując zarazem błogosławieństwo jego relikwiami. Rodzice nie ustawali w modlitwach do owego pustelnika z Libanu i do św. Rity, której sanktuarium w Nowym Sączu nawiedzał codziennie ojciec chorej. Tymczasem wizyta u kardiologa wykluczyła niedomykalność zastawek, a badania zlecone przez neurochirurga – waskulopatię i hipotonię mięśni. Mała Rita nie potrzebowała wcale rehabilitacji. Pozostawały jeszcze konsultacje medyczne u genetyka związane z pobraniem keriotypu, który miał określić, z jakim dokładnie zespołem Downa mamy do czynienia. Rodzice dziewczynki czekali na wyniki, błagając świętą Ritę o pomoc. I oto 10 września 2020 roku usłyszeli w słuchawce telefonu głos pani profesor: „Rita jest zdrowa, nie ma zespołu Downa. Bardzo się cieszę, ale muszę też pani powiedzieć, że przykład Rity nauczył mnie w moim 35-letnim doświadczeniu lekarskim pokory". Rodzice uznali, że w tym najtrudniejszym momencie życia czuwała nad nimi św. Rita i że była to wielka próba, której zostali poddani – „Bóg posłużył się osobą maleńkiego dziecka – mówili – aby umocnić w nas wiarę, nadzieję i przede wszystkim miłość do Niego i nas wzajemnie".

Wybaczyć jak św. Rita

W Cascii co roku obraduje kapituła medalu św. Rity, przyznawanego kobietom, które wcielają w życie cnoty

eprasa.pl 8145cd3dbe

kultywowane przez włoską świętą. Jedną z nich jest słynna piosenkarka Eleni Tzoka, która za swą chrześcijańską postawę została uhonorowana tą zaszczytną nagrodą 22 maja 1999 roku. Dokonała bowiem rzeczy z ludzkiego punktu widzenia niewyobrażalnie trudnej – przebaczyła mordercy swej jedynej córki – 17-letniej Afrodyty, uczennicy trzeciej klasy liceum plastycznego. Jej ciało zostało odnalezione 20 stycznia 1994 roku w lesie niedaleko Gniezna. Mordercą okazał się jej były chłopak Piotr, z którym spotykała się przez dwa lata. Zerwała z nim jednak, po tym jak stał się chorobliwie zazdrosny i zaborczy. Odrzucony Piotr nie mógł się z tym pogodzić, porwał Afrodytę, wywiózł ją do lasu i tam zastrzelił.

Dla Eleni śmierć jedynej córki była największym życiowym dramatem. Nie zaślepiła jej jednak nienawiść i żądza zemsty. Była osobą głęboko wierzącą i zdobyła się na akt przebaczenia. Dowiedziawszy się, że to Piotr jest zabójcą, nie wahała się, by zadzwonić do jego matki. Miała poczucie, że i ona musi dźwigać krzyż ponad ludzką miarę. „Nie wierzę, żeby jakakolwiek matka chciała, by jej syn był mordercą i dokonał takiego czynu – wyznała. – Powiedziałam jej wtedy, że straciliśmy dzieci, bo uważałam, że ona poniekąd straciła swojego syna". Według Eleni przebaczenie jest sztuką trudną, ale bez niego nie ma duchowego oczyszczenia, a życie budowane na nienawiści i pragnieniu zemsty niszczy od środka. „Przebaczenie daje nam wolność – mówi. – To dzięki przebaczeniu mogę dziś śpiewać, jestem osobą pogodną, uśmiecham się, po prostu żyję". „Święta Rita – jak wyznaje – wiele razy pomogła mi w sytuacjach, które wydawały się bardzo trudne, a jednak zawsze znajdowało się jakieś rozwiązanie. Modlę się za wstawiennictwem św. Rity i dziękuję jej za łaski, które otrzymuję".

Nadzieja dla kobiety rośliny

Święta Rita okazała się też jedyną nadzieją dla Aleksandry Zalas z Będzina w momencie, gdy ta doznała całkowitego paraliżu ciała. Zaczęło się od bólu głowy i gardła, potem utraciła zdolność poruszania rękami i nogami, aż wreszcie cała zamieniła się w roślinę. Lekarze stwierdzili zapalenie rdzenia kręgowego i nerwów obwodowych. Aleksandrę przewożono ze szpitala do szpitala, nie widząc dla niej ratunku. Mogła umrzeć, bo zapalenie dochodziło prawie do móżdżku. I gdy tak walczyła o życie, ktoś wsunął w jej ręce obrazek św. Rity. Nie znała tej świętej, ale zaczęła się do niej gorąco modlić, opowiadając niczym niewidzialnej przyjaciółce o sobie i swoim życiu, o tym, że odszedł od niej mąż, gdy ciężko zachorowała, a w domu została osamotniona dwuletnia córeczka. „Mimo że początkowo nie dawano mi na to żadnych szans – opowiada – po jakimś czasie ciągłych rozmów ze świętą […] paraliż zaczął ustępować. Lekarze dziwili się i mówili, że to cud. Zapalenie rdzenia zatrzymało się. Po trzech tygodniach zaczęłam ruszać palcami u stóp". Po powrocie do domu postawiła pierwsze kroki, aż w końcu wróciła do dawnej sprawności. Wierzy, że stało się to za sprawą św. Rity. Odwiedziła jej świątynię w Nowym Sączu wraz z inną uzdrowioną kobietą, którą sama namówiła, by w chorobie powierzyła siebie świętej z Cascii.

Takich przypadków są dziesiątki. O tym, jak święta Rita wyjednuje cierpiącym szczególne łaski, opowiada ks. Zbigniew Sobolewski, jeden z pierwszych polskich kapłanów, którzy służyli w Cascii. „To wtedy św. Rita mnie zauroczyła – wyznaje. – Poznałem jej życiorys, zobaczyłem wielu ludzi, którzy z różnych krajów pielgrzymują do jej grobu, oraz wysłuchałem wielu świadectw. […] Przyjeżdżają tam niezwykle poranieni przez życie, z przeróżnymi problemami duchowymi, rodzinnymi, ogromnie cierpiący. Święta Rita jest dla nich wszystkich nadzieją wbrew nadziei, ostatnią deską ratunku, pomocą w sprawach, po ludzku myśląc beznadziejnych".

Wszystkie świadectwa, także te z Polski, pokazują, że dla Świętej od Róż, najwierniejszej przyjaciółki Ukrzyżowanego, nie ma rzeczy niemożliwych… Otwiera ona na łaskę uzdrowienia nieuleczalnie chorych, pozwala doznać daru macierzyństwa i ojcostwa, daje pracę potrzebującym, czuwa nad maturzystami i studentami, pomaga wyjść z nałogu, uwolnić się od depresji, odzyskać wiarę tym, którzy ją utracili, godzi skłóconych, ratuje małżeństwa w kryzysie i przywraca im miłość.

Wierna miłości, która została ukrzyżowana

W stulecie kanonizacji św. Rity, 20 maja 2000 roku, jej relikwie przywiezione w szklanej trumnie do Rzymu adorował papież św. Jan Paweł II, który w augustiance z Cascii widział nauczycielkę miłości i pokoju dla współczesnego świata. „Żyjąc duchowością św. Augustyna – mówił – Rita stała się uczennicą Ukrzyżowanego i »ekspertem od cierpienia«, nauczyła się rozumieć bóle ludzkiego serca. Dlatego też stała się orędowniczką ubogich i zrozpaczonych, uzyskując niezliczone łaski pociechy i umocnienia dla tych, którzy wzywają ją w różnorakich sytuacjach". Sekret jej świętości to „wierność Miłości, która została ukrzyżowana". ■

Źródła: M. Pabis, „Cuda świętej Rity, patronki w sprawach najtrudniejszych", Kraków 2012; M. Więckowski, „Św. Rita z Cascii. Dla niej nie ma rzeczy niemożliwych", Kraków 2024.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Piotr Lisiewicz

Radosław Sikorski dopuścił się działań wobec Kościoła, na jakie nie poważył się w III RP żaden przedstawiciel państwa polskiego. MSZ protestując przeciwko modlitwom i kazaniom biskupów, w których mowa była o Ruchu Obrony Granic, określił hierarchów jako przedstawicieli obcego państwa, ingerujących w nasze sprawy wewnętrzne: „Prosimy o zaprzestanie ingerencji w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej Polskiej. Kwestia Ruchu Obrony Pogranicza [tak w oryginale – przyp. P.L.] oraz granicy polsko-niemieckiej jest wewnętrzną sprawą państwa polskiego, która nie powinna być przedmiotem komentarzy przedstawicieli Kościoła katolickiego". Te słowa dyskwalifikują Sikorskiego ostatecznie jako kandydata do jakichkolwiek wysokich urzędów, są bowiem sprzeczne z całą tysiącletnią tradycją państwa polskiego, rozpoczętą od obcej interwencji, nazwanej Chrztem Polski w roku 966. Dziś, by przywrócić sprawom właściwe proporcje, przedrukowujemy fragmenty homilii Prymasa Stefana Wyszyńskiego wygłoszonej podczas uroczystości świętego Stanisława w Krakowie 12 maja 1974 roku.

Prymas Stefan Wyszyński

Dla nas po Bogu największa miłość to Polska

Dla nas po Bogu największa miłość to Polska! Musimy po Bogu dochować wierności przede wszystkim naszej ojczyźnie i narodowej kulturze polskiej. Będziemy kochali wszystkich ludzi na świecie, ale w porządku miłości. Po Bogu więc, po Jezusie Chrystusie i Matce Najświętszej, po całym ładzie Bożym nasza miłość należy się przede wszystkim naszej ojczyźnie, mowie, dziejom i kulturze… I chociażby obwieszono na transparentach najrozmaitsze wezwania do miłowania wszystkich ludów i narodów, nie będziemy temu przeciwni, ale będziemy żądali, abyśmy mogli żyć przede wszystkim duchem, dziejami, kulturą i mową naszej polskiej ziemi, wypracowanej przez wieki życiem naszych praojców.

Wczytując się w żywot świętego Stanisława, dostrzegamy jako istotny motyw jego męczeństwa poczucie obowiązku pasterskiego, które skłaniało go do tego, że nie cofnął się przed upominaniem nawet króla, gdy ten nie liczył się z prawem Bożym. Taki jest bowiem obowiązek biskupa i kapłana katolickiego, że musi on raczej Boga słuchać aniżeli ludzi, gdziekolwiek byliby oni postawieni, lub też gdziekolwiek sami by się ustawili i jakąkolwiek sprawowaliby władzę – czy z mandatu ludu, czy z własnej woli. […]

Kościół święty w naszej ojczyźnie czyni to od wieków, od tysiąca lat. Wbijamy w Polską ziemię olbrzymie głazy, skały, po których naród mógłby spokojnie przejść ku przyszłości. Dziś odpowiadamy nie tylko za teraźniejszość naszego życia katolickiego i narodowego, ale na milenijnych głazach, które układamy pracowicie, gotujemy i budujemy drogę dla narodu katolickiego i dla Kościoła w Polsce – ku przyszłości.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Jeżeli i dziś – jak za czasów świętego Stanisława – nie brak jest powodów, które zmuszają nas do upominania, do prostowania, do prośby, a gdy nie pomaga prośba – do jasnego żądania, to i dziś biskup katolicki w Polsce – jak ongiś święty Stanisław – nie cofnie się przed tym obowiązkiem. Będzie pouczał i upominał, a jeśli to nie pomoże, będzie żądał, aby słuszne prawa Boże były w ojczyźnie uszanowane […]

I dzisiaj biskupi polscy świadomi są swej odpowiedzialności za Kościół w Polsce, za naród Boży, powierzony ich pieczy i za jego prawa w wolnej ojczyźnie, zwłaszcza prawa do wiary i zdrowej moralności. Świadomi są również konieczności uszanowania praw społecznych człowieka pracującego. Dlatego biskupi w licznych memoriałach wysyłanych do odpowiednich władz państwowych przypominają, że katolicy w Polsce mają prawo do wolności religijnej, do kultury katolickiej, do wolności zrzeszania się, do stowarzyszeń w dziedzinie pracy społecznej, kulturalnej, dobroczynnej i religijnej.

Sprawa, która w szczególny sposób wymaga przypomnienia – a gdy przypomnienie nie skutkuje, prośby, a gdy prośba nie pomaga, żądania – to obrona życia narodu. Mówimy wyraźnie wszystkim, od których to zależy – i rodzicom w domach, wszystkim obywatelom i władzom państwowym: nie godzi się nikogo zabijać zarówno w łonie matki, jak też i w jego życiu duchowym, moralnym i religijnym […]

Nadto, trzeba dzisiaj bronić w naszej ojczyźnie człowieka pracującego i jego prawa do wypoczynku […] Od wczesnego ranka czytałem w prasie krakowskiej – bardzo piękne zresztą – wezwanie do pracy, dobrowolnej oczywiście, ale szkoda, że to właśnie dziś, a nie jutro i nie przez sześć dni tygodnia, wzorem Boga, który – jak mówi barwnie Księga Rodzaju – trudził się, stwarzając światy przez sześć dni, ale siódmego dnia odpoczął. [...]

Gdy zaczęły się mnożyć czyny społeczne – dziwna rzecz, wykonywane zawsze w niedzielę i święta, jak gdyby w dzień powszedni w Polsce się nie pracowało – wystosowałem pismo do odpowiednich władz państwowych. Odpowiedziano mi, że przecież i Kościołowi, i biskupom zależy na tym, aby Polska wzrastała w dobrobyt, porządek i ład. Słusznie, tak jest, bardzo nam na tym zależy. Ale pamiętajmy, że daremnie trudzą się ci, którzy budują dom, jeśli Pan go nie zbuduje. O ile człowiek, trudzący się przez sześć dni, nie będzie miał możności w niedzielę i święto sam odpocząć, jeśli nie będzie miała wypoczynku jego rodzina, wieś i miasto, jeżeli nie będzie mógł złożyć rąk i dziękować Bogu za to, co wypracował i prosić o błogosławieństwo na przyszłość, to taka praca żadną miarą nie jest pracą wychowawczą. Owszem, jest przemocą, jest iście faraońską metodą, znaną już z opisów Księgi Wyjścia narodu izraelskiego z ziemi egipskiej i domu niewoli […]

Wyczytałem dziś w prasie krakowskiej, że około trzystu tysięcy obywateli musi się stawić – podobno dobrowolnie – do pracy. Powiedziano mi, że są to członkowie partii, a więc co tobie, Prymasie do tego? Co mnie do tego? – To, że członek partii jest także człowiekiem, ma prawo do wypoczynku i jak mówią – może być człowiekiem wierzącym, a więc ma prawo do Mszy świętej niedzielnej […].

Podobnie, najmilsi, obowiązkiem naszym jest bronić kultury rodzimej i dziejów narodu. Widzimy, jak olbrzymie znaczenie mają dla nas dzieje. Kultura narodowa, dziejowa – zwłaszcza gdy jest chrześcijańska – wkorzenia nas w nasze życie codzienne i w ziemię polską jak rosnące dęby. W ten sposób sprawia, że naród nie jest miotany na prawo i lewo wichrami i burzami wojennymi i nie może być przepychany od jednej granicy do drugiej, jak to często o nas mówili nasi sąsiedzi z Zachodu, twierdząc że jesteśmy „państwem sezonowym". […]

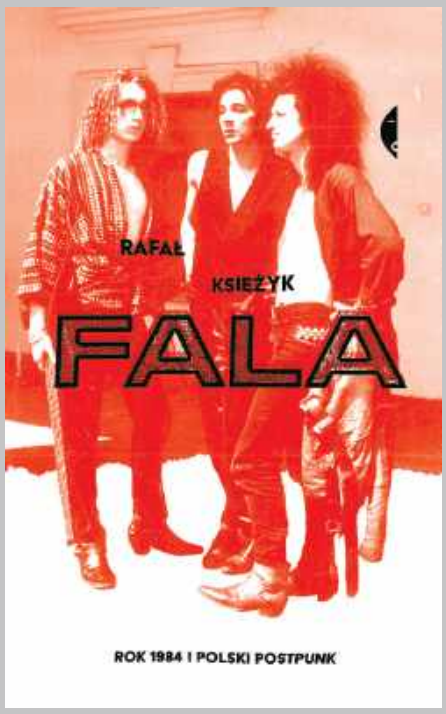
Dla nas po Bogu największa miłość to Polska! Musimy po Bogu dochować wierności przede wszystkim naszej ojczyźnie i narodowej kulturze polskiej. Będziemy kochali wszystkich ludzi na świecie, ale w porządku miłości. Po Bogu więc, po Jezusie Chrystusie i Matce Najświętszej, po całym ładzie Bożym nasza miłość należy się przede wszystkim naszej ojczyźnie, mowie, dziejom i kulturze, z której wyrastamy na polskiej ziemi. I chociażby obwieszono na transparentach najrozmaitsze wezwania do miłowania wszystkich ludów i narodów, nie będziemy temu przeciwni, ale będziemy żądali, abyśmy mogli żyć przede wszystkim duchem, dziejami, kulturą i mową naszej polskiej ziemi, wypracowanej przez wieki życiem naszych praojców […]

Naród ma dobre wyczucie, wie że to, co daje biskup katolicki i kapłan katolicki, służy ojczyźnie. Dlatego też i nasze wymagania, które tutaj stawiamy, nasze prośby, a jeżeli nie skutkują – żądania dotyczą podstawowych praw osoby ludzkiej. Jest to wielki rozdział moralności społecznej, a więc chrześcijańskiej, a więc publicznej – a nawet i politycznej. […]

Nie tylko my – biskupi, ale i wy – rodzice, macie obowiązek upominać się o uszanowanie waszej pracy, waszego sumienia i waszej wolności, prawa do wypoczynku świątecznego, do wychowania chrześcijańskiego waszych dzieci i młodzieży, do sprawiedliwej zapłaty. […] Jeśli liczycie, że zrobią to biskupi, a wy jesteście wolni, to wybaczcie, ale jest to zwykłe tchórzostwo i brak odwagi, co jest największą szkodą w życiu i współżyciu społecznym. Obywatel zastrachany, tchórzliwy, milczący wyrządza największą krzywdę nie tylko sobie, ale i tym, którzy nim kierują. ■

Ks. Stefan Wyszyński, podczas uroczystości świętego Stanisława w Krakowie w dniu 12 maja 1974 r.

eprasa.pl 8145cd3dbe



Rafał Księżyk, „Fala. Rok 1984 i polski postpunk”, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025

Krzysztof Wołodźko



Muzyka, metafora, machina. Nowa fala w PRL

Młodzieżowa muzyka końca epoki PRL to dla wielu po prostu Jarocin. „Fala. Rok 1984 i polski postpunk” Rafała Księżyka pokazuje nam mniej pamiętany świat na skrzyżowaniu PRL-owskich domów kultury, coraz bardziej przesiąknięty tęsknotą do Zachodu; popkulturę z marzeń i lęków pokolenia, które wchodziło w dorosłość w industrialno-autorytarnym państwie. Punk rock i nowa fala, Republika, KSU czy Siekiera – dziś to klasyka, a wówczas Ikar, który zrywał się do lotu.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Kto zna „Dziką rzecz" i „Śnialnię. Śląski underground", wie, że nie są to wyłącznie książki o muzyce. Rafała Księżyka intryguje koloryt epoki – społeczny, polityczny, kulturowy; historia miejsc i zjawisk. Frapują go procesy zmian, które sprawiły, że przeszłość tak często niepodobna jest do przyszłości; konteksty opisywanych historii, idee, dla których nośnikiem tak często jest muzyka. Tak jest również w przypadku „Fali". Zjawiska muzyczne oraz lepiej lub gorzej pamiętane postpunkowe i nowofalowe zespoły są opisane w żywych barwach, wzmocnionych wspomnieniami uczestników wydarzeń sprzed dekad – ale autor sięga głębiej. Kojarzy 1984 rok w autorytarnej Polsce ze słynną powieścią George'a Orwella i koalangiem – językiem metafor, jakim posługiwało się społeczeństwo Zajdlowskiej „Paradyzji", by przechytrzyć swoich nadzorców. Niedługo po premierze powieści najwybitniejszego polskiego reprezentanta socjologicznej fantastyki naukowej magazyn harcerski „Na Przełaj" mianem „Koalang" opatrzył rubrykę z tekstami młodych rockowych załóg.

Wolność dźwiękami się mierzy?

Dla Księżyka ważne jest coś jeszcze: nowa muzyczna fala przyszła z prowincji. W świecie dzisiejszej skrajnie skomercjalizowanej popkultury, zarządzanej przez nadający z metropolii show biznes (który i tak jest bardzo zależny od swoich zachodnich centrali), to rzecz kompletnie nieoczywista. A może nawet mocno wstydliwa dla tych, którzy uporczywie podają do wierzenia, że PRL to wyłącznie ocet na półkach. Sprawy są znacznie bardziej skomplikowane – przy wszystkich swoich niedogodnościach PRL nawet w dobie kryzysu gospodarczego czasów Wojciecha Jaruzelskiego to zakłady przemysłowe i przetwórstwo rolne w małych miasteczkach, lokalne spółdzielnie handlowe i robotnicze osiedla w niewielkich nawet ośrodkach pełne młodych małżeństw z dziećmi. I wszechobecne domy kultury, które w latach 80. coraz częściej działały na granicy oficjalnego i nieoficjalnego, gdy partyjna nowomowa była coraz bardziej kontestowana przez oddolny język wolności, który wybuchł wraz z Solidarnością.

Ustrzyki Dolne, Łańcut, Rzeszów, Puławy, Zduńska Wola, Toruń, Bydgoszcz, Piła – stamtąd popłynęła na Polskę muzyczna nowa fala. Kilka lat później podobnie: rewolta rodzimego heavy i thrash metalu, opisana przez Wojciecha Lisa w książce „Zine'tegrowani", przetoczyła się właśnie przez mniejsze miasta i tamtejsze domy kultury (pisałem o tym w tekście „Muzyczne czeluści i kiepskie ksero", „Gazeta Polska", nr 5 z 29 stycznia 2025). Warto o tym pamiętać w karykaturalnie wręcz warszawocentrycznym świecie, którym stała się III RP za sprawą kompradorskich elit.

Księżyk nie idealizuje tamtych czasów. Punkowa wściekłość i nowofalowy niepokój musiały zmieścić się w ramach „określonej epoki". Autor „Fali" przypomina, że gitara średniej jakości kosztowała równowartość kilku krajowych pensji; opowiada, że premiery nagranych płyt potrafiły się w tamtych realiach opóźnić o kilkanaście lat. A jednak wśród murów zakwitały kwiaty, pachniało trawą. Miejscem kontaktu były „przyzakładowe domy kultury w ponurych przemysłowych miastach, z przypadkowym sprzętem i z nadzorem państwowych urzędników, kluby uczelniane zarządzane przez socjalistyczne organizacje studenckie, a przede wszystkim prywatne mieszkania i ławki wśród bloków, bo nie było lokali, w których młodzież mogłaby się spotykać". Tomasz Dorn, perkusista Variété, wspominał próby swojej pierwszej kapeli, Abaddon, w świetlicy Wojewódzkich Zakładów Komunikacyjnych w Bydgoszczy: „Przychodził [tam] esbek, siadał i przysłuchiwał się. […] Traktował nas jak dziwactwo, niegroźne zjawisko". Wolność dźwiękami się mierzy? System się rozszczelniał, ale wciąż nadzorował. 22 lipca 1983 roku formalnie zniesiono w Polsce stan wojenny. Ale czas nad Wisłą wciąż przecież należał do Orwella.

W czasach gdy popkultura jest przede wszystkim dobrze zorganizowanym biznesem, miszmaszem politycznej poprawności, artystycznego narcyzmu i korporacyjnych tabelek w Excelu, gdy z muzyki popularnej wyciekł niemal cały bunt, tamten świat jawi się jako fascynujący pokoleniowy manifest. Pełna fermentu kultura masowa była możliwa również dzięki temu, że technologiczne realia wymuszały niemal codziennie wychodzenie przez młodych ze sfery komfortu. Nie było serwisów streamingowych i portali z ich iluzją dostępu do informacji. Trzeba było poznawać nowych ludzi, żeby posłuchać z winyli, ze szpuli i z kaset magnetofonowych muzyki z kraju i ze świata. Trzeba było jeździć zatłoczonymi pociągami na koncerty, często tarabaniąc się z własnym sprzętem; deptać się wzajem w niebezpiecznym tłumie i być przeszukiwanym przez złośliwych, niebezpiecznych milicjantów; spać pod namiotami lub chmurką, żeby przeżyć kilka dni tam, gdzie wolność uczuć szła w parze z mundurowym albo rówieśniczym mordobiciem.

Machina państwowa – maszyna fabryczna

Listopad 1981 roku, tuż przed stanem wojennym. W toruńskim klubie studenckim Od Nowa głośno od dźwięków: na II Festiwalu Grup Rockowych zagrały

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 8145cd3dbe

m.in. Brygada Kryzys, Republika, Brak, Oddech Szczura, Opozycja, Afront, Rejestracja Przedpoborowa (na plakacie zaprezentowano tylko pierwszą część nazwy). A także jugosłowiański Električni Orgazam i amerykański Spaces (na plakacie napisano po prostu: Nowy Jork). Większość z tych nazw jest czytelna dla znawców i wyznawców ówczesnej kontrkultury. Brygada Kryzys i Republika stały się szeroko rozpoznawalnymi markami. Od tamtego koncertu – przypomina Księżyk – „zaczęła się kariera największej polskiej gwiazdy gatunku", czyli zespołu na dobre i złe kojarzonego z Grzegorzem Ciechowskim. Występ toruńskiej grupy miał olśnić publiczność i ludzi z branży muzycznej: „Po falstarcie w warszawskim Remoncie, gdzie po spożyciu haszyszowych ciasteczek Brygady Kryzys nie byli w stanie zagrać koncertu, miesiąc później w ich macierzystym klubie wszystko zostało starannie przygotowane". Nikogo też nie zdziwiło, że laureatem festiwalowej nagrody dziennikarzy została Republika, która nieco wcześniej grała w stylu Jethro Tull, czyli klasyków progresywnego rocka, niestroniących od folku i łagodnie metalowych brzmień.

Klub Od Nowa nie przetrwał stanu wojennego: junta Jaruzela zamknęła wszystkie kluby studenckie jak socjalistyczna Polska długa i szeroka, a później okazało się, że młodzieżowy lokal w okolicach Rynku Staromiejskiego, gdzie jedni buntowali się, wdychając butapren, drudzy potykając na pobliskich uliczkach z ZOMO, nie pasuje władzom zatroskanym o moralność publiczną i podtrzymanie społecznego marazmu. Waldemar Rudziecki, dzisiaj człowiek instytucja muzycznej branży, pożegnał się wówczas z toruńskim Od Nowa i przeniósł do Gdyni, gdzie w 1986 roku zorganizował I Zlot Młodzieży Cynicznej Ery Atomowej – Nową Scenę, która przyczyniła się do powstania trójmiejskiej alternatywy. Na marginesie: ówczesne bizantyjsko-prześmiewcze nazwy imprez młodzieżowych, brzmiące echami socrealistycznych haseł propagandowych, to wcale nie pomysł Jerzego Owsiaka. A Republika? Już sięgnęła po sukces. Kontestacja zmieściła się w systemowych ramach: na początku lipca 1982 roku „Kombinat" znalazł się na pierwszym miejscu szóstego notowania Listy Przebojów Programu Trzeciego. Lakoniczne, rytmiczne frazy, wyśpiewane z emfazą przez późniejszego Obywatela G.C. przeszły do historii polskiego rocka: „Kombinat pracuje / Oddycha buduje / Kombinat to tkanka / Ja jestem komórką / Nie wyrwę się / Nie wyrwę się / To tylko wiem / Wiem, wiem, wiem. […] / Zasypiam w szufladzie / Dokładnie wskazanej / Nie wyrwę się / Nie wyrwę się / Teraz już wiem / Wiem, wiem, wiem". Machina państwowa i maszyna fabryczna karmiły wyobraźnię, dopełniając obrazu przytłaczającego młodych świata.

Krytyka industrialnego społeczeństwa rządzonego autorytarnie, egzystującego w cieniu nuklearnego konfliktu, to był wówczas powszedni motyw. Rzeszowska nowofalowa kapela 1984 miała dwa wielkie przeboje w Rozgłośni Harcerskiej. W „Fermie hodowlanej" śpiewała na koncertach: „Narodziła się nowa kultura / nowoczesna żywa struktura / automaty w sztywnych mundurach", we „Wstajemy na »raz«, śpiewamy na »dwa«" przekaz był nie mniej czytelny: „Atomowe lalki / dzieci słońca / Dzieci czarnej wrony / Atomowe lalki / Dzieci nocy / Dzieci ciężkiej wody". Nie trzeba było życia w wielkim mieście, by odczuwać fatalne położenie geopolityczne, egzystencjalną chandrę, poczucie wszechogarniającego dodupizmu. W Bieszczadach, gdzie wyrosło „państwo arłamowskie" (zamknięta dla ludu pracującego miast i wsi rozległa sieć kurortów PZPR-owskiej nomenklatury), niejako w kontrze powstała na poły kontrkulturowa, poetycko-muzyczna, na poły czerpiąca z lokalności i tożsamości regionu wyobrażona Wolna Republika Bieszczad, uwieczniona w tekście „Ustrzyki" KSU. Bez tej punkowej kapeli, która z miłości do małej ojczyzny uczyniła swój najpiękniejszy znak rozpoznawczy, trudno wyobrazić sobie rodzimy punk rock (pisałem o tym więcej w tekście „Na blachach KSU. Punk i Polska", „Gazeta Polska", nr 18 z 4 maja 2016).

W czasach gdy popkultura jest przede wszystkim dobrze zorganizowanym biznesem, miszmaszem politycznej poprawności, artystycznego narcyzmu i korporacyjnych tabelek w Excelu, tamten świat jawi się jako fascynujący pokoleniowy manifest.

▶ Czas postpunka, czas nowej fali

Pod koniec września 1984 roku Siekiera, jeszcze jako punkowa grupa, wystąpiła w Warszawie na II Grand Festiwalu Róbrege. Hasło imprezy wzięto z Księgi Koheleta: „Jest czas miłowania i czas nienа-

eprasa.pl 8145cd3dbe

wiści, czas wojny i czas pokoju". Dziś w pamięci utarło się, że w latach 80. najbardziej niebezpiecznie było na koncertach metalowych kapel. Tomasz Budzyński, jeden ze współtwórców pochodzącego z Puław zespołu, wspominał po dekadach na kartach książki „Soul Side Story": „Pod sceną trwało agresywne pogo, połączone z bijatyką. Właśnie wtedy jeden z załogantów mówił mi po koncercie, że chciał zabić [warszawskiego punka – przyp. red.] Prokopa; dźgnął nożem, ale chyba nie trafił. Wydawało mi się, że żartuje i tylko tak gada, ale on mówił to na poważnie. Było to dość przerażające". Miesiąc później Budzyński poszedł swoją drogą, wraz z Robertem Brylewskim stworzył Armię.

Swoje do powiedzenia miała też „ludowa ojczyzna". Nie zna życia, kto w późnym PRL-u zakładał za młodu ostro grającą kapelę, a dostał wezwanie do wojska. To temat na osobną monografię – na gruncie metalowym najpewniej do ogarnięcia przez niestrudzonego Wojciecha Lisa. Zasadnicza służba wojskowa upomniała się również o współtwórców Siekiery: „Koniec końców tylko [perkusista Krzysztof – przyp. red.] Grela trafił do armii. Budzyński dostawał odroczenia jako student KUL-u, a potem zaczął się ukrywać w Stanclewie, warmińskiej wsi, gdzie w 1990 roku miał nagrać z Armią »Legendę«. Malina [basista Dariusz Malinowski – przyp. red.], dzięki ojcu, który dał łapówkę lekarzowi, trafił na miesiąc do szpitala psychiatrycznego. [Lider zespołu Tomasz – przyp. red.] Adamski, ten wielki chłop, paradoksalnie, wcale nie musiał kombinować, miał problemy ze zdrowiem".

Jest czas punka i czas nowej fali. Magazyn „Non Stop" we wspólnym plebiscycie czytelników i dziennikarzy uznał Siekierę kapelą punkową 1984 roku. Za nimi uplasowały się Dezerter i Moskwa. Bywają sukcesy, które mogą okazać się kłopotem. Powyższy to świetny przykład tego, jak oczekiwania fanów i krytyków potrafią rozejść się z rzeczywistością: Adamski, ksywa Dzwon, jesienią tamtego roku zaczął gruntowną muzyczną transformację kapeli. Jej podsumowaniem był album „Nowa Aleksandria" z 1986 roku. Na oryginalnym wydaniu nie znajdziemy „Misiów puszystych" („Szewc zabija szewca / Bumtarara bumtarara"), kultowy kawałek trafił na rozszerzony album z 1992 roku. Pamiętam to dobrze. Szedłem akurat do pierwszej klasy liceum i jako zapalony czytelnik „Tylko Rocka" na bieżąco śledziłem nowości i wznowienia na bardzo dziwacznym wtedy jeszcze muzycznym rynku. Pierwotna „NA" to oczywiście „Ludzie wschodu": „Czy tu się głowy ścina? / Czy zjedli tu murzyna? / Czy leży tu Madonna? / Czy jest tu jazda konna? / Czy w nocy dobrze śpicie? / Czy śmierci się boicie? / Czy zabił ktoś tokarza? / Czy często się to zdarza?". Świat z pogranicza absurdu, egzystencjalnych traum, ciężkostrawnej historii. Świat zarazem czytelny, dobrze znany i pełen mroku jak w tytułowej „Nowej Aleksandrii": „Kiedy wstaję patrzę w okno krótka chwila / Idą ludzie tam za bramą jeszcze senni / Na ulicy mały płomień porzucony / Nasze domy pośród nocy / Nasze domy obok fabryk".

Nowofalowa stylistyka i poetyka są wariacją na temat Zajdlowskiego koalangu, ich przekaz / estetyka rozsadzały mury zastanej rzeczywistości. Dobrze pokazuje to historia charakterystycznej okładki debiutanckiego albumu Siekiery. Alek Januszewski opowiada na kartach „Fali": „Zaprojektowałem grafikę, która wydawała mi się bardziej uniwersalną, uwspółcześnioną wersją człowieka witruwiańskiego Leonarda da Vinci. Z jednej strony jest w niej coś technicznego, nieludzkiego, a z drugiej strony pewien idealizm, doskonałe proporcje. […] Kolor czerwony miał być odniesieniem nie do polityki, komuny, ale do młodzieńczego romantyzmu, który w tekstach Tomka Adamskiego wyczuwałem: »Miłość jak krew / Zatruta przez słowa«". Po dekadach ten album jest wciąż aktualną opowieścią, która potrafi zachwycić dźwiękowo. Muzyczny teatr absurdu i egzystencjalnego niepokoju – a równocześnie historyczny punkt odniesienia.

Polski postpunk i nowa fala to zapis krótkiej epoki, gdy duch wolności mierzył się z brzemieniem autorytaryzmu; zapis specyfiki tamtych czasów możliwy dzięki artystycznym próbom reakcji na otaczającą i przytłaczającą rzeczywistość. To naprawdę dziwna rzecz, która nieco później nie mogłaby się już wydarzyć. ■

POLSKI POSTPUNK I NOWA FALA TO ZAPIS KRÓTKIEJ EPOKI, GDY DUCH WOLNOŚCI MIERZYŁ SIĘ Z BRZEMIENIEM AUTORYTARYZMU; ZAPIS SPECYFIKI TAMTYCH CZASÓW MOŻLIWY DZIĘKI ARTYSTYCZNYM PRÓBOM REAKCJI NA OTACZAJĄCĄ I PRZYTŁACZAJĄCĄ RZECZYWISTOŚĆ.

eprasa.pl 8145cd3dbe



Marek Kalinowski

W mroku paryskich katakumb

Kalifornijczycy z Queens of the Stone Age zeszli do paryskich katakumb, by nagrać występ inny niż wszystkie. Jak się okazuje – ani wielkie wzmacniacze, ani elektryczne gitary nie są potrzebne, aby wyczarować porywającego rocka.

Dla fanów mocniejszej muzyki gitarowej tegoroczne wakacje okazały się spełnieniem koncertowych wrażeń. Tylko na Stadionie Narodowym zagościły kolejno takie legendy jak AC/DC, Guns N'Roses czy wreszcie weterani heavy metalu – Iron Maiden. A to dopiero wierzchołek góry lodowej, gdyż w cieniu wielkich stadionowych koncertów mogło nam umknąć kilka może mniej spektakularnych, choć kto wie, czy nie ciekawszych wydarzeń. Do nich bez wątpienia należy znakomity występ kalifornijskiej grupy Queens of the Stone Age.

Lipcowy koncert na warszawskim Torwarze był rzadką okazją do podróży przez imponującą już dyskografię zespołu, prowadzonego przez charyzmatycznego lidera Joshuę Homme'a, zespołu, przez który przewinęło się też sporo nie mniej znakomitych i znanych muzyków – od Dave'a Grohla (Nirvana, Foo Fighters), przez Matta Camerona (Pearl Jam), po nieżyjącego już Marka Lanegana. Atmosfera tej dwugodzinnej rockowej zabawy, wypełnionej największymi hitami i zachciankami publiczności, chyba długo pozostanie w pamięci słuchaczy.



Queen of the Stone Age, ALIVE IN THE CATACOMBS, Matador Records

Zaledwie kilkanaście dni przed warszawskim koncertem Queensów ukazała się ich najnowsza płyta, będąca również zapisem występu, ale jakże innego od tego, który mieliśmy okazję doświadczyć w hali Torwaru. Album „Alive in the Catacombs" to zapis sesji zespołu w paryskich katakumbach, co warto podkreślić, nagranej na setkę – bez żadnych poprawek i dogrywek! W podmiejskich podziemiach znalazło się wyłącznie pięć osób z zespołu, trio smyczkowe i obsługa techniczna. Ciekawe, że muzycy jako pierwsi w historii otrzymali pozwolenie na występ w tym miejscu.

Nagrania w tak wyjątkowych warunkach wymusiły na zespole odejście od charakterystycznego dla nich instrumentarium. Nie było mowy ani o wielkich wzmacniaczach, elektrycznych gitarach czy zestawie perkusyjnym. Jedyne źródło prądu (akumulator samochodowy) zasilało mikrofony i klawisze Deana Fertity. Moc tych nagrań opiera się na niepowtarzalnej akustyce wnętrza i brzmieniu akustycznych instrumentów. Towarzyszący nagraniom film pozwala nam nieco zerknąć w minimalistyczne, perkusyjne zaplecze Jona Therodora, które sprowadza się wyłącznie do pałeczek, metalowego łańcucha czy papieru ściernego. A efekt jest niesamowity.

W przeciwieństwie do warszawskiego koncertu nie mamy tutaj zestawu największych hitów. Album otwiera zaskakujące połączenie „Running Joke" – piosenki sprzed blisko 20 lat, z „Paper Machete", doskonałego, gitarowego singla z ostatniej, studyjnej płyty „In Times New Roman". Jak się jednak okazuje – ani prąd, ani ostre brzmienie gitar w ogóle nie jest potrzebne Queensom, by wykreować rockandrollowe dźwięki. Dzieje się tak zwłaszcza w drugim utworze „Kalopsia", po którego odsłuchu studyjny oryginał wydaje się wręcz nijaki. To sprawka fenomenalnego tria smyczkowego, które nie jest tu jakimś kolejnym ozdobnikiem, jak to często bywało w produkcjach z serii „unplugged", lecz dokonuje w warstwie melodycznej totalnej rewolucji. Po ostatnich dźwiękach poruszającej piosenki „I Never Came" pozostaje jedynie niedosyt, że ten wyjątkowy występ trwał zaledwie pół godziny. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe

Małgorzata Matuszak

Czym jest... pojednanie

Znaczenie słowa „pojednanie" kryje w sobie rdzeń – „jednanie", a więc dążenie ku jedności. Sam przedrostek „po" sugeruje powtórzenie, przywrócenie, odzyskanie czegoś, co istniało wcześniej. Pojednanie oznacza zatem ponownie zespolenie elementów pierwotnie stanowiących jedność, które z różnych przyczyn zostały rozerwane. To rozerwanie jawi się jako sprzeczne z ich naturą, skoro ich scalanie prowadzi do przywrócenia stanu zgodności i współistnienia. Jeśli bowiem trzeba się pojednać, oznacza to, że wcześniej istniała jedność, która uległa zniszczeniu. Tam, gdzie więź została przerwana, pojawia się potrzeba pojednania.

W sensie potocznym mówimy o pojednaniu, gdy dwie strony po konflikcie czy zerwaniu więzi pragną się ponownie spotkać. Oznacza ono powrót do zgody, obudowę wzajemnego zaufania, rezygnację z dalszej eskalacji i gotowość do kompromisu. Pojednanie nie jest jednak prostym zapomnieniem, ale świadomą decyzją otwarcia się na drugiego. Zakłada ono nie tylko wolę pogodzenia się, lecz także zdolność do ustępstwa, rezygnacji z wyłącznego obstawania przy swojej racji. Jest więc gestem wyjścia ku drugiemu człowiekowi, aktem przekroczenia siebie, można by powiedzieć: transcendencją ku Innemu.

Na płaszczyźnie religijnej owo przekroczenie oznacza potrzebę pojednania z Bogiem. W tradycji chrześcijańskiej to zerwanie więzi następuje w wyniku grzechu, który oddziela człowieka od Stwórcy, zamyka go we własnym człowieczeństwie, odcinając od źródła boskiej natury. Pojednanie z Bogiem jest wówczas powrotem do życia w przestrzeni sacrum, powrotem do synowskiej relacji, jaką ilustruje przypowieść o synu marnotrawnym. Ma więc wymiar nie tylko osobisty, lecz także wspólnotowy, scala bowiem człowieka z całym porządkiem Boskim i z Kościołem jako wspólnotą wierzących.

Jeszcze inny wymiar ma pojednanie moralne. Zachodzi ono tam, gdzie między osobami zaistniało zło moralne, gdzie ktoś wyrządził drugiemu krzywdę. Wówczas pojednanie zakłada nie tylko przebaczenie, lecz także czynne dążenie do naprawy wyrządzonego zła. Warto podkreślić, że pojednanie i przebaczenie nie są tożsame: przebaczenie jest warunkiem możliwości pojednania, ale nie zawsze prowadzi do odnowienia więzi, jednak bez aktu przebaczenia prawdziwe pojednanie nie jest możliwe. Tym samym pojednanie jest czymś więcej – jest wspólną drogą skrzywdzonego i sprawcy, gdzie pierwszy udziela drugiemu daru wybaczenia, a drugi podejmuje wysiłek zadośćuczynienia i odbudowy tego, co zostało zniszczone. W tym sensie pojednanie jawi się jako aktywność – to ruch ku odbudowie jedności z kimś, kto pozostaje dla nas ważny, pomimo wyrządzonego zła. Nie może być jednostronne: wymaga zaangażowania obu stron, ich wzajemnego wyjścia naprzeciw, aby więź mogła zostać odtworzona.

Na płaszczyźnie społecznej i politycznej pojednanie przybiera postać praktyk scalających wspólnoty, które zostały rozbite przez konflikty, wojny czy niesprawiedliwości. Może oznaczać próbę budowania więzi narodowych mimo doznanych krzywd i uraz, tworzenie przestrzeni dialogu, w której przeszłość zostaje uznana, ale nie determinuje już przyszłości. Bez pojednania życie wspólnotowe staje się pasmem zemst i odwetu.

> POJEDNANIE JEST SZTUKĄ SCALANIA: CZŁOWIEKA Z DRUGIM CZŁOWIEKIEM, CZŁOWIEKA Z BOGIEM, WSPÓLNOTY Z JEJ PRZESZŁOŚCIĄ. JEST AKTYWNYM PRZEZWYCIĘŻANIEM ROZDARCIA, W KTÓRYM TO, CO BYŁO PODZIELONE, ODZYSKUJE MOŻLIWOŚĆ BYCIA RAZEM.

Pojednanie jest jednym z najważniejszych elementów budowania bliskości. Każda ludzka więź jest wszak narażona na konflikty i nieporozumienia, a pojednanie daje możliwość ich przezwyciężania i otwiera drogę ku głębszej relacji, która dojrzewa właśnie poprzez pokonywanie przeszkód.

Można więc powiedzieć, że pojednanie jest sztuką scalania: człowieka z drugim człowiekiem, człowieka z Bogiem, wspólnoty z jej przeszłością. Jest aktywnym przezwyciężaniem rozdarcia, w którym to, co było podzielone, odzyskuje możliwość bycia razem. W pojednaniu rana nie zostaje zapomniana, ale przemienia się w miejsce, z którego rodzi się nowa jakość. Nie usuwa ono przeszłości, ale pozwala nadać jej nowy sens. Psychologicznie oznacza też uwolnienie od ciężaru i gniewu, bo niepojednanie więzi nas bardziej aniżeli spór sam w sobie. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe



„Prawda jest taka, że my, złodzieje i mordercy, walczymy teraz w wojnie Rosji"
Więzień zwerbowany na front ukraiński, 2022 rok

Bandycka Rosja. Jak weterani wojny z Ukrainą terroryzują społeczeństwo

Antoni Rybczyński

Jedną z największych konsekwencji pełnoskalowej inwazji na Ukrainę jest drastyczny wzrost przestępczości w Rosji. Z jednej strony to wynik brutalizacji języka i debaty publicznej, gloryfikacji siły. Z drugiej, to powrót wielu tysięcy weteranów wojny z Ukrainą. Wielu z nich to byli więźniowie, często skazani za ciężkie przestępstwa, którzy za pół roku walki na froncie dostali wolność.



FOT. YURI KOCHETKOV/PAP/EPA

Bandycki Petersburg" – legendarny serial z 2000 roku – można było obejrzeć także w Polsce. Pokazywał burzliwe lata 90. w mieście nad Newą, gdy trzęsła nim zorganizowana przestępczość. Zresztą był to też czas, gdy jednym z najważniejszych ludzi we władzach Petersburga był nie kto inny, jak Władimir Putin. To on i jego ludzie układali się z mafią, udzielając koncesji na działalność gospodarczą, hazard, import, w zamian pobierając haracz. Tamta ekipa poszła potem za Putinem do Moskwy, dziś ci ludzie należą do najbardziej wpływowych przedstawicieli reżimu – w polityce, biznesie, służbach. Nie bez przyczyny tytuł tego artykułu nawiązuje do słynnego serialu. W obu przypadkach współwinnym wzrostu przestępczości jest Putin i prowadzona przez niego polityka.

Szokujący wzrost przestępczości

Od początku pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w Rosji wzrosła przestępczość, a większość kryminalnych czynów popełniają weterani, którzy są jednak traktowani łagodnie przez sądy, ponieważ Putin przedstawia ich jako nową elitę. Każdy kraj, który w przeszłości doświadczył dużej wojny, miał też potem poważne problemy z adaptacją wracających do cywilnego życia tysięcy weteranów. W przypadku współczesnej Rosji ta kwestia jest poważniejsza z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze, znaczna część weteranów to kryminaliści. Po drugie, reżim świadomie ignoruje problem: wszak bohaterowie wojny nie mogą być przestępcami, lecz wzorem do naśladowania.

Każdy kolejny rok pełnoskalowej wojny z Ukrainą przekłada się na statystyki przestępczości w Rosji. W 2023 roku popełniono rekordową liczbę poważnych i szczególnie poważnych przestępstw w ciągu ostatnich 12 lat. Zarejestrowano ponad 589 tys. takich przestępstw – wcześniej ich liczba była wyższa w 2011 roku. Liczba weteranów wojennych skazanych w 2023 roku wzrosła o 700 proc. w porównaniu z 2022 rokiem, a liczba przestępstw z użyciem przemocy przeciwko życiu i zdrowiu wzrosła o aż 1300 proc.! W 2024 roku liczba przestępstw z użyciem przemocy wzrosła o 7 proc., osiągając najwyższy poziom od ponad 10 lat, przy czym znacznie wyższe odsetki odnotowano w regionach położonych w pobliżu Ukrainy oraz w republikach niebędących częścią etnicznej Rosji. Od stycznia do czerwca 2024 roku rosyjskie MSW zarejestrowało prawie 302 tys. „poważnych i szczególnie poważnych" przestępstw, co stanowi wzrost o ponad 10 proc. w porównaniu z 2023 rokiem. Według niezależnych doniesień, do kwietnia 2024 roku co najmniej 1130 rosyjskich weteranów wojny zostało oskarżonych o przestępstwa „cywilne", od wykroczeń drogowych po morderstwa. W około dwóch trzecich tych przypadków sędziowie uznali udział w wojnie przeciwko Ukrainie za okoliczność łagodzącą. Jedynym przestępstwem, za które wojskowi są sądzeni surowiej niż cywile, jest handel materiałami wybuchowymi. Bieżący rok będzie z pewnością jeszcze gorszy. Według statystyk państwowych, w pierwszej połowie 2025 roku odnotowano ponad 333 tys. „poważnych i szczególnie poważnych" przestępstw przeciwko artykułom kodeksu karnego kraju. Liczba ta określa najwyższy od 15 lat poziom przestępczości w Rosji.

Odkąd ruszyła pełnoskalowa inwazja na Ukrainę w lutym 2022 roku, Rosjanie nie tylko piją coraz więcej, lecz także popełniają więcej morderstw i dopuszczają się częściej przemocy domowej. W 2023 roku kupili w sumie 2,3 mld litrów wysokoprocentowego alkoholu, przekraczając wcześniej ustanowiony rekord 2,2 mld z 2022 roku. Z badań przeprowadzonych przez Moskiewski Państwowy Uniwersytet Medyczny wynika, że problem z alkoholem ma ponad 42 proc. ludności Rosji. Uwagę zwraca, że alkoholizm nie wiąże się ze statusem społecznym czy poziomem dochodów. Statystyki i wszelkie możliwe badania nie pozostawiają wątpliwości: w Rosji każda rodzina choć raz zetknęła się z problemem alkoholizmu. 80 proc. morderstw i przestępstw popełnianych jest w stanie upojenia alkoholowego. Rosyjskie media rozpisywały się o na przykład o sprawie z Niżnego Nowogrodu, gdzie weteran wojny na Ukrainie upił się, a potem zadźgał nożem żonę na oczach dwójki małych dzieci. Według oficjalnych statystyk regionami o największej przestępczości w 2023 roku były Komi, Karelia i Republika Ałtaju.

Wracający weterani wojny z Ukrainą stanowią coraz większe zagrożenie dla rosyjskiego społeczeństwa, zwłaszcza gdy w całym kraju o nielegalną broń łatwo jak nigdy. W ciągu pierwszych dwóch lat wojny na Ukrainie co najmniej 107 osób zginęło z rąk weteranów, którzy wrócili z frontu, a około 100 kolejnych zostało rannych. Szczególnie dotyczy to wagnerowców, a dokładniej skazańców, którzy w zamian za wolność poszli walczyć z Ukraińcami. Należy bowiem pamiętać, że więźniów na wojnę werbowała nie tylko Grupa Wagnera, lecz robił to także resort obrony, tworząc oddziały Storm-Z. W obwodzie kirowskim sąd skazał byłego najemnika Grupy Wagnera Iwana Rossomaszina na 22 lata kolonii za zabójstwo 85-letniej emerytki. W Orenburgu były najemnik Wagnera Kiryłł Smirnow

eprasa.pl 8145cd3dbe

otrzymał 18 lat więzienia za zaatakowanie sąsiada i zabicie matki przyjaciela. W Iżewsku inny były wagnerowiec, Artiom Jegorow, po powrocie z frontu zabił swojego przyjaciela i zadźgał jego dziewczynę, został skazany na 15 lat kolonii. W Nowosybirsku były wagnerowiec Siergiej Szachmatow otrzymał wyrok 17 lat kolonii za przemoc seksualną wobec dwóch uczennic. Szczególnie niepokoi właśnie rosnący wskaźnik morderstw i przypadki przemocy seksualnej, zwłaszcza wobec dzieci. Liczba przestępstw przeciwko nieletnim wzrosła o 62 proc. w porównaniu z okresem przedwojennym.

Powtarzające się przestępstwa popełniane przez byłych więźniów wcielonych do rosyjskiej armii w celu walki na Ukrainie to obecnie jedno z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa publicznego w Rosji. Po raz pierwszy na dużą skalę sięgnął po skazańców szef Grupy Wagnera, Jewgienij Prigożyn. We wrześniu 2022 roku pojawiły się nagrania z placów w koloniach karnych, na których szef najsłynniejszych rosyjskich najemników zachęca więźniów do służby na froncie w zamian za wolność. W wywiadach więźniowie mówili wtedy, że przed wysłaniem na front przejdą tygodniowe szkolenie. Obiecano im ułaskawienie prezydenckie po sześciu miesiącach, nawet tym, którzy popełnili poważne i brutalne przestępstwa, oraz wynagrodzenie w wysokości 100 tys. rubli (około 1870 dolarów) miesięcznie. Jeden z więźniów zauważył: „Prawda jest taka, że my, złodzieje i mordercy, walczymy teraz w wojnie Rosji". Po nieudanym puczu wagnerowców i śmierci Prigożyna rosyjskie ministerstwo obrony samo rozpoczęło rekrutację w więzieniach i otworzyło drogę innym podległym sobie firmom najemniczym do podjęcia podobnych działań. Skazańcom zaoferowano podobne warunki jak wcześniej Prigożyn: sześć miesięcy służby za pieniądze, w zamian ułaskawienie i usunięcie z rejestru karnego. Wśród ułaskawionych znaleźli się ludzie skazani za morderstwa, a nawet kanibalizm. Według danych Federalnej Służby Więziennej w 2023 roku liczba więźniów w rosyjskich koloniach spadła o rekordowe 58 tys. osób. Niektóre zakłady karne, zaprojektowane na przykład dla 1500 osób, w rzeczywistości mieszczą tylko 300 więźniów. Najważniejszym czynnikiem wpływającym na zmniejszenie liczby skazanych i więźniów jest wojna. Rekrutując tak wielu skazanych do służby w armii, a następnie przedstawiając tych weteranów jako bohaterów i wzorce do naśladowania dla młodych ludzi, zatrudniając ich jako nauczycieli w szkołach, reżim Putina pogłębił podziały między weteranami a społeczeństwem rosyjskim.

Reżim ignoruje „syndrom ukraiński"

Rosyjscy urzędnicy starają się bagatelizować wzrost liczby brutalnych przestępstw popełnianych przez weteranów. Rok po rozpoczęciu przez Moskwę tzw. specjalnej operacji wojskowej rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow mówił, że zarzuty karne wobec weteranów są „kiepskim zachowaniem" i nie stanowią powodu do niepokoju dla Moskwy. Stwierdził, że organy ścigania i służby bezpieczeństwa aktywnie monitorują sytuację. Czy rzeczywiście tak jest? Agencje rządowe nie udostępniają żadnych konkretnych danych dotyczących przestępstw popełnianych przez weteranów. W związku z tym niezależni dziennikarze i media są zmuszeni do samodzielnego gromadzenia i analizowania tych statystyk. Zresztą reżim ukrywa informacje nie tylko dotyczące łamania prawa przez weteranów. Oto MSW zaprzestało publikowania danych dotyczących osób, które zginęły w wyniku przestępstw, w tym zabójstw i wypadków, za które ktoś ponosi odpowiedzialność prawną. Od kwietnia nie opublikowano żadnych takich danych, a w tym roku nie opublikowano żadnych danych w podziale na regiony i republiki.

Według danych Federalnej Służby Więziennej w 2023 roku liczba więźniów w rosyjskich koloniach spadła o rekordowe 58 tys. Najważniejszym czynnikiem wpływającym na zmniejszenie liczby skazanych i więźniów jest wojna.

Resocjalizacja i adaptacja weteranów do życia cywilnego będą jednymi z głównych wyzwań dla rosyjskiego społeczeństwa po zakończeniu wojny. Broń może również zostać skierowana przeciwko Kremlowi. Sytuacja będzie się tylko pogarszać, po-

eprasa.pl 8145cd3dbe

nieważ Moskwa nie dotrzymuje obietnic złożonych weteranom i ich rodzinom. Płacąc mężczyznom bardzo wysokie wynagrodzenie za udział w wojnie, Moskwa wzbudziła wśród nich oczekiwania dotyczące przyszłości, których nie da się spełnić – chyba że poprzez działania przestępcze. Ponadto reżim promuje idee toksycznej męskości, co praktycznie uniemożliwia psychologom skuteczne leczenie zespołu stresu pourazowego (PTSD). W lutym bieżącego roku przewodnicząca Komisji Dumy ds. Rodziny, Kobiet i Dzieci Nina Ostanina zauważyła, że skazani powracający z strefy wojny nie są „wystarczająco zsocjalizowani", w związku z czym liczba przestępstw z ich udziałem „może wzrosnąć". „Na początku ci ludzie czuli się jak przestępcy, winowajcy, a teraz są bohaterami. To poczucie bohaterstwa będzie miało wpływ na ich powrót. Jasne jest, że nie wracają tam, skąd pochodzą, wracają do społeczeństwa. Okres ich reintegracji społecznej będzie dla nich skrócony" – mówiła Ostanina.

jest z wieloma mężczyznami wracającymi z wojny – nie tylko w Rosji. Główny problem w Rosji polega jednak na tym, że znaczna część z nich to kryminaliści, ludzie popełniający wcześniej ciężkie przestępstwa, teraz tym groźniejsi, że na wojnie nabyli często specjalistyczne umiejętności bojowe, które nie są formalnie wykorzystywane przez państwo po zakończeniu służby wojskowej, ale mają dużą wartość w świecie przestępczym.

Masowy powrót weteranów z frontu w razie ewentualnego zakończenia działań wojennych doprowadzi nie tylko do fali przestępczości. Jest inny poważny problem: wielu żołnierzy rosyjskiej armii na Ukrainie jest zarażonych wirusem HIV i wirusowym zapaleniem wątroby typu C i nie jest leczonych przez wojsko. Według badań opublikowanych przez Carnegie Endowment, liczba zakażeń HIV w rosyjskiej armii wzrosła 20-krotnie od początku rozszerzonej inwazji Putina na Ukrainę do końca 2024 roku i nie wykazuje żadnych oznak spowol-

Rosyjski rząd przyjął dwutorowe podejście do problemów powracających weteranów: minimalizowanie problemu w mediach i wdrażanie skromnych programów pomocy.

Rosyjski rząd przyjął dwutorowe podejście do problemów powracających weteranów: minimalizowanie problemu w mediach i wdrażanie skromnych programów pomocy. W kwietniu 2023 roku Putin powołał fundusz wsparcia dla uczestników wojny z Ukrainą i ich rodzin. Fundacja Obrońców Ojczyzny ma budżet roczny w wysokości do około 230 mln dolarów, a na jej czele stoi córka kuzynki Putina, wiceminister obrony Anna Cywiliowa. Ale tak naprawdę Kreml nie przygotował się na powrót byłych skazanych, którzy stali się weteranami wojennymi, z Ukrainy i na ich antyspołeczne zachowania. Nie wiadomo dlaczego to zlekceważono, biorąc pod uwagę wcześniejsze doświadczenia z „syndromem afgańskim". Kiedyś „afgańcy", dziś „ukraińcy", mają podobne objawy zespołu stresu pourazowego (PTSD), w efekcie mamy do czynienia z alkoholizmem i narkomanią, niemożnością przystosowania się do normalnego życia w społeczeństwie (na przykład unikanie podjęcia normalnej pracy) oraz uciekaniem się do stosowania przemocy. Ktoś mógłby powiedzieć, że tak to już

nienia. W wyniku tej epidemii oraz rozprzestrzeniania się innych chorób wśród rosyjskich żołnierzy, raport think tanku stwierdza, że „konsekwencje demograficzne i gospodarcze będą odczuwalne przez dziesięciolecia i mogą okazać się nawet bardziej destrukcyjne niż konsekwencje inwazji na Ukrainę". Tym bardziej że Rosjanie zakażeni wirusem HIV nie mają dostępu do niezbędnych testów i leków, a sytuacja ta prawdopodobnie ulegnie pogorszeniu, gdy liczba osób zakażonych powróci do kraju i zwiększy się.

Strach przed końcem wojny

Wzrost przestępczości w Rosji uderza najmocniej w zwykłych obywateli, jednak specyfika tego zjawiska – ściśle związanego z wojną z Ukrainą – już jest odczuwalna na poziomie państwa. Można mówić o wyraźnie zarysowującej się geografii kryminalnej. Przede wszystkim sytuacja pogarsza się w regionach graniczącymi z Ukrainą. Weterani wojenni, z których wielu ma kryminalną przeszłość

eprasa.pl 8145cd3dbe

lub brało udział w grabieżach podczas pobytu na froncie, wracają do domu z bronią i stanowią zagrożenie dla lokalnych władz. Zbroją się też lokalni mieszkańcy. W miejscach, gdzie finansowe i personalne wymagania wojny przeciwko Ukrainie zdziesiątkowały lokalne siły policyjne, uzbrojeni weterani i uzbrojeni mieszkańcy mają nowe możliwości działania poza prawem, nie obawiając się represji. Wzrost przestępczości jest najbardziej dramatyczny w obwodzie kurskim, ponieważ wielu policjantów uciekło stamtąd podczas ukraińskiej ofensywy w sierpniu 2024 roku i późniejszej wielomiesięcznej okupacji. Pozostawia to przestępcom więcej miejsca do działania, nawet teraz, gdy obszar ten ponownie znajduje się pod kontrolą Rosji.

Trzy źródła wzrostu przestępczości w obwodzie kurskim występują również w innych częściach kraju – wskazują analitycy Jamestown Foundation. Pierwszym jest niedobór policjantów, który stał się krytyczny w ciągu ostatnich trzech lat, ponieważ wielu funkcjonariuszy zrezygnowało ze służby w policji, aby podjąć lepiej płatną pracę w wojsku. Wiele komend policji w całej Rosji ma obsadzonych tylko 80 proc. etatów stanowisk, co ogranicza ich zdolność do walki z gwałtownym wzrostem przestępczości. Drugim źródłem rosnącej przestępczości są weterani powracający z wojny z Ukrainą. Wielu z nich będzie w stanie ponownie zintegrować się ze społeczeństwem, ale nawet niewielki odsetek weteranów używających broni do utrzymania dochodów, które mieli podczas służby, będzie stanowić ogromny problem dla organów ścigania. Zwiększony napływ broni do Rosji jest trzecim czynnikiem, który w największym stopniu przyczynia się do wzrostu liczby przestępstw z użyciem przemocy. Przed rozpoczęciem inwazji na Ukrainę w 2022 roku w rękach prywatnych znajdowało się aż 20 mln sztuk broni, z czego większość nie była zarejestrowana zgodnie z wymogami prawa. Teraz to prawdopodobnie nawet dwa razy więcej. Większość nowo nabytej broni nie jest zarejestrowana, ale została nabyta bezpośrednio lub pośrednio od weteranów.

Kreml może być szczególnie zaniepokojony powyższymi zjawiskami w regionach, do których powróci więcej żołnierzy. Biedniejsze regiony oraz republiki niebędące częścią etnicznej Rosji, z których Moskwa rekrutowała najwięcej żołnierzy, mogą być szczególnie niezadowolone z nowej powojennej sytuacji. Nieoficjalnie Kreml obawia się pogorszenia sytuacji w miarę powrotu do kraju kolejnych weteranów wojny. Jak dotąd powróciło jedynie 140 z około 700 tys. rosyjskich żołnierzy, którzy walczyli przeciwko Ukrainie. Liczba przestępstw, zwłaszcza tych z użyciem przemocy, prawdopodobnie wzrośnie wraz z powrotem kolejnych pół miliona żołnierzy, a reżim Putina nie dysponuje organami ścigania niezbędnymi do skutecznego reagowania. Kreml może wykorzystać wojsko i Federalną Służbę Bezpieczeństwa (FSB) do utrzymania porządku, ale brakuje mu długoterminowej strategii egzekwowania prawa.

Na początku bieżącego roku były minister spraw wewnętrznych i były wicepremier, generał Anatolij Kulikow otwarcie przyznał, że po zakończeniu wojny może nastąpić gwałtowny wzrost przestępczości. Ostrzegł, że władze muszą już teraz przygotować się na neutralizację zagrożeń ze strony demobilizowanych żołnierzy, żołnierzy kontraktowych i innych, w tym rekrutowanych z więzień. Przypominając historię Związku Sowieckiego w pierwszych latach po tzw. wielkiej wojnie ojczyźnianej (1941–1945), Kulikow zwrócił uwagę, że wśród byłych poborowych obserwowano wzrost „bandytyzmu" i „jest to również coś, co siły bezpieczeństwa, służby bezpieczeństwa i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych muszą bardzo dokładnie wziąć pod uwagę, aby zapobiec wzrostowi przestępczości". Tymczasem oficjalnie Kreml powtarza, że drastyczny wzrost przestępczości nie ma nic wspólnego z wojną, a jest odzwierciedleniem innych problemów.

Powrót weteranów wywoła falę przestępczości na niespotykaną dotąd skalę, znacznie większą niż ta, która nastąpiła po Afganistanie, a być może nawet większą niż po zakończeniu II wojny światowej, co wtedy skłoniło Stalina do jeszcze większego zaostrzenia represji (niewykluczone, że coś podobnego planuje zrobić Putin, i to by mogło tłumaczyć obecną politykę Kremla wobec problemu rosnącej przestępczości związanego z powrotem weteranów). Jeśli obawy o wielką falę przestępczości okażą się słuszne i jeśli fala ta połączy się z rosnącą popularnością radykalnych grup nacjonalistycznych, Kreml prawie na pewno będzie zmuszony podjąć działania – nie z troski o obywateli, lecz z konieczności utrzymania monopolu władzy na używanie siły. Reżim nie może dopuścić do powstawania jakichś zbrojnych grup, na przykład samoobrony obywatelskiej w nękanych przez kryminalistów wspomnianych regionach przygranicznych czy bojówek polujących na imigrantów. Prawdopodobnie doprowadzi to do nasilenia represji nie tylko wobec weteranów powracających z Ukrainy, lecz także wobec ogółu Rosjan. Inną możliwą reakcją może być decyzja Putina, że najlepszym sposobem na ograniczenie zagrożenia falą przestępczości jest ograniczenie liczby weteranów, którzy powrócą do kraju. Najłatwiej zrobić to poprzez wysłanie ich na nową wojnę. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe

POKÓJ, KTÓREMU NA IMIĘ WOJNA

Maciej Kożuszek



eprasa.pl 8145cd3dbe

Można uznać, że wszystko idzie w dobrym kierunku, jeśli tylko na chwilę zapomnimy, że przy stole musi zasiąść jeszcze Rosja – tak można by podsumować ostatnie wysiłki pokojowe administracji Trumpa, do których zaprzęgnięto Europę i Ukrainę. Gwarancje bezpieczeństwa i deklaracja udziału w nich USA, rozważania o terytorialnych koncesjach, de facto czy de jure – to wszystko ważne ustalenia, ale nabiorą mocy pod jednym warunkiem – wojna musi dobiec końca. A o tym, czy to się stanie, ciągle decyduje Rosja.

FOT. WWW.WHITEHOUSE.GOV

Lektura reakcji liberalnych komentatorów i ekspertów na tydzień, w którym obserwowaliśmy spotkanie Trump–Putin na Alasce i amerykańsko-europejsko-ukraiński szczyt w Białym Domu, nasuwa jeden wniosek. Skupianie się na Trumpie i krytykowanie jego zachowania czy gestów pozwala na pominięcie faktów, które wszyscy znają, i zapomnienie na chwilę o własnej bezradności. Łatwiej jest mówić na przykład o tym, że Trump chce wymóc na Zełenskim terytorialne koncesje, a dzielni Europejczycy jadą do Waszyngtonu, by bronić prezydenta Ukrainy, niż o tym, że nikt nie ma ochoty, wiary ani gotowości do poświęceń, by rosyjskie zyski terytorialne zatrzymać czy nawet odwrócić. Mówi się na przykład, że Trump nie rozumie dyplomacji, daje się ograć Putinowi, a Steve Witkoff powtarza brednie rosyjskiej propagandy. Magazyn „Foreign Policy", jako przykład innej postawy, z uznaniem cytuje prezydent Macrona, który na konferencji po spotkaniu w Białym Domu stwierdził: „Nie jestem przekonany, że prezydent Putin także pragnie pokoju". Warto jednak pamiętać, że gdy Francja i Niemcy, z błogosławieństwem Obamy, „kończyły wojnę" w 2014 roku, brały rosyjskie pragnienie pokoju za dobrą monetę i same przyczyniły się do umocnienia rosyjskiej propagandy, siadając przy stole z przedstawicielami „ludowych" republik, ługańskiej i donieckiej.

Fakty są takie, że Rosja wojny nie przegrywa i nic – poza bezpośrednim, kinetycznym wsparciem Ukrainy, na które nikt nie jest gotowy – tego raczej nie zmieni. Trumpowi zarzuca się, że uzyskuje koncesje od sojuszników, a nie od Rosji. Ale Europejczycy, sygnalizujący gotowość wysłania wojsk na Ukrainę, sami stawiają warunki. Po pierwsze, najpierw wojna musi się skończyć (ktoś i jakoś musi to zrobić). Po drugie, USA muszą udzielić im wsparcia.

Bezradność Europy i jej eksperckich apologetów, przykrywana trwaniem w „duchowym sojuszu" z Kijowem i moralnym wsparciem połączonym z minimum poświęceń, ale też naiwne czasem oczekiwanie Trumpa, że symboliczne gesty w stronę Putina obudzą w nim z powrotem racjonalne, polityczne i ugodowe zwierzę, są powtórką historycznej prawidłowości, zaobserwowanej w 1938 roku, w marcu i wrześniu 1939 roku, a nawet w maju 1940 roku. Ci, którzy za wszelką cenę chcą uniknąć wojny, są w stanie przekonać sami siebie do rzeczy, w które normalnie nigdy by nie uwierzyli. Są gotowi na inicjatywy dyplomatyczne, dające nawet promil szansy powodzenia. A ten, który wojny się już nie boi, bo często już się do niej przyzwyczaił, zawsze będzie miał nad nimi przewagę, dysponując narzędziami, po które oni nigdy nie sięgną.

Trump i Rosja

„Myślę, że on chce zawrzeć umowę dla mnie, rozumiesz" – tę wypowiedź Donalda Trumpa, skierowaną

eprasa.pl 8045cd3dbe

do Emmanuela Macrona, wychwyciły mikrofony podczas spotkania w Białym Domu. Nie ma w sumie znaczenia, czy prezydent USA naprawdę wierzył w dobrą wolę Putina, czy może chciał tylko przekonać wszystkich, że „deal" wcale nie jest daleko. Bo już wkrótce Rosjanie pokazali, że w tych negocjacjach dysponują większą gamą narzędzi. W teorii zgodzili się na gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, w praktyce zażądali prawa weta. Spotkanie trójstronne, w którym miałby wziąć udział też Trump, odłożyli na półkę, a w sprawie spotkania Putin–Zełenski, na które w teorii się zgodzili, zaczęli stawiać warunki, jak na przykład propozycja zorganizowania go w Moskwie, których głównym celem zdawało się być storpedowanie inicjatywy.

Potem Moskwa sięgnęła po środki kinetyczne. W Polsce, 130 kilometrów od wschodniej granicy NATO, spadł rosyjski dron Shahed, w bardziej dobitny sposób obrazujący słowa Siergieja Ławrowa, że Rosja może zaakceptować niektóre warunki, o ile rozwiążą one problem „źródłowych przyczyn" konfliktu na Ukrainie. A te, jak pamiętamy z tekstu ultimatum z grudnia 2021 roku, dotyczą nie samej Ukrainy, lecz także właśnie wschodniej flanki NATO. Później Rosjanie uderzyli na amerykańską inwestycję, fabrykę w Mukaczewie, nie pozostawiając wielu wątpliwości co do tego, że nie był to przypadek. To południowo-zachodni narożnik kraju, tuż przy granicy z Węgrami, Słowacją i Rumunią. To miejsce, jak na Ukrainę, relatywnie bezpieczne, gdzie rakiety raczej wcześniej nie spadały.

Historia uczy też jednak, że ci, którzy zbyt uwierzą w swoją kinetyczną przewagę, mogą wkrótce się przekonać, że jej zasoby nie są niewyczerpane, szczególnie jeśli skieruje się ją w stronę USA. Założenie operacyjne Putina i jego otoczenia zdaje się obstawiać scenariusz „znużonego Trumpa", tzn. wypełnienie się zapowiedzi, które składali J.D. Vance czy Marco Rubio – jeśli rozmowy nie przyniosą efektów, USA po prostu się wycofają. Ale możliwy jest też inny scenariusz, frustracja dyplomacją obudzi „złego Trumpa". Liczą na to ci, którzy wierzą, że, wzorem pierwszej kadencji, pomimo Helsinek, ciepłych słów o Putinie, ostateczny bilans prezydentury Trumpa będzie dla Moskwy niekorzystny.

Kim jest „zły Trump"? Słychać go było w telefonicznej rozmowie z Fox News z marca 2022 roku, gdy ówczesny były prezydent wściekał się, że Ameryka nie wykorzystuje swoich zdolności, swojego „wspaniałego sprzętu wojskowego", by konkretniej zareagować na rosyjską agresję. Podobnie o pierwszej reakcji na wojnę pisał Bob Woodward w książce „War", opierając się na relacjach m.in. senatora Lindsaya Grahama i innych, którzy wtedy byli blisko Trumpa. „Wołodymyr, czy mógłbyś trafić w Moskwę? Czy dałbyś radę trafić w Sankt Petersburg?" – miał zapytać Trump podczas lipcowej rozmowy telefonicznej z Zełeńskim, o której treści donosiło kilka mediów, m.in. „Financial Times" czy „The Telegraph". Zełenski miał wówczas powiedzieć, że byłoby to możliwe, gdyby otrzymał odpowiednie zachodnie uzbrojenie.

Trump, wzorem Nixona wykonującego ten sam gest w stronę Chruszczowa, napisał: „Jest bardzo trudno, być może niemożliwe, wygrać wojnę bez atakowania kraju najeźdźcy. To tak jakby wspaniały zespół sportowy miał wspaniałą obronę, ale miał zakaz atakowania. Nie ma szans na zwycięstwo. Tak jest z Ukrainą i Rosją". I dodał, że „skorumpowany i okropnie niekompetentny Joe Biden nie chciał pozwolić Ukrainie na ODWET, tylko na OBRONĘ. I jak to zadziałało?" – stwierdził Trump, przypominając fakt, że przez większość wojny Ukraińcy mieli zakaz używania zachodnich pocisków jak HIMARS czy brytyjski STORM SHADOW do uderzeń na cele znajdujące się na terenie Rosji.

Oczywiście to błogosławieństwo udzielone eskalacji, rękami ukraińskimi, może wynikać z poczucia Trumpa, że brakuje mu środków realnego nacisku na Putina. Prezydent USA chciałby powiedzieć rosyjskiemu autokracie: „dwóch może grać w tę grę"

Trump jako ojciec zjednoczonego Zachodu?

Czy zmiana nastawienia Trumpa to tylko chwilowa reakcja, odreagowanie za pomocą, charakterystycznego dla niego, impulsywnego wpisu w mediach społecznościowych? Jednym z najmniej oryginalnych stwierdzeń wypowiadanych przez ekspertów jest „Trump często zmienia zdanie". Ale bardziej trafne byłoby powiedzieć, że obecny prezydent USA nie przywiązuje się do pojedynczych deklaracji i używa ich jako narzędzi w relacjach z innymi przywódcami. Kim Dzong Un może utrzymać pochwałę jako „wspaniały przywódca" albo zostać nazwany „małym człowiekiem-rakietą" i usłyszeć, że USA mogą zetrzeć jego kraj z powierzchni ziemi. Putin może zostać zaproszony do „bestii", a potem dowiedzieć się, że Trump zachęca Ukrainę do uderzeń na Rosję.

Eksperci, szczególnie ci liberalni, chętnie wybierają te wypowiedzi, które pasują do ich sposobu postrzegania Trumpa, i na ich podstawie formułują diagnozy, które na koniec mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. I tak słyszeliśmy, że spotkanie na Alasce to powtórka z Monachium, a czerwony dywan tylko to potwierdza – tę wersję podtrzymywano, mimo, że Trump powtarzał, iż „nie ma dealu, dopóki nie ma dealu", i wyglądał na zawiedzionego tym, co udało się osiągnąć. Z tego wyciągnięto dalsze wnioski: skoro Alaska to Monachium, to Trump wezwał Zełenskiego, by wymusić na nim koncesje, których już Putinowi udzielił. Z tego płynął następny wniosek: europejscy przywódcy jechali do Waszyngtonu, by ochronić Zełenskiego przed presją na ustępstwa o egzystencjalnej dla Kijowa wadze.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Tyle że dla kogokolwiek, kto nie cierpi na „syndrom antytrumpowego zaburzenia", rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Biały Dom zrobił wszystko, by spotkanie z Zełenskim było przeciwieństwem słynnej wcześniejszej kłótni. Wiceprezydent J.D. Vance powiedział nawet w późniejszym wywiadzie, że obiecał prezydentowi Ukrainy, iż tym razem nie będzie zabierał głosu, jeśli ten pierwszy „odpowiednio się zachowa". Te starania po stronie Trumpa wybiły też z ręki argumenty tym, którzy twierdzili, że awantura sprzed kilku miesięcy była przez Biały Dom celowo zaplanowana. Podczas niedawnego spotkania Trump nie robił też wrażenia kogoś, kto europejskich przywódców przyjmuje jako wchodzących w drogę jego planu oddania Rosji Donbasu. Było wręcz przeciwnie, prezydent USA był zachwycony. Podkreślał, jak po raz pierwszy w historii w Białym Domu jest tylu przywódców, chwalił swoich gości i zachęcał do zabierania głosu.

„The New York Times" nazwał spotkanie w Białym Domu „mistrzowską lekcją dyplomacji w podlizywaniu się Trumpowi". Z tej charakterystyki ma wynikać, że oprócz zaspokojenia nienasyconego ego Trumpa, niewiele z tych rozmów wynikło. Owszem, reakcja Rosji pokazuje, że dobra atmosfera na linii Trump–Europa plus Zełenski nie przekłada się na przybliżenie zakończenia wojny. Ale bilans na tym się nie kończy. Fakt, Trump jest uzależniony od sukcesów, i fakt, łatwiej mu uzyskać realne koncesje od sojuszników niż geopolitycznych rywali. Tyle że te koncesje stawiają Trumpa i USA w zupełnie innym miejscu, niż chcieliby je widzieć stratedzy od „wyjścia z Europy", których z taką lubością i pryncypialnością cytują też polscy eksperci. Trump podczas spotkania w Białym Domu wychwalał umowę handlową, którą zawarł z obecną w Waszyngtonie szefową Komisji Europejskiej. Ale Ursula von der Leyen musiała się zgodzić na wszystkie żądania Trumpa, a Friedrich Merz chwalił umowę, bo cło wyniosło nie 30 proc., jak zapowiadał prezydent USA, ale tylko 15 proc., także dlatego, że Europa musi liczyć na Amerykę w kwestii bezpieczeństwa. W języku Trumpa NATO zaczęło być pojęciem wymienianym przede wszystkim w pozytywnym kontekście. Eksperci być może powiedzą, że Trump się myli, a głębsze uwiązanie w Europie jest sprzeczne z interesem USA, bo rozmieniają na drobne swój potencjał potrzebny na Pacyfiku. Ale instynkt biznesmena podpowiada Trumpowi, że to grzech odrzucić dobry deal, który jest pod ręką, w zamian za obietnicę abstrakcyjnych korzyści w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Mit antywojennej MAGA

Jedną z przyczyn tych wszystkich błędów ekspertów jest przecenianie znaczenia i wpływów frakcji „zachowawczej" (ang. restrainers), dawniej nazywanej „izolacjonistyczną". Tucker Carlson czy Steve Bannon to medialne potęgi, ale niekoniecznie mają przełożenie na najbliższe otoczenie Trumpa, co widać było, gdy ich krytyka uderzenia na Iran właściwie nie przełożyła się na żaden realny kryzys polityczny administracji. Starcie o wpływy z Elonem Muskiem zakończyło się ostatecznie kapitulacją tego drugiego i wnioskiem, że kontrola Trumpa nad ruchem MAGA jest dużo lepsza, niż się wielu wydaje.

Eksperci, wyrzucający Trumpowi częstą zmianę zdania, sami mają tendencję trzymania się poglądów, które już dawno się zdezaktualizowały. Jednym z nich jest przekonanie, że ruch MAGA żąda od Trumpa wycofania Ameryki z Europy i oczekuje końca wydatków na rzecz Ukrainy. Jeśli Trump nie doprowadzi do pokoju, głosi ta mądrość, jego wyborcy tego nie zaakceptują.

To jednak odrobinę przebrzmiała melodia. Ośrodek Chicago Council, który prowadzi regularne i wiarygodne badania nastawienia Amerykanów do konfliktu na Ukrainie, odnotował, że mniej więcej od początku kadencji Trumpa aż o 21 punktów procentowych wzrosła liczba republikanów, którzy popierają wysyłanie wsparcia sprzętem wojskowym Ukrainy (w marcu 2025 roku popierało to 30 proc., a w lipcu już 51 proc. republikanów). W sumie dalsze wspieranie Ukrainy popiera 75 proc. Amerykanów, a 77 proc. (w tym 74 proc. republikanów) popiera dalsze sankcje.

Widać też, że przynajmniej na poziomie politycznym. To ważne także w kontekście przyszłorocznych wyborów śródterminowych, Trump wcale nie jest pod jakąś presją, by jak najszybciej osiągnąć pokój. W ankiecie zadano pytanie: „Czy dalej popierałbyś sankcje, wsparcie sprzętowe, ekonomiczne, jeśli Rosja odrzuci propozycje pokojowe?". We wszystkich przypadkach poparcie utrzymało się na tym samym poziomie albo nieznacznie wzrosło.

Oznacza to w praktyce tyle, że, wbrew temu co mogą myśleć Rosjanie i sugerować eksperci, Trumpowi wcale nie musi się spieszyć. Można nawet zaryzykować tezę, że jeśli Kreml przedobrzy w pokazywaniu, jak nic sobie robi ze wszystkich marchewek wystawianych przez Biały Dom, to może osiągnąć niezamierzony efekt zjednoczenia Amerykanów „wokół flagi" i prezydenta, który powie „dość tych zniewag".

Doradcy Putina mogą sugerować, że gra na czas jest korzystna, bo w końcu Trump się znuży sowiecką metodą dyplomacji i wypełni się zapowiedź wiceprezydenta Vance'a – zdegustowana Ameryka po prostu odejdzie od stołu, rozwiązanie dla Rosji idealne, bo Putin jest przekonany, że z Kijowem i samą Europą poradzi sobie dużo łatwiej. Ale spotkanie w Waszyngtonie, choć może nie przysunęło pokoju dużo bliżej, to pokazało, że wspólnota interesów między Europą a USA Trumpa ciągle istnieje, a irytacja przeciągającymi się negocjacjami może też obrócić się przeciw Rosji. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe



SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH NIEMIECKIEGO MYŚLENIA O NAZIZMIE

Michał Kuź

Niemiecka kultura pamięci – długo przedstawiana jako europejski ideał moralnej odpowiedzialności – znalazła się dziś na rozdrożach. Najbardziej kontrowersyjne tezy, które krążą dziś po niemieckim dyskursie historycznym, określam jako „siedem grzechów głównych niemieckiej pamięci historycznej". Odsłaniają one wszystkie głębszy konflikt o to, kim Niemcy chcą być: narodem, który z pokorą przyznaje się do swoich win, czy państwem, które instrumentalizuje przeszłość w imię swoich mocarstwowych interesów.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Wydaje się, że odpowiedzialna kultura pamięci powinna bronić wyjątkowości Holokaustu jako fundamentu niemieckiej odpowiedzialności i jednocześnie nie unikać rozmowy o innych krzywdach historycznych – lecz rozmowy uczciwej, która nie zabiera głosu ofiarom na rzecz politycznej narracji.

Grzech pierwszy: Wyjątkowość Niemiec i ich przywódcza rola w Europie

Niemcy postrzegają często swoją historię jako unikalną – zarówno w aspekcie tragicznych doświadczeń z okresu nazizmu, jak i w kontekście procesu „odkupienia" dawnych win, który nadaje im równocześnie na powrót przywódczą pozycję w Europie. W tym ujęciu ich kultura pamięci staje się nie tylko mechanizmem wewnętrznej refleksji, lecz także narzędziem dydaktycznym, mającym za zadanie przekazywanie innym narodom lekcji wynikających z niemieckiej przeszłości.

Niemiecki proces Vergangenheitsbewältigung (przezwyciężenie przeszłości) jest silnie zakorzeniony w tradycji refleksji nad winą i odpowiedzialnością narodową. Niemieckie instytucje pamięci, które przez dekady były uważane za wzór, umożliwiają ich elicie publicznej prezentowanie modelu „nieszablonowego" państwa, które uczy się na własnych błędach, jednocześnie podejmując inicjatywy upamiętniające własną historię w sposób krytyczny i uniwersalny.

W efekcie niemiecki przekaz na temat własnej przeszłości niejednokrotnie jawi się badaczom pokroju prof. Krzysztofa Ruchniewicza (obecnego szefa Instytutu Pileckiego) jako element prawnie i politycznie usankcjonowanego modelu tożsamości w UE. Takie podejście potwierdzają również zarówno doświadczenia historyków zaangażowanych w tzw. Historikerstreit (spór historyków, który miał miejsce w Niemczech Zachodnich pod koniec lat 80. XX wieku i dotyczył interpretacji historii nazizmu), jak i inne współczesne debaty o reformie kultury pamięci. Jak to ujął prof. Marek Cichocki: „Dziś przeważa opinia, że Niemcy odrobili lekcję historii i znaleźli się w lepszym posthistorycznym świecie. Teraz żywią oczekiwanie, że inne narody, tak jak oni, również uwolnią się od swojego balastu historii. Stąd bierze się dzisiejsza niemiecka wizja Europy jako obszaru poza historią". Jednocześnie Cichocki zauważa, że Niemcy widzą też po części siebie jako zbiorowego Fausta, czyli jednostkę (naród) demoniczną, ale zarazem wielką i poniekąd właśnie przez swoją demoniczność intrygującą. Niemcy w tym ujęciu są niejako predestynowane, by być czymś, co przeraża lub zachwyca, ale na pewno nie jest słabe lub żałosne.

Grzech drugi: Rozdzielenie tożsamości – naziści jako „inni"

Pokaźna część niemieckiego dyskursu historycznego dąży równocześnie do wyizolowania zjawiska nazizmu od reszty dorobku narodowego. Według tego podejścia naziści są postrzegani jako obca grupa, która nie odzwierciedla istoty niemieckiej tożsamości, lecz stanowi swoisty niefortunny wypadek. Towarzyszy temu przekonanie, że okresem nazizmu powinny zajmować się jedynie specjalistyczne instytucje.

Tradycyjnie narracja ta objawiała się m.in. w skłonności do przedstawiania zbrodni nazistowskich jako dzieła określonych elit, odseparowanych od mas społeczeństwa. Klasycznym przykładem są debaty i kontrowersje wokół ceremonii w Bitburgu w 1985 roku, kiedy to prezydent USA Ronald Reagan i kanclerz RFN Helmut Kohl złożyli wieniec na cmentarzu wojskowym, gdzie spoczywało około 2 tys. niemieckich żołnierzy, w tym także członkowie Waffen-SS.

Dziś pokrewnym problemem stało się fetowanie „wyzwolenia Niemiec". Kanclerz Merz w rozmowie z Donaldem Trumpem stanowczo odrzucił bowiem sugestię, że na przykład lądowanie w Normandii mogło być dla Niemiec „przykrym" wydarzeniem. Wprost przeciwnie podkreślał, że było to „wyzwolenie" jego narodu spod dyktatury nazistowskiej.

Tym samym historia nazizmu, choć kluczowa dla oceny moralności państwa niemieckiego, zostaje potraktowana jako odizolowany epizod dotyczący wręcz jakiegoś innego niby-państwa, którego już nie ma. Przeciętni obywatele mogą zaś spać snem sprawiedliwych, bo przecież oni i ich rodziny zostali od władzy nazistowskiej wyzwoleni tak samo jak reszta Europy.

Grzech trzeci: Zaprzeczanie rodzinnej odpowiedzialności za nazizm

W efekcie znacząca część społeczeństwa niemieckiego uważa, że jej przodkowie nie byli bezpośrednio zaangażowani w zbrodnie nazistowskie, co umożliwia dalsze umacnianie przekonania o moralnej czystości „normalnych" Niemców, zwłaszcza wśród ludzi młodych. Według badań przeprowadzonych również przez Uniwersytet w Bilerfeld w 2018 roku 54,4 proc. Niemców zalicza swoją rodzinę do ofiar polityki Hitlera, a tylko 17,7 proc. przyznaje, że wśród ich przodków byli sprawcy nazistowskich zbrodni.

W kontekście niemieckiego dyskursu historycznego, mechanizm wyparcia win przodków jest ściśle powiązany z koniecznością ucieczki od indywidualnej konfrontacji z winą. W wyniku przeniesienia ciężaru odpowiedzialności na abstrakcyjną kategorię „systemu nazistowskiego", jednostki mogą uniknąć emocjonalnego zaangażowania i krytycznej autorefleksji nad rodzinnymi korzeniami historycznymi.

Taki sposób myślenia jest jednak również wspierany przez szeroko zakrojoną kulturę pamięci, która skupia się na postaciach wielkich architektów zagłady (Hitler,

FOT. NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

eprasa.pl 8145cd3dbe

Himmler, Eichmann, Heydrich itp.), a niekoniecznie na codziennych, indywidualnych historiach popełniania zbrodni. W ten sposób możliwy jest paradoks – państwo, które na arenie międzynarodowej promuje model odpowiedzialności zbiorowej, wewnętrznie umożliwia jednostkom odcięcie się od własnej spuścizny, co dodatkowo komplikuje proces autentycznego pojednania z przeszłością.

Samuel Salzborn w swojej książce „Zbiorowa niewinność. Wypieranie Szoah z niemieckiej pamięci" (2020) zauważa, że w niemieckiej polityce pamięci z jednej strony występuje zanik pamięci o Holokauście i zbrodniach narodowego socjalizmu, a z drugiej – obsesyjne upamiętnianie niemieckiej historii niezwiązanej z tym okresem, w tym przedstawianie Niemców jako ofiar (na przykład w debatach o alianckich nalotach, wysiedleniach czy projektach wystaw o dynastii Hohenstaufów i Prusach). Następuje też gloryfikowanie republiki Weimarskiej, w której pogarda dla demokratycznego systemu sprawowania władzy i podważanie powersalskiego ładu w Europie były przecież powszechne na długo przed dojściem Hitlera do władzy. Mimo to w muzeum Historii Niemiec w Berlinie okres 1918 –1933 przedstawiany jest niemal jako idylla, którą z niewiadomych przyczyn zakłóciły wyrosłe spod ziemi potwory – czyli naziści.

Do rangi ponurego symbolu urasta fakt, że otwarte w 2021 roku Centrum Dokumentacji „Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie" (dawny projekt Eriki Steinbach, dokumentujący m.in. wypędzenie Niemców z dzisiejszej zachodniej Polski) mieści się w Berlinie przy Stresemannstraße 90. A więc na ulicy im. Augusta Stresemanna, kanclerza oraz ministra spraw zagranicznych Niemiec w latach 1923–1929, człowieka odpowiedzialnego za bezwzględną politykę wobec Polski, mającą na celu likwidację „polskiego korytarza" dzięki wojnie celnej i działalności mniejszości niemieckiej, a także sygnatariusza niesławnego paktu niemiecko-sowieckiego z 1926 roku. Słowem – człowieka, który jak mało kto podkopał ład wersalski, zbliżając Europę do kolejnej wojny.

Grzech czwarty: Lokalizacja obozów zagłady i stereotypy o polskim antysemityzmie

Czwarta przewina niemieckiej polityki historycznej dotyczy przekonania, iż lokalizacja obozów zagłady na terytorium Polski miała związek z powszechnym w tej części Europy zjawiskiem antysemityzmu. Głoszący taką tezę argumentują, że geograficzne umiejscowienie obozów wynikało z założenia o „normalności" antysemityzmu w regionie. Wspominany już Salzborn jako przykład podaje film „Nasze matki, nasi ojcowie", wyprodukowany w 2013 roku przez niemiecką telewizję ZDF, pisząc, że dostrzega w nim silny związek przedstawiania siebie-Niemców jako ofiar z „przerzucaniem antysemityzmu na Polaków".

Tymczasem realia historyczne pokazują raczej, że decyzje logistyczne dotyczące lokalizacji obozów wynikały przede wszystkim z militarnych i administracyjnych uwarunkowań czasu okupacji, a nie z kulturowych stereotypów lokalnej ludności, które akurat okupantów najmniej obchodziły.

Napięcia w bieżącej polityce polsko–niemieckiej, takie jak aktualna polityka migracyjna RFN czy kwestia reparacji itp., zdają się jednak popychać coraz liczniejszych komentatorów i historyków niemieckich do tego, by akurat teraz rozważać publicznie polską współwinę za Holokaust. Można wręcz mówić w ostatnich miesiącach o zorganizowanej akcji.

O tym, że debata o polskiej winie ma się stać integralną częścią mającego powstać w Niemczech tzw. Domu Polskiego, mówił wszak niedawno Peter Oliver Loew, dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt. Loew oczywiście odciął się od oskarżeń o rewizjonizm. Potem jednak korespondent niezwykle opiniotwórczego „Frankfurter Allgemeine" – Stefan Locke – opublikował artykuł, utrzymany w bardzo podobnym duchu. Tytuł: „Długi cień Jedwabnego" zdaje się mówić sam za siebie. Locke sugeruje w tekście, że temat zupełnie oczywistej polskiej współwiny za Holokaust jest trudny „szczególnie dla PiS".

Pojawiło się też w Niemczech niedawno wiele pomniejszych publikacji w podobnym tonie. Nie da się ukryć, m.in. takich, które komentują negacjonistyczne wypowiedzi Grzegorza Brauna. W pewnym sensie takie swoiste ostrzeżenia można odczytać jako niemiecki ruch wyprzedzający w reakcji na możliwy powrót Prawa i Sprawiedliwości do władzy oraz zwycięstwo Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich. Przekaz wydaje się być mniej więcej taki: „Uderzymy w was czarnym historycznym PR-em, jeśli tylko znowu poruszycie kwestię reparacji".

Grzech piąty: Zły polski heroizm i dobry heroizm niemiecki

Dość powszechną praktyką jest też ostentacyjne upamiętnianie tych nielicznych Niemców, którzy stawili nazizmowi opór, przy jednoczesnym traktowaniu historycznej dumy innych narodów jako przejawu szowinizmu. W niemieckim dyskursie historycznym akcentuje się postacie takie jak Sophie Scholl czy Dietrich Bonhoeffer oraz innych przedstawicieli ruchów oporu, którzy stają się symbolami moralnej przewagi wobec przeszłości nazistowskiej. W rzeczywistości jednak ich postawa była zjawiskiem stosunkowo marginalnym. Fascynującą postacią jest w tym kontekście także pułkownik Claus von Stauffenberg – do końca przekonany rasista i niemiecki supremacjonista, który jednak dokonał zamachu na Hitlera, uznając go za nieudolnego przywódcę Trzeciej Rzeszy.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Takie podejście kontrastuje z polską narracją historyczną, gdzie liczne przykłady heroizmu i walki o wolność stanowią centralny element tożsamości narodowej – co Niemcy nierzadko krytykują. Namawiają oni raczej Polaków do mówienia o tzw. sprawach trudnych (choć kolaboracja nie była przecież w Polsce czymś masowym) i wygaszania pamięci o polskich bohaterach, takich jak rtm. Witold Pilecki czy ojciec Maksymilian Kolbe.

Mnie osobiście porusza chyba z racji mojego wyznania zwłaszcza instrumentalne wykorzystanie postaci Dietricha Bonhoeffera. Ten zamordowany w obozie w 1945 roku duchowny był przecież w obrębie wielkiego pruskiego kościoła luterańskiego (Evangelische Kirche der altpreußischen Union) postacią niemal zupełnie osamotnioną i odrzuconą z powodu swego sprzeciwu wobec antysemickich ustaw wykluczających z grona wiernych osoby pochodzenia żydowskiego. Dziś Bonhoeffer zapewne przewraca się w grobie, widząc, jak staje się symbolem tego samego Kościoła, którego oficjele idąc śladami biblijnego Judasza, sami swoich braci w wierze wydawali na śmierć.

Grzech szósty: Żądanie reparacji i upamiętnienia jako odchył nacjonalistyczny

Żądania reparacyjne za zbrodnie przeszłości – zarówno w odniesieniu do II wojny światowej i Holokaustu, jak i kolonializmu (na przykład za ludobójstwo w Namibii) – bywają w niemieckiej sferze publicznej przedstawiane jako przejaw nacjonalistycznej polityki pamięci po stronie wysuwających takie roszczenia. W przypadku Polski na przykład podnoszenie kwestii odszkodowań miałoby rzekomo sprzyjać „graniu kartą antyniemiecką" przez „narodowo-konserwatywnych" polityków z PiS.

Tę optykę wzmacnia przekonanie o roli Niemiec jako „mocarstwa moralnego", które – skoro już publicznie wyznało winy – ma prawo pouczać innych. W takim paradygmacie postulaty reparacyjne bywają odrzucane jako anachroniczne, niesprawiedliwe lub instrumentalne. O planowanym w Berlinie pomniku polskich ofiar okupacji też długo pisano jako o szkodliwej „nacjonalizacji pamięci" i należy tu uczciwie przyznać, że fakt, iż pomnik ma jednak powstać, jest dużym sukcesem ludzi dobrej woli po obu stronach naszej zachodniej granicy.

Grzech siódmy: Uniwersalność nazizmu

Sugerowanie, jak czynił to chociażby brytyjski filozof Roger Scruton, że nazizm jest zjawiskiem endemicznie niemieckim, bywa w Niemczech postrzegane jako przejaw antyniemieckiego szowinizmu. Krytycy tego podejścia uważają, że taka interpretacja historii zniekształca rzeczywistość; wolą wpisywać nazizm w szerszy kontekst ekstremizmu, totalitaryzmu i tzw. dyskursów nienawiści. Skutkiem bywa jednak zbyt częste redukowanie każdego nieliberalnego sposobu myślenia o polityce do hitleryzmu oraz dostrzeganie śmiertelnego zagrożenia w każdym niemal nacjonalizmie. Co ciekawe, takie myślenie, dziś powszechne zwłaszcza w kręgach liberalno-lewicowych, ma swoje źródła w pracach historyka uznawanego raczej za prawicowca – Ernsta Noltego. Nolte w swojej najważniejszej pracy „Faschismus in seiner Epoche" („Faszyzm w swojej epoce", 1963) porównywał niemiecki nazizm z włoskim faszyzmem, francuskim ruchem Action Française oraz innymi narodowo-socjalistycznymi ruchami. Dokonywał także daleko idącego moralnego relatywizowania unikalności nazizmu, przedstawiając go głównie jako reakcję na komunizm i stalinizm.

Tego rodzaju dywagacje ostro krytykowali m.in. Jürgen Habermas i inni, uznając je za przejaw apologetyzmu zmierzającego do rozmycia niemieckiej winy zbiorowej. Warto przy tym podkreślić, że specyficznie niemiecka kultura polityczna, funkcjonująca jako połączenie idealistycznego nacjonalizmu z modernizmem, mogła istotnie przyczynić się do szczególnie opresyjnego charakteru zarówno reżimu narodowo-socjalistycznego, jak i socjaldemokratycznego w NRD. Niemiecka polityka – ujmując rzecz w największym skrócie – już od XIX wieku łączyła chęć dialektycznego narzucania arbitralnie przyjętych założeń żywej tkance społecznej (heglowskie: „tym gorzej dla faktów") z bardzo sprawną i efektywną strukturą administracyjnotechniczną, która owe wizje realizowała.

Jak się więc okazuje, współczesny niemiecki dyskurs o przeszłości tworzy wielowymiarową, często sprzeczną, narrację: z jednej strony wzmacnia międzynarodowy autorytet Niemiec poprzez akcentowanie ich rzekomej wyjątkowości w rozliczaniu się z historią, z drugiej generuje napięcia. Izolowanie nazizmu jako aberracji ułatwia zrzucanie odpowiedzialności z jednostek na bezosobowe „zło" systemu; podtrzymuje też mechanizmy zaprzeczania winy rodzinnej i selektywnego pamiętania. Wszystko to utrwala wygodne mity o zbiorowej niewinności i komplikuje relacje z Polską, gdzie próby relatywizowania sprawstwa i „uwspólnotawiania" ofiar spotykają się z silną reakcją niektórych instytucji i opinii publicznej. Niemcy z kolei traktują takie głosy sprzeciwu i żądania zadośćuczynienia jako godne potępienia przejawy rozsadzającego UE nacjonalizmu. Mamy tym samym do czynienia ze swoistym paradoksem – niemiecki nacjonalizm ma we współczesnym wydaniu imperialny i antynarodowy charakter, a niemiecki szowinizm chodzi przebrany za europejski uniwersalizm. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe



Hanna Shen

Kiepskie show „królowej Europy” w Chinach

eprasa.pl 8145cd3dbe



FOT. MAHESH KUMAR A./ POOL/PAP/EPA

Od imigracji przez Zielony Ład aż po sankcje wobec Rosji – Ursula von der Leyen okazała się fatalnym przywódcą Europy. Jej wizyta w Chinach w lipcu bieżącego roku to jedynie kolejna demonstracja jej niekompetencji.

25. Szczyt Unia Europejska–Chiny miał odbyć się w Brukseli. Jednak prezydent Chin Xi Jinping nie wyraził chęci podróży do Europy, w związku z czym unijni liderzy dostosowali się do woli Pekinu i 24 lipca sami udali się do ChRL. Stronę europejską reprezentowali przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen oraz przewodniczący Rady Europejskiej Antonio Costa. Rozmowy nie przyniosły żadnych rezultatów – nie doszło do rozluźnienia rynku chińskiego dla europejskich firm, uregulowania ekspansji handlowej ChRL w Europie, a Pekin nie potępił działań wojennych Putina ani nie wycofał się ze swojego wsparcia dla jego machiny wojennej na Ukrainie.

Tego spotkania nie powinno być

Na trzy tygodnie przed szczytem wydarzyło się coś, co powinno sprawić, że wizyta unijnych urzędników w Pekinie nie powinna się odbyć. Podczas rozmów w Brukseli szef chińskiego MSZ Wang Yi na spotkaniu z Kają Kallas, wysoką przedstawicielką Unii Europejskiej do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, stwierdził, że Pekin nie może sobie pozwolić na to, by Rosja przegrała wojnę na Ukrainie. Argumentował to tym, że ewentualna porażka Moskwy mogłaby pozwolić Stanom Zjednoczonym na skupienie całej uwagi na Chinach.

Wypowiedź Wang Yi była sprzeczna z oficjalnym stanowiskiem Chin, które deklarują swoją neutralność. Kaja Kallas przyznała, że słowa chińskiego dyplomaty ją zaskoczyły. Mimo to tak wyraźne opowiedzenie się Pekinu po stronie Moskwy nie spotkało się z żadną zdecydowaną reakcją ze strony przywódców Unii Europejskiej.

Brak obiektywnej oceny sytuacji

Oczywiście można przypuszczać, że von der Leyen uznała, iż wizyta w Pekinie może, choćby w minimalnym stopniu, stworzyć szansę na zmianę stanowiska Komunistycznej Partii Chin (KPCh) w kwestii wsparcia dla Moskwy. W końcu szczerość Wang Yi w Brukseli to jedynie przyznanie się do tego, co było powszechnie znane. Pekin od początku pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę stoi po stronie Putina. Kilka dni przed atakiem na Kijów Moskwa i Pekin ogłosiły „partnerstwo bez granic", a Xi Jinping poprosił Putina, aby nie rozpoczynał wojny na początku lutego, gdyż w tym czasie w Pekinie odbywały się Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Chiński przywódca nie przekonywał rosyjskiego zbrodniarza, by nie wywoływał wojny, tylko ustalał z nim dogodny termin ataku. Od 24 lutego 2022 roku relacje po-

eprasa.pl 8945cd3dbe

lityczne, wojskowe i gospodarcze obu krajów ulegają dalszemu zacieśnieniu. Pekin nigdy nie potępił rosyjskiej agresji, sprzeciwia się sankcjom nałożonym na Moskwę i nie protestował, gdy potwierdzono zaangażowanie północnokoreańskich żołnierzy w walkach po stronie Federacji Rosyjskiej. ChRL dostarcza Rosji towary podwójnego zastosowania. Wśród nich znajdują się m.in. elektronika, metale ziem rzadkich oraz czujniki. Przywódcy Chin i Rosji spotykają się bardzo często. 9 maja bieżącego roku obok rosyjskiego wojska, które na co dzień prowadzi brutalną wojnę przeciwko Ukrainie, na moskiewskim placu Czerwonym maszerowały siły Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej z okazji 80. rocznicy pokonania nazistowskich Niemiec w II wojnie światowej. Na trybunie honorowej obok Władimira Putina zasiadał prezydent Chin, Xi Jinping, dla którego była to już 11. wizyta w Rosji od momentu objęcia władzy w 2013 roku, a druga od wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie. Podczas jednej z tych wizyt, już po rozpoczęciu konfliktu w marcu 2023 roku, Xi Jinping pożegnał Putina słowami: „Nadchodzi zmiana, której nie było od 100 lat, i razem jesteśmy jej motorem". To dowód na to, że Moskwa i Pekin budują antyzachodni blok, który może zachwiać fundamentami obecnego porządku międzynarodowego. I właśnie to powinno skłonić Unię Europejską i jej przywódców do podjęcia bardziej zdecydowanych działań wobec Pekinu, zamiast organizowania kolejnych nieproduktywnych wizyt.

Jeśli nawet „królowa Europy" miała nadzieję przekonać Pekin do potępienia działań Putina, a wypowiedź szefa chińskiej dyplomacji podczas wizyty w Brukseli nie rozwiała tego marzenia, to zapowiedź wspólnych ćwiczeń wojskowych Rosji i Chin, ogłoszona przed szczytem, stanowiła kolejny dowód na to, że Rosja nie zamierza zrezygnować ze współpracy z Chinami.

Naiwność europejskich elit

18 lipca Putin ogłosił, że 1 sierpnia na Morzu Japońskim rozpoczną się wspólne ćwiczenia marynarek wojennych Rosji i Chin, noszące nazwę „Joint Sea 2025". Od 2003 roku Moskwa i Pekin przeprowadziły ponad 90 wspólnych ćwiczeń wojskowych, obejmujących operacje lądowe, morskie, powietrzne oraz wielodomenowe. Ta współpraca militarna nie osłabła po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, ponieważ niemal jedna trzecia z tych manewrów miała miejsce od lutego 2022 roku. Co więcej, ćwiczenia te odbywają się w bliskiej odległości od Europy. Trzy tygodnie po tym, jak w lipcu 2017 roku prezydent USA Donald Trump odwiedził Polskę w trakcie swojej pierwszej kadencji, Pekin i Moskwa przeprowadziły manewry w rejonie Bałtyku, demonstrując, jak bardzo niepokojący dla obu autorytarnych reżimów jest zacieśniający się sojusz Polski ze Stanami Zjednoczonymi.

A ta kooperacja wojskowa Chin i Rosji może przybrać znacznie bardziej niebezpieczne formy, stanowiąc poważne zagrożenie dla Starego Kontynentu. O tym ostrzegał na miesiąc przed szczytem UE–Chiny sekretarz generalny Sojuszu Północnoatlantyckiego Mark Rutte. Zauważył, że w przypadku inwazji Chińskiej Republiki Ludowej na Tajwan, przywódca Chin, Xi Jinping prawdopodobnie otrzyma wsparcie od rosyjskiego zbrodniarza wojennego Władimira Putina. „Bez wątpienia [Xi – przy. H.S.] skontaktuje się ze swoim junior partnerem, Putinem, i upewni się, że [on]… sprawi, iż [Europa] będzie miała co robić" – powiedział Rutte. Taka próba odwrócenia uwagi NATO mogłaby szybko wyczerpać zasoby państw członkowskich sojuszu, które byłyby zaangażowane w konflikty w dwóch regionach. „To jeden z powodów, dla których musimy być gotowi i nie możemy być naiwni" – dodał szef NATO.

Czy więc delegacja UE, która udała się w lipcu do Pekinu, nie była naiwna? Podczas otwarcia szczytu Antonio Costa wezwał Chiny do „wykorzystania swojego wpływu na Rosję" w celu zakończenia wojny Kremla z Ukrainą. Niestety, Xi Jinping nie odniósł się do tego apelu. W oświadczeniu wydanym przez stronę chińską po spotkaniu zaznaczono jedynie, że „Chiny i Europa powinny wspierać pokojowe rozwiązywanie sporów międzynarodowych za pomocą środków politycznych". Jednak znacznie ważniejsza deklaracja padła ze strony

Gdy UE, pod przewodnictwem von der Leyen, zmusza Polskę do rezygnacji z węgla, „królowa Europy" dostrzega w Chinach partnera w walce ze zmianami klimatycznymi, mimo że kraj ten stawia na węgiel.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Chin na kilka dni przed szczytem UE–Chiny. Wówczas prezydent Xi przyjął ministra spraw zagranicznych Rosji Siergieja Ławrowa, zapewniając o konieczności „pogłębienia kompleksowego strategicznego partnerstwa koordynacyjnego między Chinami a Rosją oraz wzmocnienia wzajemnego wsparcia na forach wielostronnych, a także ochrony interesów rozwojowych i bezpieczeństwa". Wizyta Ławrowa w Pekinie oraz deklaracja Xi stanowią kolejny argument przeciw lipcowemu szczytowi UE–Chiny. Argument, na który von der Leyen pozostała głucha.

Szczyt pełen pustych słów

W kwestiach ekonomicznych również nie odnotowano przełomu. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zauważyła, że relacje handlowe UE z Chinami znajdują się w „wyraźnym punkcie zwrotnym". Wskazała na narastający deficyt w relacjach gospodarczych Unii z Chinami. W ubiegłym roku osiągnął on rekordowy poziom 305,8 mld euro. Przedstawiciele unijni w Pekinie wyrazili też „zaniepokojenie istniejącymi zakłóceniami systemowymi i rosnącą nadwyżką mocy produkcyjnych i ponowili swój apel o postępy w rozwiązywaniu długotrwałych problemów z dostępem do rynku, w tym w sektorach priorytetowych, takich jak sektor mięsny, kosmetyczny i farmaceutyczny".

Mimo że podczas spotkania UE–Chiny padło wiele ogólnikowych stwierdzeń i gestów, „królowa Europy" określiła rozmowy w Pekinie z Xi Jinpingiem oraz premierem Chin Li Qiangiem jako „szczere i otwarte". Jedynym wspólnym stanowiskiem opublikowanym przez obie strony były kwestie związane ze zmianami klimatycznymi.

Klimatyczna farsa

Podczas szczytu Pekin i Bruksela wezwały do dalszej redukcji emisji dwutlenku węgla oraz szerszego wykorzystania zielonych technologii, a także potwierdziły swoje poparcie dla porozumienia paryskiego. Zaapelowały również o bardziej zdecydowane działania w nadchodzącym szczycie klimatycznym COP30 w Brazylii. „W obecnej, dynamicznej i burzliwej sytuacji międzynarodowej kluczowe jest, aby wszystkie kraje, a zwłaszcza największe gospodarki, utrzymały ciągłość i stabilność polityki oraz zintensyfikowały działania na rzecz przeciwdziałania zmianom klimatu" – głosi wspólne oświadczenie. Trudno jednak uznać to za sukces wizyty Ursuli von der Leyen; można raczej odnieść wrażenie, że to farsa.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej wydała proekologiczne oświadczenie we współpracy z Chinami, które są największym emitentem dwutlenku węgla na świecie. Chiny odpowiadają za około 27 proc. rocznej globalnej produkcji CO_2, podczas gdy Unia Europejska generuje jedynie około 8,7 proc. Gdy UE, pod przewodnictwem von der Leyen, zmusza Polskę do rezygnacji z węgla, „królowa Europy" dostrzega w Chinach partnera w walce ze zmianami klimatycznymi, mimo że kraj ten stawia na węgiel. W czasie gdy nasze górnictwo, na żądanie eurokratów, kurczy się do minimalnych rozmiarów, Chiny w ubiegłym roku zwiększyły produkcję węgla do rekordowych poziomów z powodu obaw o możliwe niedobory energii. W 2024 roku w Chinach wydobyto około 4,7 mld ton węgla. Chiny nieustannie otwierają nowe kopalnie; w pierwszej połowie tego roku ogłoszono powstanie dwóch kopalni w północno-zachodniej prowincji Shaanxi oraz kolejnej w Mongolii Wewnętrznej.

Komunistyczne Chiny, jak wiadomo, chętnie podpisują kolejne deklaracje dotyczące ekologii, w których zapewniają, że zarówno one, jak i ich partnerzy powinni być jeszcze bardziej eko i jeszcze bardziej zieloni. Były doradca prezydenta Trumpa, generał Robert Spalding, w swojej książce „Wojna bez zasad. Chiński plan dominacji nad światem" opisuje niewidzialną walkę, jaką Chiny toczą z Zachodem każdego dnia, nie sięgając po siłę militarną. Spalding przytacza liczne przykłady tzw. nieograniczonych działań wojennych Chin. Wśród nich jest polityka klimatyczna, którą Pekin traktuje jedynie jako kartę przetargową, mającą na celu „uzyskanie od Zachodu ustępstw w zamian za obietnice reform, których i tak nie zamierzają spełnić". Komunistyczna Partia Chin pragnie, aby to Europa wprowadzała w życie klimatyczne szaleństwa i jeszcze bardziej realizowała Zielony Ład, który napędza ich gospodarkę. Z raportu Międzynarodowej Agencji Energetycznej, opublikowanego w 2024 roku, wynika, że pod koniec 2023 roku chińskie firmy posiadały od 85 do 98 proc. globalnych mocy produkcyjnych w fotowoltaice, 50–65 proc. w technologii wiatrowej, nieco poniżej 60 proc. w przypadku elektrolizerów oraz blisko 40 proc. w zakresie pomp ciepła. Krótko mówiąc, Zielony Ład, którego zagorzałą orędowniczką jest Ursula von der Leyen, prowadzi do pauperyzacji Europy i jej mieszkańców, jednocześnie napełniając kieszenie Chińczyków. W lipcu w Pekinie „królowa Europy" tylko potwierdziła, że w tej kwestii nic się nie zmieni.

Ursula von der Leyen kłamała w sprawie praworządności w Polsce, nie potrafi rozwiązać kwestii nielegalnej migracji w Europie, forsując umowę UE–Mercosur, niszczy fundamenty europejskiego rolnictwa, a jej lipcowa wizyta w ChRL pokazała, że UE pod jej przywództwem nie jest w stanie stawić czoła zagrożeniu, jakie stanowią Chiny, sponsor machiny wojennej Putina. W Pekinie zobaczyliśmy, że „królowa Europy" to symbol słabości Unii Europejskiej. ■

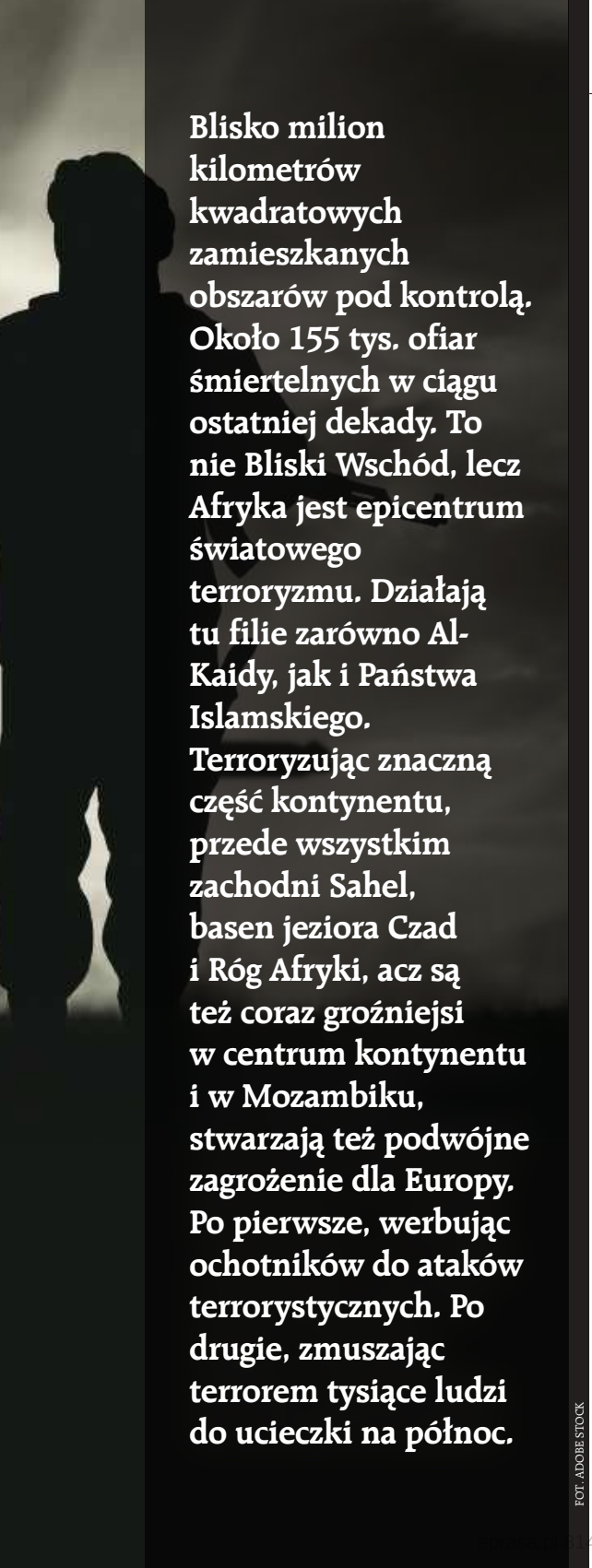
eprasa.pl 8145cd3dbe



oprac. Antoni Rybczyński

Centrum islamskiego terroryzmu. To już nie Bliski Wschód, lecz Afryka

eprasa.pl 8145cd3dbe



Blisko milion kilometrów kwadratowych zamieszkanych obszarów pod kontrolą. Około 155 tys. ofiar śmiertelnych w ciągu ostatniej dekady. To nie Bliski Wschód, lecz Afryka jest epicentrum światowego terroryzmu. Działają tu filie zarówno Al-Kaidy, jak i Państwa Islamskiego. Terroryzując znaczną część kontynentu, przede wszystkim zachodni Sahel, basen jeziora Czad i Róg Afryki, acz są też coraz groźniejsi w centrum kontynentu i w Mozambiku, stwarzają też podwójne zagrożenie dla Europy. Po pierwsze, werbując ochotników do ataków terrorystycznych. Po drugie, zmuszając terrorem tysiące ludzi do ucieczki na północ.

FOT. ADOBE STOCK

Co najmniej 52 osoby zamordowali islamscy rebelianci z powiązanego z Państwem Islamskim Sojuszu Sił Demokratycznych (ADF) w prowincji Kivu Północne we wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga między 9 a 16 sierpnia – podała misja stabilizacyjna ONZ w Kongo. Wśród ofiar jest osiem kobiet i dwoje dzieci, ale bilans ofiar śmiertelnych może wzrosnąć – głosi komunikat MONUSCO. Zaledwie kilka dni wcześniej rebelianci z ADF zamordowali w prowincji Kivu Północne co najmniej 40 osób, a pod koniec lipca w zamachu na kościół katolicki zabili około 45 wiernych. ADF to powstała jeszcze w latach 90. XX wieku w Ugandzie grupa muzułmańskich rebeliantów, ściśle powiązanych z Państwem Islamskim w Afryce Wschodniej. Bojownicy działają obecnie w dżunglach pogranicza zachodniej Ugandy i wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga (DRK, „Co najmniej 52 osoby zamordowali islamscy rebelianci z Sojuszu Sił Demokratycznych", AFP/PAP, 19 sierpnia 2025).

▶ Afryka centrum islamskiego terroryzmu

Doniesienia z Konga pokazują, że islamski terroryzm w Afryce to już nie tylko Sahel na zachodzie czy Róg Afryki i prowincja Cabo Delgado (Mozambik) na wschodzie. Jak poinformował Radę Bezpieczeństwa ONZ komisarz Unii Afrykańskiej ds. politycznych, pokoju i bezpieczeństwa Bankole Adeoye, w Afryce doszło w ubiegłym roku do ponad 3,4 tys. ataków terrorystycznych, w których zginęło prawie 14 tys. osób; w żadnej innej części świata nie było ani tyle ataków, ani ofiar terrorystów. Terroryzm jest obecnie największym zagrożeniem zwłaszcza w Afryce Subsaharyjskiej, która odpowiada za 59 proc. globalnych zgonów związanych z terroryzmem. Liczba zgonów związanych z terroryzmem w tym regionie Afryki, rozciągającym się wzdłuż południowych obrzeży Sahary od Senegalu na zachodzie po Erytreę na wschodzie, przekraczała 6 tys. przez trzy kolejne lata. To ponad połowa wszystkich ofiar terroryzmu na świecie. Najgorzej jest w Burkina Faso, które stało się obecnie światowym liderem, jeśli chodzi o liczbę zgonów spowodowanych terroryzmem. Rozprzestrzenianie się Al-Kaidy i Państwa Islamskiego z Mali, Nigru i Burkina Faso na kraje nadmorskie Afryki Zachodniej – Nigeria, Benin, Togo, Ghana, Wybrzeże Kości Słoniowej – spowodowało wzrost liczby brutalnych ataków o 250 proc. w ciągu dwóch lat. Obok Al-Kaidy, Państwa Islamskiego i Boko Haram w Afryce w ubiegłym roku pojawiła się nowa grupa znana jako Lakurawa. Najboleśniej jej ataki odczuwa Nigeria, ale terroryści aktywni są również w Nigrze i Czadzie. Za-

3345cd3dbe

grożenie terrorystyczne utrzymuje się także w innych miejscach kontynentu. Grupy takie jak Al-Shabaab w Somalii, wspomniane Sojusznicze Siły Demokratyczne (ADF) w Demokratycznej Republice Konga i Al-Sunna wa Jama'ah (Wyznawcy) w Mozambiku nadal „rozpętują przerażającą przemoc". Nie tylko terroryzują społeczności, lecz także dopuszczają się przemocy seksualnej oraz atakują dzieci i siłą werbują je do swoich szeregów („Raport ONZ: Afryka jest światowym epicentrum terroryzmu", PAP, 24 stycznia 2025).

Zbrojne ugrupowania islamskie są głównym czynnikiem destabilizacji na pięciu obszarach kontynentu. Bojownicy prowadzą operacje ofensywne w każdym z nich, zwłaszcza w regionie Sahelu i Somalii. Liczba 22 307 ofiar śmiertelnych związanych z tymi ugrupowaniami w ciągu ostatniego roku utrzymuje się na rekordowym poziomie od 2023 roku i stanowi 60-proc. wzrost w porównaniu z latami 2020–2022. Prawie połowę ofiar śmiertelnych (10 685) w ciągu ostatniego roku zanotowano w regionie Sahelu. Somalia stanowi około jednej trzeciej ofiar śmiertelnych na kontynencie (7289). Wraz z basenem jeziora Czad, te trzy regiony odpowiadają za 99 proc. ofiar śmiertelnych związanych z bojownikami islamskimi w Afryce w ciągu ostatniego roku. Dwa pozostałe obszary to Mozambik i Afryka Północna. W ciągu ostatniego roku liczba ofiar śmiertelnych w walkach wzrosła na każdym z tych obszarów, co spowodowało 14-proc. wzrost liczby ofiar śmiertelnych w walkach na całym kontynencie (15 678). W ciągu ostatniego roku bojowe grupy islamistów w regionie Sahelu i Somalii rozszerzyły swoją kontrolę nad terytorium. Szacuje się, że w całej Afryce około 950 tys. kilometrów kwadratowych terytoriów zamieszkanych znajduje się poza kontrolą rządów z powodu rebelii bojowych islamistów. Jest to obszar wielkości Tanzanii. W ciągu ostatniej dekady Somalia i kraje basenu jeziora Czad (Nigeria, Kamerun, Czad i południowo-wschodni Niger) były dwoma obszarami, w których stale odnotowywano najwyższy poziom przemocy – każdy z nich odpowiadał zazwyczaj za co najmniej jedną czwartą wszystkich ofiar śmiertelnych w ciągu roku. Sytuacja uległa zmianie w 2022 roku, wraz z gwałtownym wzrostem liczby ofiar śmiertelnych w regionie Sahelu. W wyniku gwałtownego pogorszenia się sytuacji bezpieczeństwa w regionie Sahelu, Somalia i Sahel odnotowały w ciągu ostatniej dekady więcej ofiar śmiertelnych związanych z islamskimi bojownikami (ponad 49 tys. w każdym z tych regionów) niż jakikolwiek inny region. W tym samym okresie w krajach basenu jeziora Czad odnotowano około 39 tys. ofiar śmiertelnych. Łącznie w ciągu ostatniej dekady w Afryce odnotowano około 155 tys. ofiar śmiertelnych związanych z bojowymi grupami islamskimi („Afryka przekroczyła liczbę 150 000 zgonów związanych z bojowymi grupami islamskimi w ciągu ostatniej dekady", Africa Center for Strategic Studies, 28 lipca 2025).

Sahel w cieniu sztandaru Proroka

Według Globalnego Indeksu Terroryzmu 2024 epicentrum terroryzmu przesunęło się z Bliskiego Wschodu do regionu środkowego Sahelu w Afryce Subsaharyjskiej, który obecnie odpowiada za ponad połowę wszystkich ofiar śmiertelnych terroryzmu. Według raportu cztery z 10 krajów najbardziej dotkniętych przemocą terrorystyczną w 2023 roku znajdują się w tym regionie: Burkina Faso (1.), Mali (3.), Nigeria (8.) i Niger (10.). Według mapy działalności Państwa Islamskiego na świecie, opracowanej przez Aarona Zelina z Washington Institute, afrykańskie oddziały IS odpowiadały za prawie 70 proc. wszystkich ataków przypisywanych IS w 2024 roku i 64 proc. wszystkich ofiar śmiertelnych (Sheriff Bojang Jnr, „Pokonane na Bliskim Wschodzie Państwo Islamskie ponownie zyskuje na sile w Afryce", Africa Report, 10 stycznia 2025). Trzy kraje – Mali, Niger i Burkina Faso – są obecnie rządzone przez przywódców wojskowych, którzy przejęli władzę siłą, obiecując zapewnienie obywatelom większego bezpieczeństwa. Jednak sytuacja w zakresie bezpieczeństwa uległa pogorszeniu. „Działalność terrorystyczna nasiliła się pod względem skali, złożoności i stopnia zaawansowania" – powiedział przed Radą Bezpieczeństwa specjalny przedstawiciel ONZ Leonardo Santos Simão. W okresie od 1 kwietnia do 31 lipca 2025 roku w Burkina Faso, Mali i Nigrze doszło do ponad 400 ataków terrorystycznych, w których zginęło 2870 osób (Edith M. Lederer, „Przedstawiciele ONZ: W afrykańskim regionie Sahelu nasilają się działania terrorystyczne, zagrażające kobietom i dziewczynkom", AP, 8 sierpnia 2025).

W ostatnich latach w regionie Sahelu odnotowano utrzymujący się wysoki poziom śmiertelności związany z działaniami bojowych grup islamskich. Średnia roczna liczba ofiar śmiertelnych w ciągu ostatnich trzech lat wyniosła prawie 10 500, czyli ponaddwukrotnie więcej niż 4900 ofiar śmiertelnych odnotowanych w latach 2020–2023. Oznacza to siedmiokrotny wzrost rocznej liczby ofiar śmiertelnych od 2019 roku. Tempo i skala przemocy w regionie Sahelu są prawdopodobnie jeszcze większe niż podają raporty, biorąc pod uwagę, że junty wojskowe, które przejęły władzę w Mali, Burkina Faso i Nigrze, ograniczyły dostęp mediów do regio-

eprasa.pl 8145cd3dbe

nu. Oddziały powiązane z filią Al-Kaidy, czyli Jama-'at Nusrat al Islam wal Muslimeen (JNIM), odpowiadają za 83 proc. wszystkich ofiar śmiertelnych w regionie Sahelu. Grupy JNIM, kierowane przez Front Wyzwolenia Maciny i Ansar Dine, działają głównie w północnej, środkowej i południowej części Mali oraz w południowej części Burkina Faso. Grupy te, liczące około 6–7 tys. bojowników (z których większość pochodzi z regionu Sahelu), posuwają się również w kierunku obszarów przygranicznych nadbrzeżnych krajów Afryki Zachodniej. Państwo Islamskie w Wielkiej Saharze (ISGS) jest drugim głównym zagrożeniem ze strony bojowników islamskich w tym regionie, skupionym głównie w północnej części Burkina Faso i zachodnim Nigrze. Szacowana liczba bojowników ISGS wynosi 2–3 tys. ISGS jest zarówno rywalem, jak i sojusznikiem JNIM. Od czterech lat Burkina Faso jest epicentrum brutalnych wydarzeń i ofiar śmiertelnych związanych z bojowymi grupami islamskimi w regionie Sahelu. W ciągu ostatniego roku 55 proc. przypadków śmiertelnych miało miejsce w Burkina Faso. Pogarszającej się sytuacji bezpieczeństwa w tym kraju towarzyszy postępująca utrata terytorium na rzecz dżihadystów. Szacuje się, że siły rządowe kontrolują obecnie jedynie 40% terytorium kraju. Podobną sytuację obserwuje się w Mali, gdzie siły powiązane z JNIM intensyfikują działania w centralnych regionach kraju i atakują obszary wzdłuż granic z Wybrzeżem Kości Słoniowej, Gwineą, Senegalem i Mauretanią. Mali było pierwszym krajem Sahelu, który pod koniec pierwszej dekady XXI wieku stał się celem bojowych ugrupowań islamskich, w tym Al-Kaidy w Islamskim Maghrebie (AQIM), Ansar Dine i MUJAO. Od tego czasu w Mali zginęło około 17 700 osób. Około 81 proc. ofiar śmiertelnych (14 384 zgonów) odnotowano od 2020 roku, kiedy to w Mali doszło do wojskowego zamachu stanu. Liczba ta obejmuje około 2650 ofiar śmiertelnych w ciągu ostatniego roku, co stanowi 25 proc. wszystkich ofiar śmiertelnych w regionie Sahelu. W ciągu ostatniego roku w Mali odnotowano 71-proc. wzrost liczby ofiar śmiertelnych przemocy zdalnej (do 499) powiązanej z grupami JNIM. Niger doświadcza gwałtownego pogorszenia bezpieczeństwa od czasu wojskowego zamachu stanu przeciwko demokratycznemu rządowi prezydenta Mahmouda Bazouma w 2023 roku. Od tego czasu liczba ofiar śmiertelnych związanych z przemocą ze strony bojowników islamskich wzrosła czterokrotnie (do 1655 osób). Obejmuje to 49-proc. wzrost liczby ofiar śmiertelnych wśród ludności cywilnej w ciągu ostatniego roku („Afryka przekroczyła liczbę 150 000 zgonów związanych z bojowymi grupami islamskimi w ciągu ostatniej dekady", Africa Center for Strategic Studies, 28 lipca 2025).

▶ Dżihad w Rogu Afryki

Jednak to Somalia zmaga się z najdłużej działającą w Afryce grupą zbrojnych islamistów. Al-Shabaab powstała w 2006 roku, jest odgałęzieniem wcześniejszych grup salafickich powstałych w latach 90. XX wieku, których celem jest stworzenie „Wielkiej Somalii" pod rządami islamistów. Al-Shabaab, lojalna wobec sieci Al-Kaidy, wyraziła poparcie dla globalnego dżihadu i atakowała interesy Zachodu w regionie Rogu Afryki. Czerpiąc dochody między innymi z wymuszeń, opłat za przejazd drogami, podatków od nieruchomości i piractwa, Al-Shabaab generuje roczne przychody w wysokości do 200 mln dolarów. Szacuje się, że Al-Shabaab ma 7–12 tys. bojowników. Od 2023 roku w Somalii obserwuje się wzrost przemocy związanej z Al-Shabaab – spowodowany ofensywą wojskową przeciwko tej grupie po wyborze prezydenta Hassana Sheikha Mohamuda oraz kontratakiem Al-Shabaab w latach 2024 i 2025. Liczba ofiar śmiertelnych związanych z Al-Shabaab w ciągu ostatniego roku wyniosła 6224, czyli dwukrotnie więcej niż w 2022 roku. Szacuje się, że w ciągu ostatniego roku zdolności bojowe Al-Shabaab wzrosły dzięki coraz ściślejszej współpracy z jemeńskimi Huti. Współpraca ta przełożyła się na poprawę wyposażenia (w tym dronów i pocisków balistycznych) oraz szkolenia bojowników Al-Shabaab, co prawdopodobnie bezpośrednio przyczyniło się do sukcesu operacji ofensywnych w środkowej i południowej Somalii.

Somalia jest również bazą Państwa Islamskiego w Somalii (ISS), położoną w północno-wschodnim stanie Puntland. Chociaż ISS działa w Somalii od 2015 roku, w ciągu ostatniego roku znalazło się ono pod zwiększoną obserwacją po opublikowaniu raportów ONZ i innych organizacji, zgodnie z którymi ISS stało się centrum administracyjnym i finansowym ISIS na całym świecie. Raporty te wskazują, że ISS zintensyfikowało rekrutację zagranicznych bojowników (z około 200 w 2018 do około 1000 w 2025 roku). W ciągu ostatniego roku odnotowano również bezprecedensowy wzrost liczby ataków z udziałem ISS, w wyniku których zginęło około 1065 osób. W poprzednich latach liczba ofiar śmiertelnych związanych z ISS wynosiła poniżej 100. Większość tych działań była związana z operacjami sił bezpieczeństwa Puntlandu przeciwko ISS w górach Cal-Miskaad, wspieranymi przez naloty Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Stanów Zjednoczonych. Szacuje się, że 72 proc. ofiar śmiertelnych

eprasa.pl 8145cd3dbe

związanych z bojownikami islamskimi w Somalii to ofiary walk, co świadczy o skoordynowanym charakterze walk. Natomiast liczba ofiar śmiertelnych w wyniku przemocy wobec ludności cywilnej jest stosunkowo niska (szacuje się, że w ciągu ostatniego roku zginęły 102 osoby), stanowiąc zaledwie 2 proc. ogółu ofiar („Afryka przekroczyła liczbę 150 000 zgonów związanych z bojowymi grupami islamskimi w ciągu ostatniej dekady", Africa Center for Strategic Studies, 28 lipca 2025).

Nowe fronty islamistów

Błyskawiczny wzrost znaczenia Państwa Islamskiego – zwłaszcza w Syrii i Iraku – 10 lat temu zaskoczył świat po utworzeniu kalifatu, który mógł pochwalić się dziesiątkami tysięcy bojowników i zdolnością do przeprowadzania poważnych operacji terrorystycznych w Europie. Wraz z upadkiem kalifatu i utratą wpływów na Bliskim Wschodzie Afryka stała się nową wylęgarnią IS. W ostatnich miesiącach Państwo Islamskie ogłosiło Afrykę miejscem docelowym dla swoich działań i obecności. Ma silną pozycję w somalijskim regionie Puntland, gdzie podobno finansuje operacje w całej Afryce. Południowo-wschodni Niger, północny Kamerun, północno-wschodni i zachodni Czad tworzą tak zwaną prowincję Afryki Zachodniej. Zachodni Niger, północny Mali i północna Burkina Faso to prowincja Sahel. IS utrzymuje kontrolę terytorialną w tych regionach, pobierając podatki od mieszkańców, prowadząc wojny terytorialne z rywalami z Al-Kaidy i ustanawiając regiony wpływów gospodarczych i politycznych. Według Liama Karra, analityka ds. bezpieczeństwa i kierownika zespołu ds. Afryki w Critical Threats, projekcie American Enterprise Institute (AEI) zajmującym się zrozumieniem zagrożeń i śledzeniem globalnych wyzwań, oddział IS w Afryce Zachodniej, ISWAP i prowincja IS w Somalii prowadzą regionalne biura IS, które nadzorują inne afrykańskie oddziały i koordynują finansowanie, wytyczne i inne wsparcie między personelem IS w lokalnych teatrach działań, globalną siecią IS i centralnym kierownictwem IS. „ONZ i USA potwierdziły, że regionalne biuro IS w Somalii (Al Karrar) przekazało pieniądze do prowincji IS Khorasan (ISKP), która ma siedzibę w Afganistanie i jest awangardą planowania zewnętrznych ataków IS" – dodaje Karr (S. Bojang Jnr, „Pokonane na Bliskim Wschodzie Państwo Islamskie ponownie zyskuje na sile w Afryce", Africa Report, 10 stycznia 2025).

W ciągu ostatniego roku w basenie jeziora Czad odnotowano 7-proc. wzrost liczby ofiar śmiertelnych (3982) związanych z przemocą bojowników islamskich, co świadczy o utrzymującej się odporności Jama'atu Ahlis Sunna Lidda'Awati Wal Jihad (Boko Haram) i Państwa Islamskiego w Afryce Zachodniej (ISWA). Region ten odpowiada za 18 proc. wszystkich ofiar śmiertelnych związanych z bojowymi grupami islamskimi na kontynencie. Szacuje się, że Boko Haram dowodzi około 1,5–2 tys. bojowników, a ISWA ma od 4 tys. do 7 tys. bojowników. W ciągu ostatniego roku w Kamerunie odnotowano 12 proc. ofiar śmiertelnych (467 zgonów) związanych z bojowymi grupami islamskimi w tym regionie. Odzwierciedla to jednak spadek o 45 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim – jest to jedyny kraj w regionie, który odnotował pozytywną tendencję. Natomiast w Czadzie w ciągu ostatniego roku liczba ofiar śmiertelnych wzrosła ponaddwukrotnie (do 242), co oznacza więcej zgonów niż w jakimkolwiek roku od 2020 („Afryka przekroczyła liczbę 150 000 zgonów związanych z bojowymi grupami islamskimi w ciągu ostatniej dekady", Africa Center for Strategic Studies, 28 lipca 2025 r.).

Państwo Islamskie i Al-Kaida nasiliły w lipcu i sierpniu ataki terrorystyczne w wąskiej strefie przygranicznej między Mauretanią, Mali i Senegalem – obszarze, który amerykańscy analitycy z Narodowego Centrum ds. Zwalczania Terroryzmu zaczęli nazywać afrykańskim trójkątem śmierci. Najnowsze raporty senegalskich sił bezpieczeństwa alarmują o gwałtownym wzroście liczby ataków w ciągu ostatniego miesiąca na stacjonujące w strefie przygranicznej wojska malijskie. Na początku lipca powiązana z Al-Kaidą Grupa Wsparcia Islamu i Muzułmanów (JNIM) pochwaliła się, że przeprowadziła potężne, skoordynowane uderzenia na siedem baz wojskowych w zachodnim Mali, w pobliżu granic z Senegalem i Mauretanią. W 2025 roku JNIM przeprowadziła w tym regionie więcej ataków niż odnotowano w całym 2024 roku, poinformował afrykański think tank Instytut Studiów nad Bezpieczeństwem (ISS Africa). Eksperci ISS uznali, że te ataki wzdłuż południowo-zachodniej granicy Mali jednoznacznie wskazują na zamiar ekspansji dżihadystów na Senegal i na Mauretanię. Choć dotychczas ani Senegal, ani Mauretania nie doznały bezpośrednich ataków, stały się miejscem intensywnego werbunku bojowników, a według raportu think tanku Timbuktu-institute JNIM zmusza też działających w tej strefie kupców tych krajów do pośredniej współpracy, w tym do dostarczania informacji wywiadowczych i zaopatrywania ich baz w żywność i lekarstwa („Sahel / Dżihadyści atakują pogranicze tereny między Mauretanią, Mali i Senegalem", PAP, 8 sierpnia 2025). ■

eprasa.pl 8145cd3dbe

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.



Korea Płd. – Korea Płn.

Niedawno wybrany lewicowy prezydent Korei Południowej, Lee Jae-myung, już w trakcie kampanii zapowiadał pojednawczą politykę wobec reżimu Kim Dzong Una w Korei Północnej. Obserwujemy pierwsze oznaki tej strategii. Dwa miesiące temu prezydent Korei Płd. nakazał zawieszenie nadawania audycji radiowych, które mogły być odbierane przez mieszkańców Północy. Wśród tych programów znajdują się nie tylko audycje przedstawiające prawdę o reżimie Kima, lecz także programy skierowane do chrześcijan. W Korei Płn. praktykowanie chrześcijaństwa jest przestępstwem, a posiadanie Biblii może prowadzić do egzekucji. Zwykli obywatele nie mają powszechnego dostępu do internetu, a jedynym sposobem, w jaki północnokoreańscy chrześcijanie mogą zapoznać się z Ewangelią i naukami chrześcijańskimi, jest potajemne słuchanie radia. Teraz lewicowy rząd w Seulu odbiera im tę możliwość.

eprasa.pl 8145cd3dbe

Rząd Lee wprowadził zakaz dla działaczy na rzecz wolności w Pjongjangu, uniemożliwiając im wysyłanie balonów z ulotkami antykomunistycznymi do Korei Płn. Na początku sierpnia wydano polecenie demontażu głośników, które emitowały komunikaty w kierunku Korei Płn., w tym nawołujące północnokoreańskich żołnierzy do dezercji. Głośniki na granicy zainstalowano po raz pierwszy w 1963 roku, aby nadawać południowokoreańskie wiadomości, prognozę pogody, muzykę pop oraz krytykę reżimu północnokoreańskiego. Celem tej inicjatywy było zachęcenie północnokoreańskich żołnierzy do ucieczki oraz umożliwienie mieszkańcom okolic Strefy Zdemilitaryzowanej lepszego zrozumienia życia i wartości demokratycznego Południa. Działania te miały również na celu podważenie legitymacji reżimu rodziny Kim. W odpowiedzi Pjongjang zainstalował własny system głośników, który nadawał kontrnarrację oraz emitował dziwne dźwięki, takie jak metaliczne zgrzyty i odgłosy zwierząt.

Dodatkowo w połowie sierpnia lewicowe władze w Seulu ogłosiły, że prawdopodobnie nie opublikują corocznego raportu na temat naruszeń praw człowieka w Korei Płn. Byłoby to pierwsze takie zdarzenie od 2018 roku, kiedy to dokument ten nie ujrzałby światła dziennego. Minister ds. zjednoczenia, Chung Dong-young, podczas przesłuchania w parlamencie, które miało miejsce tuż po zwycięstwie wyborczym Lee Jae-munga w czerwcu bieżącego roku, stwierdził, że „wykorzystywanie kwestii praw człowieka w Korei Północnej jako narzędzia do atakowania reżimu północnokoreańskiego jest niewłaściwe". Zasugerował również, że takie działania mogą naruszać Podstawowe Porozumienie Południe–Północ z 1991 roku, które zobowiązuje obie Koree do niewtrącania się w swoje wewnętrzne sprawy. Publikowany przez południowokoreańskie Centrum ds. Praw Człowieka w Korei Północnej raport dokumentuje nadużycia popełnione przez reżim Kim Dzong Una, opierając się na zeznaniach uciekinierów z KRLD, co budzi szczególny gniew Pjongjangu.

Polityka zbliżenia z reżimem Kima, prowadzona przez prezydenta Lee jae-myunga, stanowi kontrast w stosunku do bardziej stanowczego podejścia jego poprzednika, konserwatywnego przywódcy Korei Płd., Yoon Suk-yeola. Mimo przyjaznych gestów ze strony prezydenta Lee, Pjongjang odrzucił propozycję dialogu, oskarżając władze południowe o „obsesję" na punkcie „zjednoczenia przez absorpcję". Kim Jo Dzong, siostra Kim Dzong Una, oświadczyła, że Pjongjang „nie jest zainteresowany" odpowiedzią na jakiekolwiek propozycje Lee dotyczące ocieplenia stosunków. „Po raz kolejny podkreślamy nasze oficjalne stanowisko: niezależnie od przyjętej polityki i wszelkich propozycji przedstawionych w Seulu, nie jesteśmy tym zainteresowani i nie ma powodu do spotkań ani kwestii do dyskusji" – stwierdziła Kim Jo Dzong w oświadczeniu opublikowanym przez państwowe media w Korei Płn. 11 sierpnia Kim Dzong Un przeprowadził ćwiczenia artyleryjskie, które zdają się być odpowiedzią na wspólne manewry wojskowe Korei Południowej i Stanów Zjednoczonych, zaplanowane na 18 sierpnia. Oficjalna północnokoreańska agencja prasowa KCNA poinformowała, że celem tych ćwiczeń było „doskonalenie zdolności bojowych oraz gotowości całej armii".

Warto zauważyć, że polityka ocieplenia relacji z Pjongjangiem, prowadzona przez lewicowy rząd Korei Płd., ma miejsce w kontekście wsparcia, jakiego Korea Płn. udziela machinie wojennej Putina. Ekspert militarny, generał Kyryło Budanow z ukraińskiego wywiadu ujawnił w rozmowie z dziennikiem „Japan Times", że KRLD dostarcza Rosji około 40 proc. jej potrzeb artyleryjskich. Produkcja amunicji trwa nieprzerwanie, a Rosja płaci za to miliardy dolarów. Ponadto z Moskwy do Pjongjangu trafiają rosyjskie technologie. Według Budanowa Korea Płn. zyskuje na wojnie w Ukrainie i staje się jeszcze większym zagrożeniem dla bezpieczeństwa w regionie Azji–Pacyfiku.

Obecny południowokoreański przywódca, Lee Jae-myung, również jest postrzegany jako polityk prorosyjski. Jeszcze przed objęciem urzędu prezydenta Korei Płd., komentując rosyjską inwazję na Ukrainę, stwierdził, że Ukraina to „kraj na drugim krańcu Ziemi" i że to, co się tam dzieje, „nie ma dla nas znaczenia". Dodatkowo jego Partia Demokratyczna w kwietniu 2022 roku zaprosiła na organizowane przez siebie forum Lee Hae-younga, prorosyjskiego naukowca, który negował fakt, że w Buczy doszło do masakry ludności.

▶ Chiny

Według oficjalnych danych chińskich, stopa bezrobocia w lipcu bieżącego roku wyniosła 5,2 proc., co oznacza wzrost o 0,2 proc. w porównaniu do poprzedniego miesiąca. Oficjalnie podaje się, że bezrobocie wśród osób w wieku od 16 do 24 lat wynosi od 14 do 16,5 proc. W rzeczywistości jednak te dane są znacznie zaniżone; sytuacja wśród młodych ludzi jest szczególnie dramatyczna, a stopa bezrobocia może sięgać nawet 40 proc.

O młodych ludziach w Chinach często mówi się jako o „straconym pokoleniu". Problem ten nie ogranicza się jedynie do kryzysu demograficznego i starzejącego się społeczeństwa Państwa Środka, które są efektem wieloletniej polityki jednego dziecka. Jak zauważa Antonio Graceffo, analityk gospodarki Chin, na ła-

eprasa.pl 8145cd3dbe

mach „Epoch Times", do pogarszających się trendów demograficznych należy dodać jeszcze bardziej niepokojące zjawisko: „Młodych ludzi, którzy albo całkowicie odłączyli się od społeczeństwa i rynku pracy, albo pragną pracować, lecz nie mogą znaleźć zatrudnienia w zwalniającej gospodarce Chin". Presja związana ze znalezieniem pracy doprowadziła do powstania trendu, w ramach którego młodzi dorośli bezrobotni płacą za „udawanie" pracy w biurze. Zamiast przyznać, że nie mogą znaleźć pracy, płacą 30–50 juanów (około 15–30 zł) dziennie firmom, które zapewniają im biurka, komputery, internet, a czasami posiłki. „Młodzi wykorzystują ten czas na poszukiwanie pracy, realizację osobistych projektów lub po prostu na cieszenie się strukturą i interakcjami społecznymi w biurowym środowisku" – pisze Graceffo. W języku chińskim istnieje nawet określenie na grupę osób, które można nazwać „jiazhuang shangban zu", co tłumaczy się jako „fałszywi pracownicy biurowi". Inną grupą są „bai lan", czyli „gnijący" – młodzi ludzie, którzy starają się unikanie jasnego światła, pozostawanie w domu oraz ciche życie na marginesie. Młodzi spędzają całe dni w łóżku, przeglądając internet, zamawiając jedzenie na wynos i publikując humorystyczne lub autoironiczne „plany dnia" na platformach społecznościowych.

Kolejna grupa to tzw. dzieci pełnoetatowe, czyli młodzi dorośli, którzy w obliczu stresu i konkurencji decydują się porzucić pracę lub studia, a następnie, wspierani finansowo przez rodziny, pozostają w domu. Zajmują się pracami domowymi oraz opieką nad bliskimi. Istnieją także pełnoetatowi wnuczkowie, którzy, korzystając z wsparcia finansowego dziadków, mieszkają z nimi i troszczą się o ich potrzeby.

Wysokie bezrobocie wśród młodych ludzi oraz ich styl życia, znacznie różniący się od tego, który preferowali ich rodzice (pokolenie, które skorzystało z wcześniejszego boomu gospodarczego w Chinach i obecnie może wspierać finansowo swoje dzieci), nie współgra ze strategią renesansu naro-

Presja związana ze znalezieniem pracy doprowadziła w Chinach do powstania trendu, w ramach którego młodzi dorośli bezrobotni płacą za „udawanie" pracy w biurze. Płacą dziennie firmom, które zapewniają im biurka, komputery, internet, a czasami posiłki.

jak najbardziej odseparować od reszty społeczeństwa. Odrzucają oni kulturę pracy znaną jako „996" (czyli pracę od godziny 9 rano do 9 wieczorem, sześć dni w tygodniu), a także zmagają się z rosnącymi kosztami utrzymania i brakiem mobilności społecznej, które sprawiają, że awans zawodowy wydaje się niemożliwy. „Jest to zarówno mechanizm radzenia sobie z problemami, jak i forma cichego oporu, która faworyzuje minimalną pracę w celu zaspokojenia podstawowych potrzeb, zamiast angażować się w wysoce stresującą, lecz lukratywną pracę" – czytamy w „Epoch Times".

Istnieje również grupa określana mianem „laoshu ren", czyli ludzi-szczurów, która odrzuca nieustanną konkurencję społeczną, presję akademicką oraz styl życia narzucany przez system edukacji i rynek pracy. „Trend ten zyskuje na popularności, ponieważ prognozowana rekordowa liczba absolwentów – 12,2 mln w 2025 roku – wchodzi na przesycony rynek pracy, a wielu młodych ludzi uważa, że awans zawodowy staje się coraz bardziej nieosiągalny". Zjawisko to promuje nocny, niskoenergetyczny i samotniczy tryb życia, wzorowany na nawykach szczurów, takich jak dowego promowaną przez Komunistyczną Partię Chin (KPCh), a zwłaszcza przez jej przywódcę, Xi Jinpinga. Xi często odwołuje się do wojennej retoryki, wzywając Chińczyków do wyrobienia w sobie tzw. ducha długiego marszu, co ma na celu przygotowanie na potencjalny konflikt ze Stanami Zjednoczonymi, szczególnie w kontekście Tajwanu. „Jednak wysokie bezrobocie wśród młodzieży, w połączeniu z negatywnymi trendami społecznymi, uwydatnia rosnący rozdźwięk między celami mobilizacji wojskowej KPCh a gospodarczymi ambicjami Xi, które zakładają prześcignięcie Stanów Zjednoczonych w ciągu najbliższej dekady" – zauważa Graceffo. Spowolnienie gospodarcze oraz zacieśniająca się kontrola nad gospodarką i społeczeństwem przyczyniły się do powstania grupy rozczarowanych młodych ludzi, którzy albo nie mogą, albo nie chcą uczestniczyć w rynku pracy i odizolowują się społecznie. I staje się to jedną z przyczyn, dla których cel KPCh, jakim jest pokonanie Stanów Zjednoczonych i osiągnięcie globalnej dominacji, staje się coraz bardziej nieosiągalny. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe

Z piekła do Nieba



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

13 czerwca na Watykanie miał miejsce pierwszy konsystorz za czasów papieża Leona XIV. Wielu Włochów oczekiwało na jego wynik z niecierpliwością. Wszak stawka była niebagatelna. Jeden z nich miałby zostać ogłoszony świętym.

Wnętrze Bazyliki Matki Bożej Różańcowej. Pod sławnym obrazem nigdy nie jest pusto.





Jedno z podań o Św. Dominiku mówi, jak któregoś wieczoru, zatopiony w modlitwie, miał wizję nieba. W raju zauważył wśród wielu świętych członków wszystkich zakonów poza jego własnym, dominikańskim. Swoich braci zobaczył dopiero po tym, jak Maryja uchyliła swego płaszcza.Wizję upamiętnił we fresku na kopule Pompejańskiej Bazyliki Angelo Landi da Salñ.

Korytarz wiedzie wzdłuż bocznej nawy przestronnej bazyliki. Mijam obszerny sklepik z dewocjonaliami. Zaraz dalej widać ciągnące się stanowiska z przeszklonymi panelami, za którymi siedzą cierpliwie oczekujące na przybyszów z całego świata siostry dominikanki. Oficjalnie nazywają się Córkami Różańca Świętego. Ubrane w charakterystyczne białe habity, przyjmują kolejne intencje pielgrzymów, którzy każdego dnia tysiącami trafiają do tego miejsca. Zaraz dalej rozpoczyna się długi korytarz. Ze ścianami przyozdobionymi różnymi wotami. Są dziecięce rysunki, są zdjęcia. Ktoś przykleił warkocz uzdrowionej córki. Jeszcze gdzie indziej dziecko narysowało wstającą ze szpitalnego łóżka matkę. Podążam wzrokiem dalej. Jest zdjęcie skasowanego po wypadku samochodu. I opis cudownego ocalenia jadących w środku. Historii jest tu przynajmniej kilkaset. A to przecież i tak jedynie wybrane przez kustoszy sanktuarium przykłady.

W połowie drogi korytarzem po prawej stronie widać uchylone drzwi. To obszerna kaplica. W tej chwili znajdują się w środku tylko dwie osoby. Pod ołtarzem przeszklony sarkofag. A w nim leżąca postać. Ubrana w biały płaszcz z charakterystycznym czerwonym krzyżem. To strój zakonny bożogrobców. Do Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie leżący tu mężczyzna został przyjęty tuż przed śmiercią.

– Już jestem… – pojawiający się naraz w kaplicy Marco troszkę mnie zaskakuje. Spodziewałem się, że znajdę go dopiero w jego biurze. Jest pracownikiem tutejszego sanktuarium. Byliśmy umówieni. Miał przynieść dla moich znajomych obrazki z modlitewnikami.

– Szybki jesteś – uśmiecham się w odpowiedzi.

– Taka praca. W związku z Rokiem Świętym mamy tu teraz prawdziwe trzęsienie ziemi, gdy chodzi o odwiedzających – odpowiada, wręczając mi kilkadziesiąt kartoników. – Oto modlitwy dla twojej grupy, o które prosiłeś. Dziś módlcie się w szczególności. W południe.

– Dlaczego akurat o dwunastej? – pytam nieco zaskoczony sugestią.

– To ty nie wiesz? Biuro Papieskich Ceremonii Liturgicznych wydało komunikat. Dziś na dwunastą zaplanowany jest Publiczny Konsystorz Zwyczajny. Mają ogłaszać decyzje o nowych świętych.

– Czyżby?… – zawieszam pytanie. W tym momencie obaj z Marco spoglądamy na stojącą przed nami oszkloną trumnę z wystawionym ciałem brodatego mężczyzny.

eprasa.pl 8145cd3dbe

– Tak, dokładnie tak – Marco spogląda na zawieszony na nadgarstku zegarek. – Być może już za mniej niż trzy godziny będziemy tu mieli ciało świętego.

Kapłan diabła

Neapol. Miejsce, w którym wąziutka Via Porta di Massa dochodzi do ruchliwej Nuova Marina. 200 metrów dalej widać już zacumowane statki. Wybetonowany brzeg neapolitańskiego portu zaprasza kolejne jednostki do wpłynięcia. W terminalu ciągły ruch. Podjeżdża kolejna ciężarówka, aby odebrać towar, który właśnie przypłynął. Oczekujący na kolejny prom pasażerowie stoją nieopodal brzegu. Z cichej perspektywy ulokowanej nieco w cieniu Via Porta di Massa wszystko to wydaje się być sporo oddalone.

Przed wejściem do zlokalizowanego w tym miejscu Wydziału Prawa Uniwersytetu Neapolitańskiego im. Fryderyka II stoi samotny mężczyzna. Wysoki, przystojny, o smukłej sylwetce. Elegancję podkreśla wąski spiczasty wąs. Dwudziestolatek kilka godzin temu zakończył zajęcia. Ale póki co nie wraca do domu. Nie wybiera się też z resztą studentów na wieczorne spacery po mieście. Na osławioną wśród żaków margheritę z białym winem. Stoi sam oparty o pobliski murek. Wpatrzony w dal. Nadal nie wie, co robić.

Wczorajszy sen nie pozwala mu cieszyć się codziennością dnia, jak pozostałym studentom. Wszak ojciec, którego zobaczył, był w nim tak żywy. Błagający syna o opamiętanie. Bartolo stracił tatę, gdy miał zaledwie 10 lat. Pamięta jego twarz, kojarzy ich wspólne zabawy, rozmowy. Ale niewiele ponadto. Teraz, gdy ojciec po raz pierwszy przyśnił mu się tak wyraźnie, wszystkie te dziecięce wspomnienia jakby wróciły.

Tata miał na imię Bartolomeo. Był lekarzem. Teraz jednak objawił się synowi nie jako lekarz, nawet nie jako ojciec. Bardziej jako przyjaciel. Ten, który widzi zagrożenie. Bartolo wyraźnie słyszał podczas snu błagalny ton ojca. Tata nawoływał go do powrotu do Boga.

Bartolo wprawdzie wychował się w katolickiej, wierzącej rodzinie, ale z czasem pod wpływem ateistycznego otoczenia jego wiara zaczęła ulegać załamaniu. Warunki zewnętrzne także nie sprzyjały w tym czasie chrześcijaństwu. Połowa XIX wieku to w Italii niezwykle burzliwy okres. Państwowe uczelnie zostają przejęte przez otwartych przeciwników Kościoła. Profesorowie, wykładowcy, kadra parają się praktykami okultystycznymi i spirytystycznymi. Teologia katolicka zaczyna być otwarcie pogardzana. Masoneria dynamicznie rozszerza swoje wpływy.

Na zajęciach studentom zaleca się studiować lekturę francuskiego filozofa Ernesta Renata pt. „Życie Jezusa", w którym postać Chrystusa przedstawiona jest nie tyle jako Boska, ale wyłącznie ludzka, historyczna. Sam Bartolo Longo pod wpływem otoczenia postanawia wstąpić do popularnej w Neapolu sekty spirytystycznej. Wkrótce sam zacznie uprawiać okultystyczne praktyki. Jego gorliwość sprawi, że w krótkim czasie antybiskup mianuje go kapłanem szatana. W czasie jednego z bluźnierczych rytuałów Bartolo odda swoją duszę diabłu.

„Brat Różaniec"

Teraz stojąc sam na neapolitańskiej ulicy, nie wie, dokąd pójść. Ma świadomość miejsca, w którym się znalazł. Trwające już od półtora roku szatańskie opętanie sprawiło, że z wierzącego chłopca, któremu mama cierpliwie tłumaczyła, jak odmawiać różaniec, stał się praktykiem najbardziej obrzydliwych obrzędów. Małpowanie sakramentów świętych, seanse spirytystyczne ze znanym neapolitańskim medium, antypapieskie wystąpienia publiczne, wyniszczające posty, diaboliczne wizje... Wszystko to doprowadza Bartolo Longo na skraj. Nasilające się depresja, obłęd, myśli samobójcze. Diabeł zaczyna wypisywać rachunek.

Sen z wołającym z zaświatów ojcem pojawia się więc w kluczowym momencie życia młodego Longo. Stojąc tak pod budynkiem uniwersytetu, nadal nie wie, czy udać się na spotkanie do profesora Vincenza Pepego. Podświadomie wie, że to jedyne dobre rozwiązanie. Jednak podszepty złego ducha wciąż są silne.

Longo decyduje się jednak na rozmowę. Podczas niej zwierza się profesorowi ze swego opłakanego stanu. Pepe jest zszokowany.

– Bartolo, chcesz umrzeć w przytułku dla obłąkanych? Albo zostać potępiony na wieki? – pyta z szeroko otwartymi oczami młodego chłopaka.

– Nie, nie chcę profesorze… – odpowiada młodzieniec.

Tę długą wieczorną rozmowę Bartolo Longo zapamięta do końca życia. Profesor Pepe przekonuje niedoszłego prawnika do rezygnacji z satanizmu oraz opuszczenia sekty. Nie zostawia jednak mężczyzny samego. Wkrótce zaprowadza go do ojca Alberta Radentego. To dominikanin, bardzo biegły w filozofii i teologii. Bartolo Longo decyduje się na spowiedź u zakonnika. Wkrótce poprosi go o bycie swoim kierownikiem duchowym. Ojciec Radente przyjmie i tę propozycję. Wkrótce zacznie uczyć Longo podstaw teologii. Wspierając jego rozwój osobistymi wyrzeczeniami: modlitwą i postem. W sobotę 25 marca 1871 roku przyjmie zaś Bartolo do trzeciego zakonu dominikańskiego. Jako swoje imię zakonne mężczyzna wybierze „Brat Różaniec".

eprasa.pl 8145cd3dbe



Włosi z niecierpliwością wyczekiwali decyzji papieskiego konsystorza ws. ewentualnej kanonizacji ich ukochanego Longo.

Samobójstwo w Pompejach

Zaczyna się kolejny etap nawracania się Bartolo Longo. Okres pokuty. Mężczyzna odwiedza swoich byłych znajomych z sekty oraz ze studiów, próbując odwieźć ich od złego. Tłumaczy swoje nawrócenie. Mając już solidne podstawy teologii zdobyte podczas nauk z ojcem Alberto, tłumaczy młodym ludziom, na czym polegają sprytne zasadzki szatana. Spotyka się jednak z wyśmiewaniem i drwiną. Młodego Longo wcale to nie zniechęca. Kontynuuje swoje dzieło. Dalej publicznie wyrzeka się swoich błędów przeszłości. Ostatni raz udaje się także na seans spirytystyczny. Wszystko po to, aby trzymając w dłoniach medalik Matki Bożej, zawołać podczas jego trwania: „Wyrzekam się spirytyzmu, bo jest on tylko plątaniną kłamstw i błędów!"

Któregoś dnia wybiera się do podneapolitańskich Pompejów. Ma tam załatwić kilka majątkowych spraw swojej świeżo poślubionej żony, pani hrabiny Marianny de Fusco – owdowiałej matki pięciorga dzieci. Gdy jest na miejscu, podczas spaceru dopadają go dręczące duszę myśli. Jego serce świdruje świadomość poprzedniego życia. Słyszy wewnętrzny głos, że przecież oddał się szatanowi, że nadal jest jego niewolnikiem. Że jego miejsce i tak będzie w piekle. Longo popada w rozpacz. I gdy jest bliski samobójstwa, słyszy nagle echo słów ojca Alberta, powtarzającego za Maryją: „Ten, kto propaguje mój różaniec, będzie zbawiony".

Jak pisze w swoim notatniku Longo: „Te słowa oświeciły moją duszę. Upadłem na kolana i zawołałem: Jeżeli te słowa są prawdą, to osiągnę zbawienie, ponieważ nie opuszczę tej dzikiej krainy, dopóki nie rozszerzę tutaj Twojego różańca. W tym momencie rozległ się głos dzwonu kościoła parafialnego, obwieszczający ludziom czas modlitwy Anioł Pański. Było to jakby przypieczętowaniem mojej decyzji".

Nowe Pompeje

Naprzeciwko stanowisk, przy których siostry dominikanki przyjmują dziś w pompejańskim sanktuarium intencje na Msze święte, znajduje się niewielka wystawa. Dwa pomieszczenia. Jedno to sypialnia. Ze stojącym pośrodku łóżkiem, nocną szafeczką obok, stolikiem, przy którym na krześle przewieszony jest męski płaszcz. Pod drugą ścianą widać z kolei odtworzony ze szczegółami gabinet. Z biurkiem, na którym leży wieczne pióro. Stojący krucyfiks na środku. I obraz Matki Bożej Pompejańskiej. To starannie odtwo-

eprasa.pl 8145cd3dbe



Grób z woskową figurą błogosławionego (a lada dzień świętego) Bartolo Longo znajduje się w bocznej kaplicy bazyliki.

rzone pomieszczenia, w których swego czasu przebywał Bartolo Longo. Niegdyś kapłan diabła. A następnie wierny sługa Maryi. Głoszący ludziom o mocy różańca. O mocy modlitwy, która także jego samego wyrwała ze szponów piekieł.

Tutaj w Pompejach Longo już został. Korzystając z finansowego wsparcia żony, zaczął budować kościół. Dla okolicznych mieszkańców. Ludzi najczęściej bardzo biednych, rolników, pasterzy, bezrobotnych ludzi południa. Dla nich zakładał szkoły i domy dziecka. Wspierał więźniów i ich potomstwo. Z czasem zaczęto wokół wznosić kolejne budynki. Tak powstały szkoła i szpital. Wkrótce po tym także zakłady pracy, stacja kolejowa, obserwatorium czy siedziba redakcji miejscowej gazety. Tak powstałe miasto Bartolo nazwał Nowymi Pompejami – Miastem Maryi.

Największa misja jednak nadal była przed nim. Pokazać ludziom Maryję. Pokazać drogę do Nieba. Zarazić różańcem.

Uzdrowienie

Jest rok 1879. Bartolo Longo choruje na dur brzuszny. Lekarze rozkładają ręce. Nie znają lekarstwa, nie potrafią ulżyć w cierpieniu trzydziestoośmiolatkowi. Wydaje się, że to kres życia – niezwykle intensywnego i pełnego zwrotów – założyciela sanktuarium w Pompejach.

Cztery lata wcześniej Longo na potrzeby prowadzonych przez siebie misji w Pompejach rozpoczął poszukiwania obrazu, przy którym – wedle ówcześnie panujących przepisów – liturgicznych – można by było uzyskać odpust. Po licznych próbach i odrzucaniu kolejnych obrazów (warunkiem koniecznym spełniającym wymagania kanoniczne było, aby obraz namalowany był farbą olejną, na płótnie lub drewnie), Longo znalazł wreszcie malowidło spełniające kryteria, aczkolwiek wcale nieprzypadające mu do gustu.

Po latach sam opisał swoje pierwsze wrażenia: „Obraz nie tylko był podziurawiony przez robactwo, ale ponadto Madonna miała pospolity, typowy dla wieśniaczek, wyraz twarzy. Nad głową brakowało kawałka płótna... Jej opończa cała była popękana. Nie wspomnę już o brzydocie innych postaci. Św. Dominik wyglądał jak skończony prostaczek. Na lewo od Maryi stała św. Róża. Potem zmieniłem ją na św. Katarzynę Sieneńską Wahałem się, czy mam przyjąć ten podarunek, czy też podziękować. W końcu wziąłem go". Do tej decyzji skłoniła Bartolo matka Concetta,

eprasa.pl 8145cd3dbe

mówiąc: „Weź go; zobaczysz, że Matka Boża użyje tego obrazu, by zdziałać mnóstwo cudów".

Jak się wkrótce okaże, kupiony za jednego dolara obraz, przewożony do Pompejów na stercie obornika (był za duży, aby Longo zmieścił go do przedziału pociągu), stanie się jednym z najsłynniejszych obrazów Matki Bożej na świecie.

I właśnie podczas choroby Bartolo Longo – w dzień Wniebowzięcia 15 sierpnia 1879 roku – po raz pierwszy umieszczono na głowie Maryi złotą koronę. W tym samym czasie sam budowniczy sanktuarium leżał w swoim pokoju, otoczony modlitwą najbliższych proszących o cud. Choć po ludzku patrząc na uzdrowienie nikt już nie miał prawa liczyć.

O tym, co się stało później, najlepiej usłyszeć od samego Bartolo: „Pomyślałem, żeby już dłużej nie czekać i z Bożą pomocą zatrzymać ciężki dur. Trzeba było wziąć obraz z parafii i postawić go w mojej sypialni. Tak się stało. Obecni powtarzali: Wtedy i my uwierzymy w cuda Maryi pod tym obrazem, gdy wyzdrowieje. A ja zwróciłem się z ufnością do świętej Katarzyny ze Sieny i powiedziałem jej tak: »Moja droga siostro, napisałem o tobie w książce »Piętnaście Sobót«, że z nieba narzekasz na małą liczbę swoich wiernych na ziemi, którzy uciekaliby się do ciebie z prośbą o łaski, jakby zmniejszyła się w niebie moc, którą Jezus powierzył ci na ziemi. Dziś jakim sposobem czytelnicy mają dać wiarę moim słowom, jeśli ja jako pierwszy, który się do ciebie zwracam, nie otrzymam od ciebie łaski? I jak uwierzą w cuda Maryi Różańcowej z Pompejów, jeśli ona pozwoli umrzeć temu, kto zainicjował budowę jej świątyni i rozpowiada o jej czynach?« Niewypowiedziana dobroci Matki, która spełniła modlitwy świętej Katarzyny! O północy otworzyłem oczy. Ból w karku i kręgosłupie minął wraz z durem, tak że pierwszy promień słońca przyjemnie skaleczył moje oczy pierwszy raz po wielu dniach, gdy przez ból nie znosiłem światła! Czy nie jest to jawny cud?"

Nieznana choroba

Cud za wstawiennictwem Matki Bożej Różańcowej z Pompejów dokonał się zatem w życiu tego, który tak bardzo zabiegał o rozgłaszanie skuteczności modlitwy różańcowej. Bartolo Longo został uzdrowiony. Sam jednak Maryi nie zobaczył. Już wkrótce bowiem pojawi się w Pompejach ktoś, kto będzie twierdził, że Maryję widzi. I jest Jej winien ogromną wdzięczność. Wszystkim zaś ludziom przekaże niezwykłą wiadomość. Pomoc z samego Nieba.

Wszystko zaczęło się w Neapolu. Na pierwszym piętrze pałacu Rocco przy Via Settembrini 5. To właśnie tutaj mieszkała wówczas dwudziestojednoletnia Fortunatina Agrelli. Jej imię znaczyło z łaciny tyle co „szczęście", i rzeczywiście w planach kochających ją rodziców takie szczęśliwe życie dziewczynka miała wieść.

Jednak gdy ma 19 lat, Fortunatinie umarła bliska krewna, Almarinda. Dziewczyny łączyła bardzo bliska relacja. Fortunatina bardzo przeżywa tę stratę. Popada w smutek i apatię. A wkrótce po tym w bardzo tajemniczą chorobę. Objawia się ona w dramatycznie silnych konwulsjach, które powtarzają się od tej pory codziennie. Rozpoczynają się punktualnie o godzinie 14 i trwają nieustannie przez 10 godzin, aż do północy. Najbardziej bolesne jest ściśnięcie gardła: Fortunatina czuje każdego wieczora w krtani coś w rodzaju kłębka, który ją dusi, nie pozwalając na wypowiedzenie choćby najkrótszego słowa. Dziewczyna podczas ataków wpada w konwulsje. Są tak silne, że trzymającą się za usta i gardło dziewczynę nie są w stanie utrzymać w łóżku cztery dorosłe osoby. Pacjentka cierpi do tego stopnia, że z bólu zaczyna rwać sobie włosy z głowy. Punktualnie o północy dolegliwości ustają. Sama zaś Fortunatina opada bezładnie na łóżko. Ojciec dziewczynki pochodzi z możnego rodu, więc stać go na wynajęcie najlepszych włoskich lekarzy. Jednak ani jeden z nich nie potrafi zdiagnozować choroby córki. Także wszelkie próby ulżenia cierpieniom nieszczęśliwej Natiny okazują się bezskuteczne.

Tak nadchodzi 16 lutego 1884 roku. Pan Mariano Rosati, jeden z pomocników Bartolo Longo przy wznoszeniu pompejańskiej świątyni, przychodzi tego dnia do gabinetu swego przełożonego, aby poprosić o poświęcony medalik Matki Bożej Pompejańskiej. Chce go wręczyć swojemu przyjacielowi, profesorowi Belmontemu, który od miesięcy zmaga się z wyleczeniem bardzo ciężko chorej pacjentki.

– Jeżeli Najświętsza Panna Pompejańska uzdrowi pannę Agrelli… – odpowiada Longo wręczając Rosatiemu medalik. – …do grona Jej czcicieli na pewno dołączy wielu neapolitańczyków. Ojciec chorej ma sporo przyjaciół. Wyślę jej także książeczkę z nowenną, niech rodzina się modli, a obrazek Matki Bożej Pompejańskiej niech zawieszą nad łóżkiem chorej.

„Teraz, gdy mnie wzywasz pod imieniem Królowej Różańca, nie mogę ci odmówić"

Tak się zaczyna wielka historia uzdrowienia młodej Fortunatiny. Kiedy dziewczyna odbierze ofiarowany jej obrazek wraz z medalikiem i nowenną, składa pisemną prośbę. Dyktuje następujące słowa: „Ciężko chora Fortunatina Agrelli prosi o uzdrowienie Najświętszą Pannę Różańcową w Pompejach. Jeżeli zostanie wysłuchana, przyrzeka osobiście przybyć do Pom-

eprasa.pl 8145cd3dbe

pejów, złożyć swoje podziękowanie i przekazać ofiarę na Jej kościół".

Wydarzenia zaczynają przyspieszać. Już 3 marca dziewczyna widzi Maryję. Szczegóły tego spotkania znamy z jej osobistej relacji. „Leżałam w półśnie, gdy ukazała mi się Matka Boża Różańcowa. Gdy ją ujrzałam, natychmiast uczyniłam znak krzyża. Najświętsza Panna jedną ręką trzymała Dzieciątko Jezus, a drugą różaniec. Siedziała na tronie, który otaczali aniołowie. Maryja i Jezus byli ubrani w biało-złote szaty z jedwabiu, na głowach mieli korony wysadzane drogimi kamieniami. Towarzyszyli im zakonnik i zakonnica św. Dominika. Tron, piękno Maryi i wspaniałość nieba mnie zachwyciły. Maryja patrzała na mnie czułym, macierzyńskim wzrokiem. Wzbudziło to moje zaufanie i zaczęłam ją natychmiast błagać:

– Królowo Różańca Świętego w Pompejach, udziel mi łaski zdrowia! Już złożyłam Ci tę prośbę, odmówiłam nowennę, ale nie doświadczyłam jeszcze Twojego Miłosierdzia. O Maryjo, dotąd nie wyświadczyłaś mi jeszcze żadnej łaski. Chcę być zdrowa!

Maryja odpowiedziała:

– Modliłaś się do mnie pod różnymi wezwaniami i zawsze odbierałaś łaski. Teraz, gdy mnie wzywasz pod imieniem Królowej Różańca Świętego z Pompejów, które mi jest bliższe ponad wszystkie inne, nie mogę ci odmówić. Odpraw trzy nowenny, oddawaj mi cześć, a wyzdrowiejesz. – A po chwili zapytała mnie czule: – Dlaczego zdjęłaś mój medalik?

Odpowiedziałam, że mi go zabrano, i przyrzekłam, że zawsze będę go nosiła, a obrazek powieszę na wezgłowiu łóżka. Obiecałam, że kiedy wyzdrowieję, przybędę do Pompejów, zdejmę obuwie przed wejściem do kościoła i wejdę do niego boso, aby uklęknąć przed ołtarzem, który Bóg przeznaczył na Jej tron. Na końcu powiedziałam:

– O Matko, pozwól mi ucałować koniec Twojej szaty! – Tego życzenia Maryja nie spełniła. Zniknęła, ledwie zdążyłam się przeżegnać i ogarnęło mnie cierpienie.

Z wiarą, że modlitwy do Maryi nigdy nie są daremne, zaczęłam trzy nowenny. Przy końcu drugiej nowenny, 15 marca tego roku, Najświętsza Panna ukazała mi się ponownie. Zasnęłam lekkim snem, a gdy ujrzałam Matkę Bożą, pozdrowiłam ją kilka razy słowami: Monstrate esse Matrem, Okaż, że jesteś Matką. Potem zebrawszy się na odwagę, zaczęłam błagać Ją słowami:

– O Maryjo, wskaż mi dzień, w którym skończą się moje cierpienia. Nie mam już ani odwagi, ani sił. Wspomożycielko wiernych, ulecz mnie!

Najświętsza Panna, zawsze uśmiechnięta i o radosnej twarzy, odpowiedziała:

– Na końcu trzeciej nowenny ustaną konwulsje. Wszystkie inne cierpienia skończą się w uroczystość różańcową w październiku.

Potem pobłogosławiła mnie i zniknęła, a ja zdążyłam się tylko przeżegnać i znowu ogarnęło mnie cierpienie. O wszystkim opowiedziałam rodzinie".

Trzy nowenny błagalne i trzy dziękczynne

Nadszedł wreszcie 1 kwietnia, dzień, w którym cała rodzina wraz z Fortunatiną kończyła odmawiać pierwsze trzy nowenny błagalne w intencji uzdrowienia dziewczyny. Tego dnia Fortunatina ponownie widzi Maryję. Ta obiecuje, że smutne dni wkrótce się skończą. Zapowiada, że w dniu, w którym Kościół czci Ją jako Matkę Bolesną, ustaną codzienne ataki, a cała rodzina odzyska utracony spokój. I rzeczywiście. Trzy dni później, 4 kwietnia, w piątek przed Niedzielą Palmową, w święto Matki Bolesnej dziewczyna po raz pierwszy nie doświadcza konwulsji.

Fortunatina jest proszona przez Maryję, aby teraz odmówiła trzy kolejne nowenny. Tym razem dziękczynne. Dziewczyna posłusznie spełnia i tę prośbę. Po 54 dniach od pierwszego objawienia jest zdrowa. Zgodnie ze złożoną obietnicą udaje się do sanktuarium w Pompejach, aby zaświadczyć ludziom o cudzie. Szczęśliwa wchodzi boso do kaplicy i długo klęczy przed ołtarzem Matki Bożej Różańcowej. Następnie przyjmuje Komunię Świętą i chcąc spełnić wszystkie złożone obietnice, przekazuje ofiarę na kościół. Wraz z nią będą w kościele klęczeli także krewni Fortunatiny.

Nowenna i nowy święty

W taki sposób Maryja przekaże światu orędzie o modlitewnym ratunku, które od tej pory będzie dostępne każdemu wiernemu. O nowennie, która na pamiątkę miejsca, gdzie znajduje się słynący łaskami obraz Matki Bożej Królowej Różańca Świętego w Pompejach, będzie nazywana Nowenną Pompejańską.

– Stefan, Stefan… – z krótkiej drzemki, na jaką pozwalam sobie podczas jazdy przez włoskie Apeniny, wybudza mnie jedna z koleżanek. Tych, dla których organizowałem rano w Pompejach obrazki z modlitwami przez wstawiennictwo bł. Bartolo Longo.

– Co tam się stało?

– Nie czytałeś? Przed chwilą ogłosili!

– Co takiego? Mów jaśniej.

– Konsystorz ogłosił. Bartolo Longo będzie świętym!

Patrzę na zegarek. Kilka minut temu wybiła dwunasta. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe



Marcin Wolski

Spokojnie jak na wojnie

Poczucie bezpieczeństwa jest jedną z najważniejszych potrzeb człowieka, a życie w strachu – koszmarem, z którym trudno sobie poradzić. Sposobem na psychiczny komfort jest rzeczywiste zapewnienie sobie tego bezpieczeństwa lub wyparcie ze świadomości wszelkich zagrożeń, poprzez twierdzenia w rodzaju: „jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej". Większość wojen (od peloponeskiej po francusko-pruską) wybuchła ze strachu przed ewentualnym atakiem nieprzyjaciela. Przy czym zagrożenie mogło być faktyczne lub domniemane.

I tak od pokoleń Rosjanie wyrastają w przekonaniu, że cały świat na nich dybie, co kłóci się z elementarnym pytaniem: Po co światu Rosja – zimny, w dużym stopniu wyeksploatowany bezkres ze zdemoralizowaną ludnością?

Odwrotnością jest postawa samozadowolenia i przekonania, że skoro my nie mamy agresywnych zamierzeń wobec nikogo, to inni zostawią nas w spokoju. Takiej iluzji uległa ongiś I Rzeczpospolita, która mimo mądrych przestróg ludzi typu Kochanowski czy ksiądz Skarga, przejadała swój złoty wiek przekonana, że będzie tak zawsze, więc po co wydawać pieniądze na obronę i armię, której jakiś król mógłby użyć do zdławienia złotej wolności.

Również w II RP trudno znaleźć świadectwa życia w zagrożeniu (uwagi Wańkowicza na przykład w „Zielu na kraterze" pozostają głosem odosobnionym). Nawet kierownictwo kraju przygotowujące się do wojny z wrogiem ze Wschodu lub z Zachodu nie przyjmowało do wiadomości możliwości równoczesnego ataku z dwóch stron, gdyż wizja taka byłaby „zbyt straszna".

Strach w PRL-u był raczej przyziemny, bano się zła widocznego na co dzień – UB, sąsiada z ORMO, dyrektora czy kadrowej w pracy... Strach przed większym złem, zepchnięty na co dzień poza sferę bieżących zainteresowań, wyłaził tylko przy szczególnych okazjach, kiedy realna była interwencja Ruskich (w 1956 czy 1980 roku) lub pojawiało się widmo zagłady. Jako dziecko przeżywałem mocno kryzys kubański, a straszy kolega prowadził nawet szkolenia, jak należy się zachowywać w przypadku uderzenia atomowego… Na co dzień wizja nuklearnego pogorzeliska, która zachęciła płk. Kuklińskiego do działania, nie dominowała w życiu zwykłych ludzi.

Postępowanie wobec zagrożeń z grubsza można podzielić na mądre i głupie. Do mądrych należą: zbrojenie się, powszechne szkolenie wojskowe, budowa schronów itp. Do głupich: wiara w magię, jasnowidzów, siłę propagandy i tzw. ruchy pokojowe, od zawsze stanowiące element wojny hybrydowej, realizowanej przez „użytecznych idiotów" na zlecenie przeciwnika. Pomysłu jednostronnego rozbrojenia, próby pozbycia się parasola nuklearnego lub wygnania z Europy Amerykanów od ośmiu dekad stanową dowody zaniku instynktu samozachowawczego. Piękne ewangeliczne nadstawianie lewego policzka w przypadku oberwania w prawy kończy się w najlepszym przypadku utratą wszystkich zębów.

Świat zwierzęcy wypracował kilka znakomitych recept, którymi roślinożerni mogą bronić się przed mięsożernymi – należą do nich zdolność ucieczki, umiejętność obrony lub sztuka odstraszania. Fascynujący przypadek zdarzył się ostatnio w naszm ogródku – byłem świadkiem, kiedy mały jeż schwytany przez rottweilera otworzył mu się w paszczy i po chwili trzeba było ratować ogromnego psa skowyczącego z bólu i ze strachy, a jeż uszedł z opresji zdrowy i cały.

Nie mogąc być tygrysem narodów albo chociaż hipopotamem w globalnej wiosce, należy być przynajmniej skunksem, na którego atak, choć możliwy, jest nieprzyjemny i nieopłacalny. Taki patent przyjęła Szwajcaria (będąca na celowniku Hitlera, który ostatecznie zrezygnował z napaści) lub Finlandia, która w pamiętnej wojnie zimowej (1939–1940) wywalczyła tyle, ile mogła, czyli neutralność, umiejętnie unikając wcielenia do grona „demoludów".

Przy odrobinie szczęścia może się to udać Ukrainie. Przekonała już agresora, że nie da się jej bezkarnie połknąć, zostawiając mu możliwość wyjścia z twarzą, a samej z minimalnymi stratami.

Gdzieś pomiędzy doskonaleniem obrony własnej a odstraszaniem jest umiejętne zawieranie sojuszy. Poprawia to na pewien czas samopoczucie, ale niewiele ratuje przed klęską. Przekonały się o tym boleśnie i Polska, i Czechosłowacja, i Wietnam Południowy. Polityka jest bowiem sztuką interesów, a nie działalnością charytatywną. Sojusznikiem można być, kiedy ma się dość atutów, by być cennym, inaczej pozostaje wybór roli ofiary losu. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe

Tomasz Sakiewicz

A za Uralem będą Chiny…

Pamiętam antykomunistyczną piosenkę śpiewaną na różnych imprezach na melodię „Hej, sokoły…" – była odreagowaniem rzeczywistej sytuacji Polski po stanie wojennym, kiedy nawet do osób zupełnie nierozumiejących rzeczywistości dotarło, że jesteśmy krajem okupowanym. Dynamiczny wzrost ludności Chin i początki silnego wzrostu gospodarczego budziły nadzieje na zniszczenie Związku Sowieckiego dzięki rosnącej sile Państwa Środka.

Oczywiście Polacy kochali Ronalda Reagana, który postanowił zdusić „imperium zła", ale jednocześnie obawiano się, że otwarta konfrontacja ze Stanami Zjednoczonymi doprowadzi do zagłady nuklearnej. Ostatecznie jednak Reagan puścił Sowiety w skarpetkach. Związek Radziecki implodował, rozlatując się na kilkanaście państw, a niesowieckie i niektóre nawet sowieckie państwa Układu Warszawskiego znalazły się w NATO.

Patrząc globalnie, nie ma jednej cezury zamykającej historię sowieckiego imperium. W 1985 roku władzę na Kremlu objął Michaił Gorbaczow, ogłosił program reform nazwany Pierestrojką i jednocześnie doszło do pierwszego spotkania z Ronaldem Reaganem. Zmiany były wymuszone tragiczną sytuacją gospodarczą Związku Sowieckiego. Kończyło to okres agresywnych podbojów poza granicami Układu Warszawskiego. W tym momencie pod panowaniem Kremla lub jego silnym wpływem znajdowała się jedna czwarta terytoriów lądowych całego świata, około 32 mln kilometrów kwadratowych, i 12 proc. ludności. Czyli trochę ponad pół miliarda osób. Dotyczyło to Europy, Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Chiny w tym czasie liczyły około miliarda ludności i trochę ponad 9 mln kilometrów kwadratowych. Ta dysproporcja dwóch imperiów była już wtedy zauważalna. Państwo, które swoim obszarem zajmowało mniej niż 30 proc. tego, co kontrolował Kreml, miało dwa razy więcej ludności niż wszystkie 25 krajów opanowanych przez ZSRS razem z samymi Sowietami. W dodatku obydwa kraje rywalizowały o wpływy w świecie komunistycznym, miały konflikty graniczne i ambicje imperialne. Te ambicje Kremla to był stały element, ale w czasach komunistycznych Chiny po raz pierwszy realnie „wyszły za mur".

Starcie z Chinami i USA skończyło się dla ZSRS fatalnie. W 1989 roku rozpoczął się rozpad terytorialny tego największego od czasów Aleksandra Wielkiego i Czyngis-chana imperium (Aleksander uzależnił od siebie kraje o powierzchni 6 mln kilometrów kwadratowych, a Czyngis-chan około 14 mln kilometrów kwadratowych, ale było to przed odkryciem Ameryk i Australii, więc stanowiło istotnie większą część znanego świata).

Od 1989 roku Moskwa walczy już wyłącznie o utrzymanie choćby części swojego imperium. Straciła najbardziej ludne i rozwinięte kraje Układu Warszawskiego liczące 110 mln ludności, utraciła część krajów ZSRS, jak Bałtów, i kontrolę w większości państw pozasowieckich. Najboleśniejsze straty po upadku ZSRS to Irak, Syria, Wietnam itd. Spora część z nich zaczęła wpadać w orbitę wpływów chińskich, jak Korea Północna, w jakiejś mierze Mongolia. Wiele krajów dawniej zależnych od ZSRS zaczęło prowadzić politykę balansu pomiędzy Chinami, USA i słabnącą Rosją, dotyczy to: Wietnamu, Kazachstanu, Uzbekistanu, Turkmenistanu, Tadżykistanu czy Kirgistanu.

Ostatnio USA mocno zwiększyły swoje wpływy w Azerbejdżanie i Armenii. Tutaj jest widoczny już jednak inny lokalny gracz, czyli rosnąca w siłę Turcja. Realnie Kremlowi pod rzeczywistą kontrolą zostały: Białoruś, okupowane tereny Ukrainy i Gruzji oraz Naddniestrze. Moskwa próbuje częściową okupacją destabilizować te kraje i potem je podporządkowywać. Taktyka wydawała się skuteczna aż do wojny na Ukrainie. Rosja znacząco zniszczyła Ukrainę i ją wyludniła, ale nie podporządkowała. Patrząc na to globalnie: kraj, który 40 lat temu kontrolował obszar 32 mln kilometrów kwadratowych, teraz zajmuje i okupuje niecałe 18 mln kilometrów kwadratowych, z czego większość to niezamieszkane rejony Syberii. Pod kontrolą Moskwy znajduje się około 160 mln ludzi. W Chinach obecnie mieszka prawie 10 razy więcej, a dochodzą jeszcze nowi satelici. Chyba nie trzeba tłumaczyć, jakie to stanowi zagrożenie dla poszarpanej wojną Rosji. ■

eprasa.pl 8145cd3dbe

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl 8145cd3dbe